Ziobrowie na wygnaniu • Rock ze swastyką • Midas wstrząsa Ukrainą
Śmiertelne łóżka • Trump topnieje • Tusk – Nawrocki: dwóch na solo

POLITYKA.PL

POLITYKA

Paszporty Polityki nominacje

TYGODNIK, nr 48 (3542), 26.11–2.12.2025

Cena 13,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA

DOMY ZŁE

Przemoc w rodzinie: dlaczego film Smarzowskiego tak poruszył Polskę?



USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

Wydanie w sprzedaży do 2.12.2025

ISSN 0032-3500

48

9 770032 350503

SKI team®

SKITEAM.PL | ROWERYCUBE.PL | SPYDER.PL

BLACK WEEKS

14-30.11.2025

Sale

Nawet do

-50%

Na cały asortyment rowerowy

Z wyłączeniem rowerów Cube z kolekcji 2026

BEZ VAT

Na cały asortyment zimowy

Starsze kolekcje zimowe nawet do -50% taniej!

Godziny otwarcia sklepów Poniedziałek - Sobota: 12:00 - 20:00

Warszawa: ul. KOR 36/38, ul. Toruńska 107b, Poznań: ul. Bułgarska 117a, Katowice: ul. Sportowa 20, Wrocław: ul. Grabiszyńska 167

Sprawdź na skiteam.pl

eprasa.pl f001f96e29



© JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

16
Ziobrowie na huśtawce

Tematy tygodnia

12 Katarzyna Kaczorowska **Raport: przemoc w czterech ścianach**
16 Anna Dąbrowska **Państwo Ziobrowie na wygnaniu**

Polityka

20 Rafał Kalukin **Nawrocki kontra Tusk: nieznośna kohabitacja**
23 Wojciech Szacki **PiS w defensywie, Kaczyński ma kłopot**

Społeczeństwo

28 Marcin Kołodziejczyk **Granica polsko-białoruska: pod napięciem**
32 Violetta Krasnowska **Uwaga: śmiertelne łóżka**
36 Juliusz Ćwieluch **Poligon niezgody**
39 Rozmowa z **Anną Mateją** o nieznanych historiach polskiej psychiatrii

Rynek

42 Dr hab. **Michał Myck** o absurdach naszego systemu opieki społecznej
45 Adam Grzeszak **Dlaczego władza boi się górników**

Świat

50 Edwin Bendyk UKRAINA **Korupcja na szczytach**
53 Rozmowa z rosyjskim pisarzem **Siergiejem Lebiediewem** o tym, czego boi się Putin i do czego służy Rosji status ofiary
56 Tomasz Zalewski USA **Sprawa Epsteina podmywa poparcie dla Trumpa**
58 Mateusz Mazzini IRLANDIA **Problemy z neutralnością**

Nauka/projektpulsar.pl

60 Prof. **Sabina Pierużek-Nowak** o tym, co dzieje się w polskich lasach i tym, czy wilki rzeczywiście nam zagrażają
64 Kasper Kalinowski **Agresja w rodzeństwie**
68 Rozmowa z prof. **Tomaszem Gąsiorem**, laureatem NAGRODY NAUKOWEJ POLITYKI w kategorii nauki o życiu

Historia

70 Tomasz Targański **Jak działał mózg nazisty**
73 Piotr Szlanta **Trumny wielokrotnego użytku i inne reformy kościelne cesarza Józefa II**
76 PROSTO Z KSIĄŻKI

Kultura

82 PASZPORTY POLITYKI: **ogłaszamy nominacje! Na początek film i scena**
88 Rozmowa z **Tomaszem Kolankiewiczem** o Liście Polskiego Dziedzictwa Filmowego
92 Bartek Chaciński **Ikony popkultury i ich fascynacje symbolami Trzeciej Rzeszy**
95 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Ludzie i style

102–105 • **Kalendarze adwentowe** • **Fotoszopy** • **Hasło: okpa** • **Wyspa kobiet** • **Prastare wino**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia • **78** Afisz • **96** Chutnik i Plebanek • **97** Hartman • **98** Orliński • **99** Sulej • **100**, **106** Galeria POLITYKI • **100** Do i od redakcji • **106** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl f001f96e29



Ofensywa oczywistości

Jerzy Baczyński

Ciekawe, jak się czują polscy trumpiści? Karol Nawrocki, mający podobno świetne kontakty w Białym Domu? Jarosław Kaczyński, który powtarza, że tylko Ameryka może zapewnić Polsce bezpieczeństwo? Sławomir Mentzen i koledzy z obu Konfederacji, żądający natychmiastowego zaprzestania pomocy dla Ukraińców? Wszyscy zadowoleni z „pokojowego planu" Trumpa? To było zaskoczenie tygodnia: 28-punktowy pakiet ułożony przez rosyjsko-amerykański duet Kiryłł Dmitrijew-Steven Witkoff, zatwierdzał z naddatkiem zdobycze terytorialne Rosji w Ukrainie, nakazywał redukcję armii ukraińskiej o jedną trzecią, ustanawiał zakaz wstępu Ukrainy do NATO, amnestię dla rosyjskich zbrodniarzy wojennych itd. Taki „pokój" oznaczałby kapitulację Ukrainy i przekształcenie jej w rosyjski protektorat (szczegóły s. 10). Zełenski dostał też ultimatum: przyjąć plan natychmiast, przed amerykańskim Świętem Dziękczynienia, podczas którego Ukraina (tak to zabrzmiało) miałaby wystąpić w roli krojonego na porcje indyka. Samej Ukrainy, Europy (a więc i Polski) nikt o zdanie nie pytał.

Co tu się stało? Ostatnio Trump wydawał się poirytowany nieprzejednaną postawą Putina, skąd więc ten nagły prorosyjski zwrot? Otóż plan Dmitrijew-Witkoff powinien nosić nazwę Epstein-Mindycz. Prezydent USA boryka się z podejrzeniami o udział w seksualno-pedofilskiej siatce stworzonej przez zmarłego w więzieniu celebrytę Jeffreya Epsteina. Pilnie potrzebuje sukcesu, odwrócenia publicznej uwagi. A Timur Mindycz to z kolei przyjaciel prezydenta Zełenskiego, kluczowa postać wielkiej korupcyjnej afery o kryptonimie „Midas" (opisujemy ją na s. 50), która wstrząsnęła Ukrainą. Zełenski jest dziś politycznie najsłabszy od początku wojny, sytuacja na froncie też jest zła – w sumie to najlepszy moment, aby Zełenskiego zmusić do ustępstw, a nawet ustąpienia i w ten sposób wreszcie dopełnić lukratywny biznesowy reset Rosja-USA, którym cały ten projekt został podszyty. Ten pokój bardzo brzydko pachniał od kuchni.

Czyjkolwiek to był „plan", wywołał ostrą reakcję całego Zachodu, a i sam Trump, jak to ma w zwyczaju, przestał się przy ultimatum upierać i zgodził na „elastyczne negocjacje". Ale długofalowe intencje prezydenta USA są jasne: Trump nie chce się angażować w pomoc dla Ukrainy, Zełenskiego nie cierpi i ogólnie jest zdania, że „jeśli Europa chce wojny", to niech ją sobie sama i na własny koszt prowadzi. Dla Unii, ale przede wszystkim dla krajów frontowych tzw. wschodniej flanki NATO, nowy plan Trumpa to tylko kolejne potwierdzenie, że w konfrontacji z Rosją trzeba liczyć na siebie i przygotować się na stan permanentnego zagrożenia. Rosja, ośmielona faktycznym exitUSem Ameryki z Europy i NATO, zapewne będzie eskalowała akty dywersji, sponsorowała – jak za czasów ZSRR – „ruchy antywojenne", podsycała wewnętrzne konflikty, wspierała w każdy możliwy sposób partie nacjonalistyczne, z definicji rozbijające Unię Europejską. Bo ta historycznie dziwaczna konstrukcja, jaką jest UE, to dziś jedyna realna przeszkoda i dla ekspansji Rosji, i dla nowego, niebezpiecznego dla małych i średnich państw, globalnego koncertu mocarstw (teraz w wersji trzech tenorów: Trumpa, Putina i Xi). Europa, w której każdy kraj z osobna – cytując Trumpa – „ma słabe karty", zbiorowo dysponuje potencjałem, aby być światowym supermocarstwem, czwartym do gry, dysonansem w imperialnym koncercie.

Poniekąd dzięki Trumpowi polska racja stanu jawi się dziś jako tzw. oczywista oczywistość. Donald Tusk w Sejmie przedstawił ją w formie „pięciu zasad": stać po stronie Ukrainy w wojnie z Rosją; dbać o spójność NATO i sojusz z USA, ale dziś przede wszystkim stawiać na jedność, współpracę i wzajemną pomoc w Unii Europejskiej; nie ulegać rosyjskiej propagandzie i dezinformacji; nie osłabiać państwa przez powrót do liberum veto. Ta „piątka Tuska" była otwartą polemiką z antyukraińską Konfederacją, antyunijnym PiS, a zwłaszcza z prezydentem Nawrockim, który kosztem Kaczyńskiego wyrasta dziś na głównego oponenta koalicji rządowej („Dwóch na solo" na s. 20).

Radosław Sikorski, przywołując rzeczywiście skandaliczne przemówienie prezydenta w Dniu Niepodległości (gdy jako wroga Polski wymieniał Unię Europejską i ogólnie Zachód, pomijając całkowicie Rosję), wytknął Nawrockiemu, że dąży do polexitu i „nie reprezentuje stanowiska Polski". Rzeczywiście, prawica znalazła się w pułapce: rywalizacja między Konfederacjami i PiS radykalizuje wszystkie przekazy, zbliżając je do propagandy Kremla („To Ukraina odpowiada za atak na polską kolej; nasze służby są w fatalnym stanie; Unia bezradna, Niemcy i Francja chcą likwidacji polskiego państwa" itd.). To są tak jawne i niebezpieczne nieprawdy, że w końcu nawet Nawrocki uległ oczywistości i z ociąganiem przyznał, że „to Rosja napadła na Ukrainę".

Owo poplątanie prawicowej logiki sprzyja koalicji 15 października, która wyraźnie wzmocniła przekaz, a do frontowego tercetu – Tusk, Sikorski, Żurek – dołącza teraz Włodzimierz Czarzasty, nowy marszałek Sejmu. Przypomnieliśmy (polityka.pl) jego pokrętną biografię, ale to pragmatyk i polityczny cynik, i jako taki będzie dużym problemem dla prawicowej opozycji i prezydenta Nawrockiego, któremu już zapowiedział „marszałkowskie weta". Im bardziej prawica odlatuje w swoich teoriach i narracjach, tym pewniejszy siebie (nareszcie) staje się obóz „zwolenników oczywistości".

eprasa.pl f001f96e29

Albatros travel

5/5

Smaki Francji – Szampania i Burgundia

4 degustacje wina w cenie

Wspaniała wyprawa szlakiem francuskich winnic, wybornej kuchni i historycznych miast przez Burgundię i Szampanię.

Ta podróż łączy bogactwo kultury Francji, wyborne wina i kulinarne specjały. Odkryjemy historię szampana w Szampanii, skosztujemy win w Burgundii i odwiedzimy targ w Dijon. Zachwycą nas m.in. domy szachulcowe w Troyes, katedra w Reims, dawny szpital Hotel Dieu w Beaune i winnice Côte d'Or.

6 dni
Wyloty z Warszawy
29/04, 03/06 2026

od **6.398,-**





2 posiłki dziennie

Włoskie Wybrzeże Adriatyku

„Najpiękniejsze miasto Włoch", średniowieczne zamki, bizantyjskie kościoły, skarby UNESCO i zachwycające krajobrazy wzdłuż włoskiego wybrzeża Adriatyku.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Bolonia i przejazd do hotelu w Cesenatico. **Dz. 2** Przekroczenie Rubikonu, Riviera del Conero z miasteczkiem Sirolo, podziemne korytarze w Osimo i wizyta w winnicy. **Dz. 3** Ravenna i wspaniałe mozaiki wpisane na listę UNESCO. **Dz. 4** Wycieczka fakultatywna do renesansowego miasta Urbino (dodatkowo płatna). **Dz. 5** Republika San Marino i piękne miasteczko San Leo. **Dz. 6** Dzień wolny do własnej dyspozycji. **Dz. 7** Wizyta na targu w Rimini i nadmorskie miasteczko Cattolica. **Dz. 8** Przelot z Bolonii do Polski.

8 dni | Wylot z Warszawy 14/05 2026 | od **5.498,-**



3 posiłki dziennie podczas safari

Safari w RPA i nowy camp Albatrosa

Odkryj Republikę Południowej Afryki – zobacz Pretorię i Soweto, poznaj świat Wielkiej Piątki i zamieszkaj w należącym do Albatrosa Conservation Lodge.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Johannesburga. **Dz. 2** Przylot do Johannesburga. Zwiedzanie Pretorii. Rezerwat Przyrody Entabeni. **Dz. 3–8** Rezerwat Przyrody Entabeni. Safari – w poszukiwaniu Wielkiej Piątki. **Dz. 9** Rezerwat Przyrody Entabeni - Johannesburg. Wizyta w Soweto i powrót do Polski. **Dz. 10** Przylot do Warszawy.

10 dni | Wylot z Warszawy 12/03 2026 | od **11.998,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL45**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl f001f96e29

Lekcje z ataku



Tożsamość sprawców podłożenia ładunku wybuchowego i zainstalowania metalowej obejmy na torach biegnących z Warszawy do Lublina została ustalona w kilkadziesiąt godzin od zamachu. Są nimi obywatele Ukrainy zwerbowani przez rosyjskie służby; jeden z nich był już skazany za dywersję we Lwowie. Sprawcy dostali zarzuty, ale ponieważ zaraz po wykonaniu zadania, nieniepokojeni przez nikogo, wyjechali na Białoruś, ich ściganie stało się problematyczne. Zidentyfikowanie wykonawców ataku to największy – z tych ujawnionych – sukces polskich służb w odpowiedzi na coś, co premier Tusk określił jako akt terroryzmu państwowego zlecony przez Rosję. Putin musiał zakładać, że w wyniku ataku będą ofiary, co przyniesie polityczny wstrząs w Polsce, którą uważa za najbardziej antyrosyjskiego sąsiada.

Plan Kremla nie udał się jednak przez zbieg okoliczności – być może też przez nieudolność zamachowców, nie zaś wskutek sprawności polskiego państwa. Sabotażyści najpierw przedostali się do Polski, potem z niej uciekli i nie zostali zauważeni przy brudnej robocie. Przekazany policji alarm o wybuchu nie został zlekceważony, ale gdy nocny patrol we **wsi Mika** niczego nie wykrył, nikt nie sprawdzał dalej, co właściwie się stało. Po uszkodzonych torach przejechało wiele pociągów, zanim ich ruch został zatrzymany przez uważnego maszynistę.

Tak jak po niedawnym wtargnięciu dronów na teren naszego kraju oceniliśmy, że system NATO zadziałał, choć dostrzegliśmy luki w ochronie własnego nieba, tak teraz widzimy, że choć tragedii udało się uniknąć, to system dozoru krytycznej infrastruktury trzeba natychmiast poprawić. Mimo że kryzys wydaje się głębszy, państwo działa rutynowo, a głównym narzędziem znów jest wojsko. MON najpierw bowiem skierował do pomocy służbom kolejowym i policji 400 żołnierzy, by po kilku dniach ogłosić Operację Horyzont z udziałem aż 10 tys. wojskowych. Okazało się, że poza żołnierzami brakuje Polsce sił i zasobów reagowania kryzysowego na dużą skalę.

Arsenał odwetowy też mamy ograniczony. Jeśli najważniejszą odpowiedzią jest zamknięcie ostatniego działającego w Polsce rosyjskiego konsulatu, to widać, że dyplomacji kończą się narzędzia. Politykom pozostaje walka na słowa, bo usiłowanie zbrodni trzeba nazywać po imieniu, a jej przemilczanie – piętnować. Jednak ta rosyjska eskalacja zamiast skłonić do współpracy, kolejny raz podsyca polaryzacyjne podziały. Po manifestowanej we wrześniu, w związku z atakiem dronów, jedności politycznej nie ma śladu. Bez odzewu pozostał też apel premiera o polityczne zawieszenie broni w imię zasad racji stanu. Nie zanosi się na wznowienie dialogu w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego, której Karol Nawrocki tym razem nie zwołuje.

Jeszcze bardziej ponury obraz wyłania się, gdy na dywersję w Polsce spojrzy się przez pryzmat relacji USA–Rosja. Ciarki przechodzą po plecach, gdy uświadamiamy sobie, że nasz najważniejszy sojusznik właśnie teraz usiłuje dogadać się – ponad naszymi głowami – ze zleceniodawcą zamachu, w którym zginąć mogło kilkuset Polaków.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Przypis do afer



Dwa duże skandale wstrząsnęły ostatnio polskim rynkiem literackim i oba rynek (oraz czytelnicy) musi potraktować jak alarmy ostrzegawcze. Pierwszym była afera ze zmyślonymi przypisami w książce „Teoria spisku" dziennikarki TVP Info Karoliny Opolskiej. Bibliografię przewertował czujnie Artur Wójcik, popularyzator historii, twórca fanpage'a Sigillum Authenticum. Kilka pozycji wymienił: Witold Kula nie napisał „Historii cywilizacji słowiańskiej", nawet się słowiańszczyzną nie zajmował. Stanisław Mikołajczyk nie ma w dorobku „Historii Polski". Itd., itd. Człowiek by tego nie wymyślił, tak halucynuje tylko AI. Winę wziął na siebie wydawca, niesmak pozostał.

Ludzkie zaniechania bolą mocniej. Pisarka **Kalina Błażejowska** nagłośniła w sieci własną sprawę – Jarosław Molenda, autor ok. 60 książek, skorzystał z jej pracy, ale tego nie zaznaczył, ma też własny pogląd na to, jak stosować cudzysłowy i przypisy. Książka Błażejowskiej „Bezduszni. Zapomniana zagłada chorych" otrzymała m.in. Nagrodę Historyczną POLITYKI. „Zbrodnia w Kobierzynie. Nazistowska zagłada pacjentów szpitala psychiatrycznego" Molendy solidnie z niej czerpie, ale autor czasem tylko subtelnie zmienia szyk zdań (Błażejowska cytuje fragmenty w swoich social mediach).

„Najpierw straszyła nas sądem i pozwem, a ponieważ nie ulegliśmy tej prymitywnej formie szantażu, od pół roku gdzie tylko może obrzuca mnie gównem", pisze Molenda na Facebooku. Błażejowską w tym samym poście nazwał „pieniaczką" i „nierozgarniętą kobietą". – *Jeszcze w lipcu zostaliśmy powiadomieni o zarzutach dotyczących plagiatu wysuniętych wobec Jarosława Molendy przez Kalinę Błażejowską i zapoznaliśmy się z dokumentacją* – mówi Joanna Gierak-Onoszko, prezeska Unii Literackiej, związku polskich autorek i autorów.

Od sierpnia Molenda nie jest już członkiem UL, a internauci prześwietlają inne jego książki. Sprawa inspiracji „Bezdusznymi" będzie miała ciąg dalszy. Błażejowska mówi POLITYCE: – *Rozmawiam z prawnikami o dalszych krokach. Niewzruszona postawa pana Molendy i jego wydawcy przekonały mnie, żeby nie zostawiać sprawy na Facebooku*. (AŻ)

© JACEK MARCZEWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, PAP/LESZEK SZYMAŃSKI, MATEUSZ KOTOWICZ/REPORTER, NEWSLUBUSKI/EAST NEWS

eprasa.pl f001f96e29

CBA do likwidacji



Sejm zdecydował o dalszych pracach nad ustawą o likwidacji Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Przeciwko byli tylko posłowie PiS, Razem i Republikanów. Proponowane zmiany zakładają, że kompetencje CBA zostaną przekazane policji, Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego oraz Krajowej Administracji Skarbowej. Projekt być może jeszcze w tym roku trafi na biurko prezydenta Nawrockiego, który niemal z całą pewnością go zawetuje.

CBA powstało w 2006 r. podczas pierwszych rządów PiS, ale poparcie dla utworzenia służby skoncentrowanej wyłącznie na zadaniu walki z korupcją było wtedy bardzo szerokie: „za" głosował również w ogromnej większości klub PO, w tym Donald Tusk. Bo też sam pomysł nie był w tamtym momencie od rzeczy. Po znaczonych kolejnymi aferami korupcyjnymi rządach koalicji SLD-PSL powołanie Centralnego Biura Antykorupcyjnego odpowiadało na zapotrzebowanie społeczne i miało stanowić nie tylko instytucjonalny, lecz również mentalny przełom w walce z łapówkarstwem.

Szybko się jednak okazało, że nowa służba w praktyce działania stanowi skrzyżowanie inspektora Clouseau i policji politycznej, łącząc w sobie nieudolność i partyjną gorliwość. Egzemplifikacją tej wybuchowej mieszanki stał się słynny agent Tomek i prowokacja CBA wobec posłanki Beaty Sawickiej – ujawnione materiały operacyjne z tej akcji miały być przed wyborami w 2007 r. dowodem na skorumpowanie PO. Ostatecznie Platforma wybory wygrała, a Sawicka sześć lat później została prawomocnie uniewinniona ze względu na nielegalne działania operacyjne funkcjonariuszy Biura. W czasie drugich rządów PiS CBA już na dobre zaczęło się przepoczwarzać w narzędzie walki politycznej rodem z ustroju autorytarnego. Sztandarowym przykładem stało się ujawnienia przez media zakupu i wykorzystania (de facto poza kontrolą sądową) Pegasusa, czyli narzędzia do totalnej cyfrowej inwigilacji.

W tym kontekście projekt likwidacji CBA ma głównie znaczenie polityczne, zresztą jest wprost realizacją postulatu zapisanego w umowie koalicyjnej. Stanowi swego rodzaju akt woli obozu rządowego, bo, jak wskazaliśmy wcześniej, weto Nawrockiego jest gwarantowane. Ale proponowana zmiana ma też swój sens merytoryczny, ponieważ korupcja w 2025 r. nie jest takim samym zjawiskiem jak 20 lat wcześniej, a struktura wymuszająca koordynację działań różnych służb wydaje się do obecnych wyzwań bardziej adekwatna niż jeden scentralizowany moloch. (DAN)

Kroplówka systemu nie uzdrowi

Pacjenci, nawet ciężko chorzy, mają obecnie małe szanse na leczenie, szpitale nie mają pieniędzy. NFZ zalega im z płatnościami za tzw. nadwykonania. Mimo że do sumy naszych składek na zdrowie trzeba było dopłacić w tym roku 31 mld zł z naszych podatków. W przyszłym roku będzie jeszcze gorzej. Do akcji wkroczył więc prezydent Nawrocki, zwołując na 5 grudnia „szczyt zdrowia". Co może z niego wyniknąć, oprócz krzyku prezydenta, że rząd źle rządzi? A przede wszystkim – co dobrego może wyniknąć dla pacjentów?

Minimum, jakie powinna zrobić głowa państwa, to zgoda na przesunięcie do NFZ pieniędzy, którymi dysponuje Fundusz Medyczny – jest w nim 7 mld zł. Powinien nim zarządzać NFZ, jeśli prezydent podpisze nowelizację. Fundusz powstał, gdy zamiast na onkologię rząd PiS przekazał 2 mld zł na TVP Jacka Kurskiego. PiS już protestuje. Rząd chce też szybko przyjąć ustawę, która pozwoli płacić za nadwykonania w pediatrii – tu zgłasza sprzeciw minister finansów. Przeciwko temu, aby coroczne podwyżki dla pracowników medycznych zacząć wypłacać pół roku później, protestują lekarze i pielęgniarki.



Jeśli prezydent pomyśli o chorych i zgodzi się na propozycje nowej ministry zdrowia, sytuacja w tym roku nieco się poprawi. Finansowa kroplówka chorego publicznego lecznictwa jednak nie uleczy. Potrzebna jest poważna operacja. Doradca prezydenta prof. Piotr Czauderna podpowiada: „Musimy zacząć rozmawiać o wzroście składki". Pewnie tak, ale może najpierw o tym, żeby płacili ją wszyscy, także rolnicy. W krajach demokratycznych publiczne systemy ochrony zdrowia oparte są na solidaryzmie społecznym, o którym tak dużo mówił PiS. Polega on na tym, że do systemu lecznictwa każdy dokłada tyle, na ile go stać. U nas tak nie jest. PiS zabetonowało swoje poparcie na wsi obietnicą, że rolnicy nie będą płacić podatków PIT ani składek na zdrowie. Partia Kaczyńskiego do takiego rozwiązania więc nie dopuści, a winą za zły stan lecznictwa obarczy rządzącą koalicję.

A Konfederacja, do której prezydentowi najbliżej? Otóż partia ta żąda obniżenia podatków dla wszystkich, a Karol Nawrocki zobowiązał się, że ich nie podniesie. Składki to też podatki. Czyli według Konfederacji szpitale może uratować tylko prywatyzacja, niech chorzy leczą raka za własne pieniądze... W kalkulacjach politycznych interes chorych się nie liczy. Taki mamy system.

JOANNA SOLSKA

eprasa.pl f001f96e29

Ostatnie zadanie



Przemysław Sadura

Socjolog, profesor UW, kurator instytutu badawczego Krytyki Politycznej

Za nami połowa kadencji Sejmu. Na mocy umowy koalicyjnej miał to być moment zmiany jego kierownictwa. Tak też się stało: Szymon Hołownia ustąpił, a na posiedzeniu Sejmu 18 listopada na nowego marszałka wybrano Włodzimierza Czarzastego. To ważny moment nie tylko dla Nowej Lewicy. Po pierwsze, to poważny test jedności układu rządowego. Jeszcze dwa miesiące temu w kuluarach Campus Polska politycy KO spekulowali, że Hołownia może zachować się nielojalnie i odegrać rolę Jarosława Gowina z czasów rządów Zjednoczonej Prawicy. Sam Hołownia podgrzewał atmosferę nocnymi spotkaniami z kierownictwem PiS i brakiem komunikacji z partnerami. Ostatecznie posłowie Polski 2050 pozostali w rządzie i zaczęli proces przegrupowywania, którego pierwszym etapem są wybory przewodniczącego partii. Przyszłość pokaże, czy partia będzie próbowała przetrwać samodzielnie, czy też wybierze ścieżkę Nowoczesnej i poszuka przystani w KO.

Po drugie, KO radzi sobie bardzo dobrze. Sprzyja jej polaryzacja i podgrzewana przez nowego ministra sprawiedliwości atmosfera rozliczeń. PiS spadkiem poparcia płaci m.in. za zachowanie Ziobry oraz korupcyjny skandal dotyczący CPK, a partia Tuska systematycznie poprawia swój sondażowy wynik. Niestety, wzrost częściowo odbywa się kosztem partnerów. Bez ich mocnej reprezentacji w parlamencie trudno będzie utrzymać władzę w rękach sił demokratycznych. To jest zadanie dla Nowej Lewicy i zarazem punkt trzeci: marszałkowanie Czarzastego to szansa na nowe otwarcie dla całej formacji oraz koalicji rządowej. Lider lewicy został drugą osobą w państwie. Jest dobrze przygotowany do sprawowania urzędu i gotowy, aby potraktować go jako platformę, która zacznie konsolidować lewicowe środowisko. Sejm to nie tylko posłowie i ekspozycja medialna. Kancelaria Sejmu to machina administracyjna zatrudniająca ponad półtora tysiąca osób. To budżet na współpracę z partnerami społecznymi, szansa na prowadzenie prac programowych i działań integrujących środowiska progresywne. Czarzasty to rozumie.

Stawia na sprawczość, co potwierdził wprowadzeniem prohibicji w Sejmie. Dowiózł to, czego na Wiejskiej nie potrafił Hołownia, a w całej Warszawie – Trzaskowski. Śmiało sięga po wszelkie możliwe atuty. Szefem kancelarii mianował Marka Siwca, a gabinetu – Bartosza Machalicę. Pokazał, że nie będzie się przejmował wytykaniem mu postkomunizmu i „Ordynackiej". Przeciwnie, włączy to środowisko w realizację planu. Różne rzeczy można powiedzieć o PZPR, ale trzeba przyznać, że była dobrą kuźnią kadr. W końcowej fazie partia i jej organizacje młodzieżowe wykształciły środowisko sprawnych menedżerów i organizatorów. To oni odpowiadali za złoty okres SLD, kiedy to z tej formacji wywodzili się urzędujący prezydent i premier. Dziś to środowisko dostaje ostatnie zadanie. Musi jeszcze raz zbudować sprawnie działającą instytucję, a swoje doświadczenie przekazać młodszym działaczom i działaczkom Nowej Lewicy. Zarazem od nich starsi koledzy muszą uczyć się funkcjonowania w nowej rzeczywistości mediów społecznościowych. Jeśli plan się powiedzie, Nowa Lewica nie będzie się musiała oglądać na partię Razem, a rząd – na niedobitki Trzeciej Drogi.

Jak Polak z Niemcem



© SHUTTERSTOCK

Według barometru relacji polsko-niemieckich poziom sympatii do Niemców jest najniższy od 25 lat. Niechęć do naszych zachodnich sąsiadów czuje co czwarty Polak. 58 proc. zaś uważa, że Niemcy są winni większego zadośćuczynienia za drugą wojnę – z czym w Niemczech zgadza się zaledwie 25 proc. ankietowanych. Jedna czwarta Polaków oczekuje reparacji – co popiera zaledwie 2 proc. Niemców. Powszechne w Niemczech przekonanie, że sprawa jest przesądzona, stanowi największą przeszkodę dialogu.

70 proc. Niemców uważa, że nasze wzajemne stosunki powinny się koncentrować na wyzwaniach bieżących i przyszłych. W Polsce sądzi tak 48 proc. respondentów, a 34 proc. kwestie historyczne traktuje jako problem blokujący rozmowy o teraźniejszości i przyszłości. W dodatku od lat pogarsza się polska ocena niemieckiej polityki europejskiej. W 2005 r. 63 proc. Polaków postrzegało ją pozytywnie; obecnie już tylko 35 proc. Natomiast aż 32 proc. uważa, że Niemcy przyczyniają się do eskalacji sporów i napięć w Europie.

W obu krajach zmniejszyło się poparcie pomocy wojskowej dla Ukrainy i przyjmowania ukraińskich uchodźców. Choć nadal większość respondentów opowiada się za sankcjami gospodarczymi wobec Rosji (72 proc. Polaków i 62 proc. Niemców) oraz rezygnacją z rosyjskich surowców energetycznych (odpowiednio: Polaków 66 proc. i 58 proc. Niemców). Nie tyle jednak wiek i wykształcenie badanych mają wpływ na stosunek do Ukrainy, ile sympatie polityczne i źródła informacji. Solidarność z Ukraińcami jest nadal silna wśród zwolenników umiarkowanej prawicy oraz partii centrowych i lewicowych, znacznie słabsza zaś wśród polskiej i niemieckiej skrajnej prawicy. W Polsce wyborcy partii centrowych i liberalnych są zwykle proeuropejscy i proniemieccy. Natomiast sympatycy prawicy i skrajnej prawicy są wobec Niemiec niechętni. Podobna linia podziału przebiega w Niemczech między wyborcami partii głównego nurtu a zwolennikami AfD.

Dr Agnieszka Łada-Konefał z Niemiecko-Polskiego Instytutu w Darmstadt za spadek sympatii do Niemców i Niemiec obwinia (choć nierówno) wszystkie obozy polityczne w obu krajach. Podkreśla nie tylko negatywną retorykę prawicy, ale także brak konkretnych niemieckich propozycji i wyraźną niechęć polskiego rządu do współpracy z Niemcami. Z kolei brak konkretnych niemieckich propozycji rozwiązania kwestii zadośćuczynienia oraz przypadki nietraktowania Polski jako partnera prowadzą w Polsce do uzasadnionego rozczarowania niemiecką polityką. Tymczasem sytuacja międzynarodowa – zdaniem dr. Jacka Kucharczyka z Instytutu Spraw Publicznych – zmusza do wspólnego działania. To wyzwanie dla rządzących dziś w obu krajach proeuropejskich polityków. (KRZEM)

eprasa.pl f001f96e29

SZMARAGDOWA
PORCELANA

Porcelana SZMARAGDOWA

AS Ćmielów



Fabryka Porcelany AS Ćmielów
ul. Sandomierska 243, Ćmielów
Showrooms
Ćmielów | Kraków

ĆMIELÓW
1804

www.as.cmielow.com.pl

eprasa.pl f001f96e29



Zamieszanie w pokoju

Ukraina stanęła przed widmem katastrofy. Donald Trump chciał ją zmusić do podpisania pokoju, który oznaczał poddanie się. Europa pomaga ratować sytuację.

Dyplomatyczna gra o zakończenie wojny toczy się w cieniu ogromnego skandalu korupcyjnego i politycznej wojny na szczytach ukraińskiej władzy. Stan na dziś? Ukraina i Stany Zjednoczone są po zwołanych w trybie błyskawicznym rozmowach w Genewie. Szefowie delegacji **Andrij Jermak** (szef biura prezydenta Ukrainy) i **Marco Rubio** (sekretarz stanu USA) mówią, że to było ich najlepsze spotkanie. „Obecny projekt porozumienia pokojowego odzwierciedla interesy narodowe i zapewnia wiarygodne oraz wykonalne mechanizmy ochrony bezpieczeństwa Ukrainy zarówno w perspektywie krótkoterminowej, jak i długoterminowej" – napisali w oświadczeniu. Co to oznacza, kiedy oddajemy ten numer do druku, jeszcze nie było wiadomo, ale nawet najgorsze porozumienie w Genewie będzie lepsze od „pokoju", jaki chcieli narzucić Ukraińcom Amerykanie.

Zaczęło się pod koniec zeszłego tygodnia od przecieków prasowych. Portal Axios i „Financial Times" opisały 28-punktowy plan pokojowy Waszyngtonu dla Kijowa. Kilka propozycji było dla Ukraińców mocnym szokiem. Projekt zakładał np. dobrowolne wyjście ukraińskiej armii z Donbasu (którego Rosja nie może zdobyć od 2014 r.). Oprócz tego Krym, obwody doniecki, ługański oraz część chersońskiego i zaporoskiego uznane zostałyby de facto za część Rosji.

Wśród warunków była rezygnacja Ukrainy z dążenia do NATO, redukcja armii, gwarancje dla języka rosyjskiego i rosyjskiej Cerkwi, a nawet amnestia dla przestępców wojennych. Plan zakładał też zobowiązania finansowe ze strony Unii Europejskiej i przyjęcie Ukrainy do UE. W jednym z punktów napisano, że na terytorium Polski będą stacjonować europejskie myśliwce. Oczywiście nie było to negocjowane ani z Brukselą, ani z Warszawą. Gwarantem pokoju miały być USA, za co dostawałyby gratyfikację. Donald Trump zapowiedział, że daje Kijowowi sześć dni na decyzję – do 27 listopada (amerykańskie Święto Dziękczynienia). Odpowiedź na „nie" oznaczała koniec amerykańskich dostaw broni oraz kres dzielenia się informacjami wywiadowczymi.

Zełenski nie mógł ani się zgodzić, ani odmówić. Wygłosił dramatyczne orędzie do obywateli: „Ukraina może stanąć przed bardzo trudnym wyborem: albo utrata godności, albo ryzyko utraty kluczowego partnera. Albo trudne 28 punktów, albo niezwykle ciężka zima oraz dalsze ryzyka. Życie bez wolności, godności i sprawiedliwości". Oczywiście wyraził gotowość do natychmiastowych rozmów, by nie narazić się na gniew Trumpa i zarzuty o torpedowanie amerykańskich wysiłków pokojowych.

A Rosja? Wyglądała na zadowoloną. Władimir Putin uznał, że „Plan 28" może być podstawą pokoju. Jednocześnie zaznaczył, że dokument nie był konsultowany z Kremlem. To ostatnie nie jest prawdą. Współautorami byli Steve Witkoff, doradca prezydenta USA, i rosyjski wicepremier Kirił Dmitrijew, absolwent Uniwersytetu Stanforda i Harvard Business School. Kilku amerykańskich senatorów cytowało Rubia, który miał stwierdzić, że ten plan to lista rosyjskich życzeń, a jego inicjatorem jest Rosja. Oficjalnie Departament Stanu temu zaprzeczył.

W każdym razie w Ukrainie zapanowały ponure nastroje. A Rosjanie codziennie atakują infrastrukturę krytyczną. Miasta pogrążają się w mroku, a służby energetyczne nie nadążają z naprawami. Życie toczy się w rytmie wyjących syren, a często i wybuchów.

W tej sytuacji Zełenski musiał się ratować telefoniczną dyplomacją. Rozmawiał z przywódcami Francji, Wielkiej Brytanii i Niemiec, a także z sekretarzem generalnym NATO. Odniósł sukces, bo europejscy przywódcy błyskawicznie opracowali „kontrplan", znacznie korzystniejszy dla Kijowa. Zakładał, że wojna zatrzymuje się na obecnej linii kontaktu. Terytoria zagarnięte przez Rosję są nadal uznawane za okupowane. Ukraina zobowiązuje się tylko do tego, że nie zechce odebrać ich siłą. Nie ma formalnego zakazu dążenia do NATO. Można się domyślać, że zmodyfikowany projekt jest kompromisem między tym, czego chciała suflowana przez Rosję Ameryka, a tym, co mogła przyjąć wspomagana przez Europę Ukraina.

Jednak żadnego porozumienia pokojowego nie da się podpisać bez Rosji. Tymczasem Putin wierzy, że jego armia rychło przełamie front. Rosjanie osiągają sukcesy, ale przesuwają się dość powoli. A Waszyngton ma czym nacisnąć i na Moskwę. Właśnie weszły w życie amerykańskie sankcje przeciw Łukoilowi i Rosnieftowi, największym rosyjskim gigantom naftowym. Rosja bała się tych restrykcji.

Dlaczego Amerykanie zdecydowali się na „pokojowy blitzkrieg"? Dlaczego wierzyli, że uda im się zmusić Zełenskiego do podpisania tak niekorzystnego planu? Według źródeł POLITYKI Waszyngton chciał wykorzystać gwałtowne osłabienie pozycji ukraińskiego prezydenta. Ludzie z jego otoczenia zostali oskarżeni przez służbę antykorupcyjną NABU o okradanie państwowej spółki Energoatom (więcej na s. 50).

Afera zatacza coraz większe kręgi – na taśmach z podsłuchów NABU podobno są nagrani Rustem Umierow (sekretarz Rady Bezpieczeństwa Narodowego) i Andrij Jermak, faktycznie numer dwa w państwie. A korupcja miała dotyczyć także dostaw sprzętu na front. Wpływowi członkowie prezydenckiej frakcji Sługa Narodu zażądali natychmiastowej dymisji Jermaka. Zełenski odmówił i wyznaczył Jermaka i Umierowa na swoich przedstawicieli do rozmów z USA na temat planu pokojowego. Co jednak nie kończy wojny na górze.

PAWEŁ RESZKA Z KIJOWA

© MARTIAL TREZZINI/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS, THOMAS MUKOYA/AFP/EAST NEWS, LILLIAN SUWANRUMPHA/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl f001f96e29

Szczyt pustych krzeseł

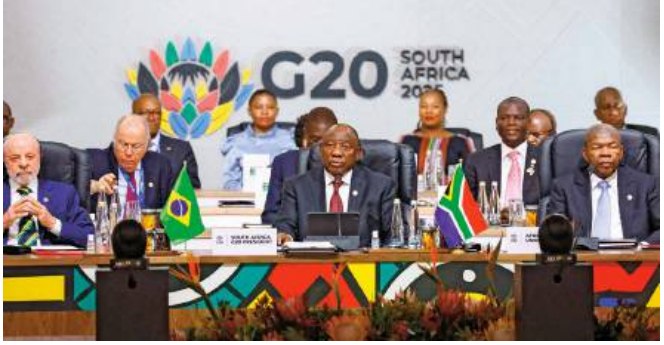

Doroczne **spotkanie G20**, w teorii największych lub szczególnie wpływowych gospodarek świata, upłynęło pod znakiem amerykańskiego bojkotu i innych wakatów. Prezydent Donald Trump nie wybrał się do Republiki Południowej Afryki i nie wysłał też delegacji. Oskarża władze RPA o sprzyjanie rzekomym prześladowaniom białej mniejszości. Prezydent Władimir Putin mógł się obawiać aresztowania w związku z nakazem Międzynarodowego Trybunału Karnego za zbrodnie popełnione przez rosyjską armię w Ukrainie. Zamiast Xi Jinpinga przyjechał chiński premier Li Qiang. Javier Milei z Argentyny został w domu w geście solidarności z Trumpem. Claudia Sheinbaum z Meksyku i Prabowo Subianto z Indonezji mieli inne, krajowe obowiązki. Bola Tinubu z Nigerii (reprezentujący Unię Afrykańską) zajmował się kryzysem związanym z porwaniem grupy dziewczynek. Książę koronny Arabii Saudyjskiej Mohammed bin Salman powołał się na przewlekły problem z uchem, którego nie chciał pogłębiać długim lotem. A brytyjski premier Keir Starmer, forsujący równolegle budżet najeżony podwyżkami podatków, musiał się tłumaczyć z sensu wyjazdu. Uzasadniał, że warto ponieść jego koszty, bo dyskusje z kluczowymi partnerami – o kwestiach ekonomicznych i geopolitycznych – mierzone są „miejscami pracy w Wielkiej Brytanii".

W tych warunkach elitarność i sprawczość nieformalnego klubu mocno przygasła, chociaż obecni wysłannicy starali się utrzymać G20 przy życiu i pokazać, że formatu nie trzeba chować do grobu w związku z niedomaganiami multilateralizmu. Wykorzystano też – przy udziale prezydenta RPA Cyrila Ramaphosy – nieobecność Trumpa i w deklaracji końcowej umieszczono wiele sformułowań, z którymi obecnemu amerykańskiemu rządowi jest nie po drodze, w tym o potrzebie równości płci i transformacji energetycznej, koniecznej do walki ze zmianami klimatu.

Na wejście do klubu ma ochotę Polska. Polskie PKB przekroczyło (w ujęciu nominalnym) 1 bln dol. (umowny próg wejścia), co lokuje Rzeczpospolitą na 20. miejscu wśród największych gospodarek. Kolejny szczyt G20 zaplanowano na grudzień 2026 r. Odbędzie się na terenie należącego do Trumpa klubu golfowego Doral koło Miami. Gdy we wrześniu prezydent Karol Nawrocki bawił w Białym Domu, dostał od prezydenta USA zaproszenie do udziału w tym spotkaniu. Wprawdzie G20 dyskutuje o kwestiach leżących w kompetencjach naszego rządu, ale to prezydent ma ochotę pojechać. Można więc mieć pewność, że nad Wisłą przygotowania do przyszłorocznego szczytu staną się nowym frontem międzypałacowej wojny o krzesło.

Świnie, kurczaki i małpy



Oskarżony Chen Dawei bez emocji opowiada, jak zabił losowo wybranego pracownika w dowód lojalności wobec przełożonych z mafii. Ten dokument nadany w państwowej telewizji CCTV wzbudził sensację, bo rzecz działa się w Laukkai w Mjanmie (Birmie) na granicy z Chinami, gdzie od kilku lat działała farma cyberoszustów, kierowana przez mafijną rodzinę Wei. Wcześniej kwitł tu nielegalny hazard i prostytucja, ale bardziej dochodowe okazały się internetowe przekręty. Takich miejsc w Azji Południowo-Wschodniej – także w Kambodży i Laosie – jest ponad setka, niektóre zajmują wiele hektarów, na zdjęciach satelitarnych widać, jak szybko rosną (na fot. obiekt w **Miawadi** przy granicy Mjanmy z Tajlandią).

Według szacunków agendy ONZ pracuje tam grubo ponad 120 tys. osób, Azjatów, lecz również Afrykanów – z własnego wyboru, ale w większości zwiedzionych podstępem. I tak np. aktora Xu Bochuna zwabiono intratną propozycją zdjęć do serialu. Na szczęście sprawa obiegła media społecznościowe, poszukiwania zaginionego stały się wiralem i zaintrygowały miliony Chińczyków. Władze musiały interweniować i w końcu odnaleziono go w Mjanmie. Rodziny ofiar tworzą wspólne listy i wymieniają informacje o ich miejscach pobytu i możliwościach wykupu.

Proceder nazywa się mało romantycznie „zarzynaniem świń". Ofiarę obrabia zespół wyspecjalizowanych przestępców. Są wśród nich internetowi wyławiacze, obłaskawiacze wykorzystujący gotowe scenariusze wciągania i uzależniania, pomagają im dokumentaliści wyszukujący w sieci przydatne informacje o delikwencie, są też producenci awatarów, które prowadzą wideokonwersacje, a także specjaliści od operacji finansowych, bo wcześniej czy później w internetowych kontaktach pojawia się wątek bitcoinów. To paradoks, że w miejscach tak odległych i zagubionych osiągnięto wyżyny technologii i swoistej inżynierii społecznej.

Ale też trudno było to wszystko zachować w sekrecie. Swoją rolę odegrał wielki chiński przebój kinowy „Koniec zakładów" o losach dwójki porwanych bohaterów w piekle oszustów. Stawką był prestiż, bo za procederem stali głównie Chińczycy – i chińskie władze, wspólnie z Mjanmą i Tajlandią, która odgrywała rolę pośrednika, pod koniec 2023 r. uderzyły w stół. W procesach rodzin Ming i Bai zapadło 16 wyroków śmierci, teraz ruszył proces klanów Liu i Wei. Wspomniany szokujący reportaż odczytano jako przestrogę, że kończy się taryfa ulgowa. Po chińsku nazywa się to „poświęcić kurczaka, żeby postraszyć małpy". Jednak zdaniem analityków w miejsce likwidowanych „fabryk oszustw" szybko powstają nowe. Dopóki istnieje internet i rosną rzesze samotnych, spragnionych rozmowy jego użytkowników, a coraz mniej wiadomo, co tu jest rzeczywistością, a co fikcją, proceder wciąż ma perspektywy rozwoju.

eprasa.pl f001f96e29

Milczenie jest błotem

KATARZYNA KACZOROWSKA

Anka nie dotrwała do końca filmu. Z kina wyszła 15 minut przed końcem „Domu dobrego”. – Wszystko mnie bolało. Czułam każdy kawałek ciała i rozpadałam się tak, jak ta dziewczyna na ekranie – mówi przekonana, że film Wojciecha Smarzowskiego i dyskusja, jaką wywołał, sprawi, że może przemoc całkiem nie zniknie, ale jej skala będzie mniejsza.



eprasa.pl f001f96e29

Beata, psychoterapeutka pracująca m.in. z parami, obejrzała film do końca. Kiedy wychodziła z sali kinowej, mijała dwie kobiety. Ta starsza mówiła do idącej obok niej młodszej: „Dobrze by było, żeby go obejrzał tato". Po chwili jednak dopowiedziała: „Ale to chyba niemożliwe". – *Jestem przekonana, że w kinie było wiele osób doświadczających przemocy* – dodaje terapeutka. – *Ale sami sprawcy go zignorują. Albo zdezawuują, choć sukces frekwencyjny filmu pokazuje, że temat dosłownie wstrząsa ludźmi, więc ta skala widowni powinna nam uzmysłowić skalę problemu.*

Już wiadomo, że „Dom dobry", choć na ostatnim festiwalu filmowym w Gdyni nie zdobył żadnej nagrody, będzie drugim najbardziej kasowym filmem w dorobku Wojciecha Smarzowskiego. Na „Kler" (2018 r.) sprzedało się 5,2 mln biletów i jest to sukces niemożliwy do powtórzenia. „Wołyń" (2016 r.) zgromadził 1,5 mln widzów, lecz „Dom dobry" ten wynik poprawił z dużą nawiązką. W weekend otwarcia na dramat Smarzowskiego poszło 310 tys. widzów (dla porównania: polska świąteczna komedia „Uwierz w Mikołaja 2", która weszła do kin w tym samym dniu, przyciągnęła nieco ponad 114 tys. osób), po 17 dniach film miał już prawie 1,8 mln widzów. Sieci multipleksów wyczuły zapotrzebowanie i w trzecim tygodniu wyświetlania filmu zwiększyły liczbę seansów. A film dopiero zaczyna obieg w kinach studyjnych w mniejszych miejscowościach.

Piotr Karwowski, recenzent filmowy, autor bloga „Po napisach": – *Cieszę się z sukcesu frekwencyjnego „Domu dobrego". Nawet kilka uratowanych osób to plus każdego seansu.*

Sam Smarzowski i jego aktorzy – Agata Turkot i Tomasz Schuchardt – podkreślają, że historia Gośki i Grześka to opowieść oparta na wielu godzinach rozmów z kobietami, które przed przemocą uciekły do ośrodków prowadzonych przez organizacje społeczne. Ona poznaje go przez internet. Jest romantycznie, oświadczyny w Wenecji, ale stopniowo na pięknym obrazie pojawiają się rysy. Coraz grubsze. Coraz brutalniejsze. Bo jak to u Smarzowskiego, jest przemoc. Włącznie z realistyczną sceną gwałtu...

Bo zupa...

W 2024 r. – według danych Komendy Głównej Policji – wypełniono 59 174 nowych Niebieskich Kart, ale zgłoszeń było ponad 86 tys. W tej liczbie 50 638 od kobiet, 10 559 od mężczyzn, a od małoletnich 25 723. Te dane dotyczą wyłącznie przypadków zgłoszonych. A ile wciąż pozostaje tajemnicą czterech ścian? I to zarówno tych, które przypiszemy do tzw. marginesu, „domów złych", jak i tych, które uznajemy za „domy dobre"?

Psycholożka Maja Kuźmicz z Niebieskiej Linii Instytutu Psychologii Zdrowia Polskiego Towarzystwa Psychologicznego: – *Przemoc domowa jest demokratyczna. Mechanizmy wszędzie są takie same, choć formy różne. W tych tzw. lepszych domach też dochodzi do przemocy fizycznej. Czasami bardzo okrutnej. Kobiety, bo zwykle dotyczy to kobiet, nie wychodzą z domu przez długi czas, bo przecież nie pokażą się z pobitą twarzą. I takim osobom znacznie trudniej też prosić o pomoc, właśnie dlatego że są ze środowisk wpływowych, rozpoznawalnych.*

Już w 1997 r. Niebieska Linia ruszyła z pierwszą kampanią społeczną dotyczącą przemocy w rodzinie. Wtedy to był szok. W przestrzeni publicznej pojawił się temat, który wszyscy uważali dotąd za krępujący, nieelegancki. Billboardy z kobietą z siniakami na twarzy, siedzącą przy stole nad talerzem z zupą, dosłownie zalały kraj. Reakcja była szybka – hasło z tych billboardów „Bo zupa była za słona..." stało się swoistym memem, grepsem, który wszedł do potocznej polszczyzny jako synonim kpiny.

– *Pamiętam tę kampanię* – opowiada Piotr Karwowski. – *Na ulicy świeciły billboardy, były spoty telewizyjne, to weszło pod skórę. Ale nic nie dało. Czy film Smarzowskiego ma szansę coś zmienić? Tak – bo co, jak nie kino? Co, jak nie wiralowe udostępnianie treści o filmie? I te emocje, jakie niosą? Bo gniew w takich sytuacjach może tylko pomóc* – mówi i dodaje, że taka spontaniczna kampania społeczna zadziała na korzyść wszystkich rodzin.

Przede wszystkim mężczyzna

Maja Kuźmicz: – *Ludzie idą do tego kina, i wychodzą w trakcie filmu, bo to jest dla nich za dużo, za mocno. Widzą krzywdę, czasem przypomina im to ich osobiste doświadczenia i sceny nie do zniesienia. Rodzi się więc pytanie: co sami zrobimy, słysząc krzyki za ścianą? Widząc koleżankę z siniakami? Albo latem – w bluzce z długim rękawem i apaszką, by te siniaki na rękach i szyi przykryć?*

Dla kierowniczki Niebieskiej Linii jest oczywiste, że przemoc w rodzinie nigdy się sama nie zatrzyma. To zjawisko, które wymaga interwencji z zewnątrz. I wcale nie musi to być od razu interwencja policji. – *Chodzi o to, żeby ktoś z zewnątrz wziął tę krzywdzoną osobę za rękę i powiedział jej: „Czego potrzebujesz, żeby z tego wyjść? Jestem tutaj, żeby ci pomóc". To może być siostra, przyjaciółka, policjant, psycholog, różni ludzie, bo ktoś dotknięty przemocą sam nie jest w stanie przerwać cyklu przemocy, w którym tkwi* – mówi Kuźmicz i przytacza dane z raportu, jaki jej organizacja opracowała, analizując dane tylko z lutego 2024 r. Na infolinię zadzwoniono 1,5 tys. razy ze wszystkich regionów Polski: 17 proc. telefonów było z Mazowsza, ale ze Świętokrzyskiego tylko 0,67 proc. Połączenia wykonywano głównie z dużych (40 proc.) miast, ze wsi – 12 proc. wszystkich odebranych połączeń. Chociaż najwięcej rozmów (40 proc.) dyżurujący przeprowadzili z osobami doznającymi przemocy, to jednak 24 proc. połączeń wykonali świadkowie. Na infolinię zadzwoniło zaledwie 21 spanikowanych sprawców.

– *Zgłoszenia dotyczą w większości mężczyzn. To aż 84 proc. spośród wszystkich przypadków zgłoszonej przemocy. Przemoc stosują też rodzice; w tych lutowych zgłoszeniach była to jedna trzecia spraw.*

Znęty, alimenty

Art. 207 Kodeksu karnego: „Par. 1. Kto znęca się fizycznie lub psychicznie nad osobą najbliższą lub nad inną osobą pozostającą w stałym lub przemijającym stosunku zależności od sprawcy, podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5. Par. 1a. Kto znęca się fizycznie lub psychicznie nad osobą nieporadną ze względu na jej wiek, stan psychiczny lub fizyczny, podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 8. Par. 2. Jeżeli czyn określony w Par. 1 lub 1a połączony jest ze stosowaniem szczególnego okrucieństwa, sprawca podlega karze pozbawienia wolności od roku do lat 10. Par. 3. Jeżeli następstwem czynu określonego w Par. 1–2 jest targnięcie się pokrzywdzonego na własne życie, sprawca podlega karze pozbawienia wolności od lat 2 do 15. ▶

© GETTY IMAGES/ISTOCKPHOTO

eprasa.pl f001f96e29

▶ Ten artykuł policjanci, prokuratorzy, sędziowie i adwokaci powszechnie nazywają krótko – znęty. W parze z „alimenty" tworzy to zestaw najgorszych, budzących zniecierpliwienie, spraw. Co więcej, od osób pracujących z ludźmi dotkniętymi przemocą można usłyszeć, że owe znęty w praktyce skupiają w sobie wszelkie stereotypy dotyczące przemocy. A to oznacza, że kluczowa jest mentalność czy też praca nad zmianą mentalności tych, którzy z tą przemocą mają do czynienia na komisariacie policji, w gabinecie prokuratora czy ostatecznie na sali sądowej, jeśli w końcu sprawca usłyszy zarzuty i rozpocznie się proces.

Adwokat Emilia Mądrecka mówi wprost, że na sali sądowej panuje stereotyp ofiary, która w cichości ma przyjmować przemoc, każdy element obrony koniecznej traktuje się jako kontratak, a co za tym idzie, wzajemny konflikt, najczęściej małżeński. – *Każde zachowanie ofiary, bez względu na to, czy się broniła, czy krzyczała, czy była w romansie pozamałżeńskim, czy też w chorobie alkoholowej, a więc dosłownie w każdej sytuacji niemającej kompletnie żadnego znaczenia dla popełnienia przestępstwa, jest dobrym pretekstem do uznania konfliktu małżeńskiego, który z łatwością pozwala sprawy umarzać, uniewinniać sprawców przemocy i znosić wiarygodność ofiar* – mówi adwokatka. I dodaje, że zmuszanie ofiar do mediacji ze sprawcami przemocy stało się uniwersalnym elementem rzekomo nowoczesnego i koncyliacyjnego sposobu rozstrzygania spraw.

– *Znam przypadki, w których sądy kierują sprawy do mediacji, nie dostrzegając, że sprawca ma już zakaz zbliżania się do pokrzywdzonych czy ich nieruchomości. W ostatniej znanej mi sprawie, gdzie sprawca przemocy został nieprawomocnie uniewinniony, wystarczającym elementem dla zniesienia faktu przemocy fizycznej, potwierdzonego przez świadków grożenia śmiercią, była okoliczność, że ofiara „również uczestniczyła i była czynną stroną kłótni małżeńskich, a nadto dawała mężowi – oskarżonemu powody do zazdrości, które mogły wzbudzić w nim złość i agresję"* – Emilia Mądrecka nie kryje, że na sali sądowej jak w pigułce widać w sprawach „o znęty" nie tylko światopogląd, ale też stereotypy, ignorancję socjologiczną i psychologiczną. Bo przecież w przypadku pobicia kogoś obcego, a nie żony czy partnerki, nikt nikogo nie nakłania do mediacji.

Policjant nie zrobił nic

Trzy lata temu POLITYKA pisała o drastycznej zbrodni w Tarnowie. 43-letni Tomasz zamordował swoje dwie córeczki, sześcio- i trzyletnią, żonę i popełnił samobójstwo. Kilka dni przed tą tragedią Katarzyna złożyła pozew o rozwód. Powód – przemoc ze strony męża. Wcześniej jednak zgłosiła się do Centrum Usług Społecznych, by założyć Niebieską Kartę. Informację o przemocy w rodzinie przekazano na policję i do prokuratury. Według wstępnych ustaleń Katarzyna z córeczkami miały być ofiarami przemocy psychicznej ze strony Tomasza. Dzień po zawiadomieniu policji o założeniu Niebieskiej Karty kobieta powiedziała dzielnicowej, że mąż ją zgwałcił. Sprawa została więc skierowana do prokuratury i sądu. Postępowanie przygotowawcze ruszyło, sąd wystąpił o przesłuchanie Katarzyny O. w obecności biegłego psychologa. Nigdy do niego nie doszło.

Albo taka, w sumie podobna, historia. W październiku 2025 r. Radosław P., 25-letni policjant z podwrocławskich Prusic, usłyszał zarzuty niedopełnienia obowiązków służbowych i poświadczenia nieprawdy w notatce służbowej. Rzecz dotyczy głośnej zbrodni, jaka wydarzyła się w tej miejscowości w marcu: strażnik więzienny Adam Sz. po kłótni z żoną zastrzelił teściową. Potem poszedł sypialni i strzelił do pięcioletniej córeczki i dziewięcioletniego synka. Dziewczynka zginęła na miejscu, chłopiec zmarł w szpitalu. Na koniec Adam Sz. strzelił do siebie – z raną trafił na blok operacyjny. Zmarł w sierpniu.

Kilka tygodni przed tragedią na skrzynkę mailową dzielnicowego przyszła wiadomość, że strażnik więzienny znęca się psychicznie nad żoną, nadużywa alkoholu, prawdopodobnie prowadził samochód po pijanemu, i ma prawo do posiadania broni. Był 9 lutego. 17 dni później do dzielnicowego zadzwonił świadek, nieobojętna na przemoc osoba z otoczenia. Według prokuratury policjant nie zrobił nic. Dopiero 31 marca, a więc trzy dni po zbrodni, miał napisać w notatce służbowej, że weryfikował zawiadomienie o przemocy, kontaktując się z różnymi instytucjami i sądami. Śledczy przekonują, że to nieprawda. Dzielnicowy został zawieszony w czynnościach służbowych.

Sędzia Michał Lewoc, który przez wiele lat był naczelnikiem Wydziału ds. Przeciwdziałania Przemocy w Rodzinie w Departamencie Współpracy Międzynarodowej i Praw Człowieka Ministerstwa Sprawiedliwości, przyznawał trzy lata temu, że po przejęciu rządów przez Zjednoczoną Prawicę większość osób zajmujących się przemocą w rodzinie była pewna, że opracowany za rządów PO Krajowy Program Przeciwdziałania Przemocy w Rodzinie zostanie zamknięty. Prawica zapowiadała też wypowiedzenie podpisanej przez Polskę konwencji stambulskiej.

„Na szczęście program pozostał. Wprowadzono nawet przepisy dotyczące izolacji sprawcy, czyli możliwości usunięcia go przez policję z miejsca zamieszkania z osobami, nad którymi się znęca. I to bez żadnych dodatkowych nakazów sądowych czy prokuratorskich" – mówił Michał Lewoc. Choć jednocześnie w czasie rządów Zjednoczonej Prawicy organizacje pozarządowe pomagające osobom dotkniętym przemocą alarmowały, że drastycznie ograniczono im dotacje z Funduszu Sprawiedliwości, który miał wspierać ofiary przestępstw.

Kto przerwie krąg

Wiele osób uważa, że „Dom dobry" to obraz pokolenia 40 plus ukształtowanego przez rzeczywistość mniej lub bardziej przesiąkniętą przemocą. Piotr Karwowski: – *Tak, to są powidoki przemian, które dotknęły wielu dziedzin.* W kontrze do pokolenia lat 90. są dzisiejsze 20-latki i licealiści, którzy w ocenie Karwowskiego pod pierwszą, delikatną warstwą skóry, mają tę mocniejszą, odporną, jakby rzeczywiście więcej rozumieli. – *Osobom z tego pokolenia chodzi w związkach, „w relacjach" o partnerstwo, szacunek, niekoniecznie o umowy prawne wiążące dwoje ludzi* – mówi Karwowski, dodając, że właśnie to sprawia, że przemocy domowej, w postaci tak brutalnie pokazywanej u Smarzowskiego, jest mniej.

Dr Radosław Kaczan, psycholog z Uniwersytetu SWPS, który zawodowo zajmuje się bullyingiem, czyli przemocą rówieśniczą, pytany, czy młodzi, którzy buntują się przeciwko pokoleniu 40 plus, przerwą zaklęty krąg przemocy, wzdycha. – *Szkoła to pewien system, który odzwierciedla normy panujące w danej społeczności. Kluczowa dla problematyki przemocy jest kwestia, czy mamy kulturę przyzwolenia, czy nie? Czy mamy zgodę na zgłaszanie przestępstw, mówienie o przemocy? Czy raczej kulturę omerty, kapusia, donosiciela? Przekłamywanie i przemilczanie przemocy domowej można prosto przełożyć na to, co się dzieje między uczniami*

eprasa.pl f001f96e29

Podejmowanie interwencji w środowisku wobec rodziny dotkniętej przemocą odbywa się na podstawie procedury Niebieskiej Karty i nie wymaga zgody osoby doświadczającej przemocy w rodzinie. Nie jest wymagana zgoda ofiary ani sprawcy, może ją zainicjować niemal każda osoba lub instytucja, w tym policja, pracownicy socjalni, nauczyciele czy lekarze.

Postępowanie obejmuje wypełnienie **formularza „Niebieska Karta-A”** w obecności osoby dotkniętej przemocą w rodzinie z zapewnieniem jej warunków gwarantujących swobodę wypowiedzi i poszanowania godności oraz bezpieczeństwa; przekazanie osobie dotkniętej przemocą w rodzinie formularza „Niebieska Karta-B” zawierającego m.in. dane teleadresowe lokalnych instytucji udzielających pomocy ofiarom przemocy w rodzinie. W sytuacji tego wymagającej zapewnia się osobom dotkniętym przemocą w rodzinie miejsca w ośrodku wsparcia/ośrodku interwencji kryzysowej. **Zgłoszenia można dokonać również telefonicznie, np. dzwoniąc na numer Niebieskiej Linii 801 120 002 lub 116 123.**

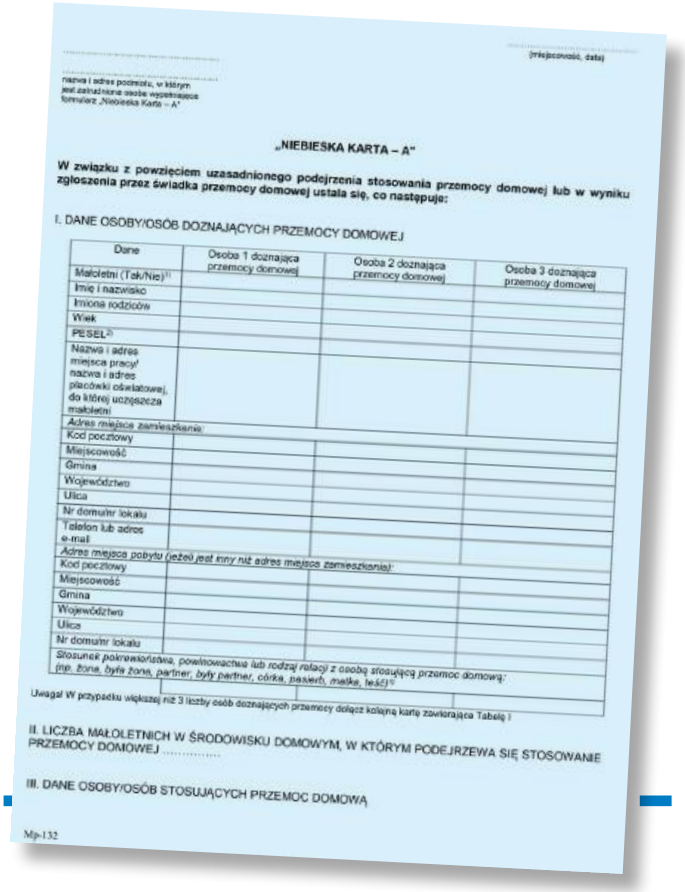

„NIEBIESKA KARTA – A”

W związku z powzięciem uzasadnionego podejrzenia stosowania przemocy domowej lub w wyniku zgłoszenia przez świadka przemocy domowej ustala się, co następuje:

I. DANE OSOBY/OSÓB DOZNAJĄCYCH PRZEMOCY DOMOWEJ

Dane	Osoba 1 doznająca przemocy domowej	Osoba 2 doznająca przemocy domowej	Osoba 3 doznająca przemocy domowej
Małoletni (Tak/Nie)[1]			
Imię i nazwisko			
Imiona rodziców			
Wiek			
PESEL[2]			
Nazwa i adres miejsca pracy/ nazwa i adres placówki oświatowej, do której uczęszcza małoletni			
Adres miejsca zamieszkania:			
Kod pocztowy			
Miejscowość			
Gmina			
Województwo			
Ulica			
Nr domu/nr lokalu			
Telefon lub adres e-mail			
Adres miejsca pobytu (jeżeli jest inny niż adres miejsca zamieszkania):			
Kod pocztowy			
Miejscowość			
Gmina			
Województwo			
Ulica			
Nr domu/nr lokalu			
Stosunek pokrewieństwa, powinowactwa lub rodzaj relacji z osobą stosującą przemoc domową: (np. żona, były żona, partner, były partner, córka, pasierb, matka, teść)[3]			

Uwaga! W przypadku większej niż 3 liczby osób doznających przemocy dołącz kolejną kartę zawierającą Tabelę I

II. LICZBA MAŁOLETNICH W ŚRODOWISKU DOMOWYM, W KTÓRYM PODEJRZEWA SIĘ STOSOWANIE PRZEMOCY DOMOWEJ .....

III. DANE OSOBY/OSÓB STOSUJĄCYCH PRZEMOC DOMOWĄ

Mjp-132

w szkole – mówi dr Kaczan. Jeśli na „swoich w szkole się nie donosi”, to i na „swoich w domu” rzadziej, z większymi oporami. Jeśli uczniowie nie powiedzą nauczycielowi o złu, które widzą, to jako dorośli nie powiedzą nikomu o tym, co się dzieje u sąsiadów. Czy w ich rodzinie.

Według raportu NASK „Nastolatek 3.0” tę fizyczną formę przemocy, charakterystyczną dla czasów sprzed rewolucji cyfrowej, dość skutecznie wypiera dziś cyberprzemoc. A jej skala jest zastraszająca.

Z zebranych przez zespół NASK danych wynika, że co trzeci nastolatek spotyka się z przemocą online. – *Skala złych doświadczeń poraża. Jak również to, że nasze dzieci milczą, będąc jej świadkami. 47 proc. nic nie zrobiło z cyfrową agresją. Nasze dzieci znoszą wyzywanie (29 proc.), ośmieszanie (19 proc.), poniżanie (18 proc.) i straszenie (13 proc.). Rodzice w większości mają złudne przekonanie, że dziecko przyjdzie do nich po pomoc, tyle tylko, że aż 17 proc. 17-latków nie potrafi stwierdzić, czy doświadczyło przemocy w sieci, czy też nie* – mówi dr Agnieszka Ładna z NASK, redaktorka raportu.

Jacek Wolszczak, psycholog z Pracowni Terapii i Rozwoju Badanie Świata, współtwórca strony depresjanastolatkow.pl, pytany, czy dzisiejsi młodzi porzucą przemoc, obrazuje to przykładem: budujemy dom nad brzegiem rzeki. Teoretycznie wiemy, że może nas dotknąć powódź, że możemy stracić dom, ale jednocześnie zakładamy, że ten kataklizm nas nie dotknie. Więc się od niego nie ubezpieczamy. – *Z przemocą jest podobnie. Ona owszem jest, ale dotyczy jakiegoś marginesu. Ludzi, których nie znamy, a nawet jak znamy, to i tak nie mamy z nimi do czynienia. Młodzi myślą, że na pewno nie wejdą w relację, w której będzie przemoc. Tylko że wchodzą i często są w stanie wytłumaczyć wszystko, byleby nie przyznać, że to, czego doświadczają, to jest właśnie przemoc.*

Wolszczak opowiada taką historię. Do jego gabinetu przyszła matka z synem. Rozmowa dotyczyła potencjalnych zagrożeń w sieci, m.in. uzależnienia od pornografii. Podczas rozmowy z terapeutą chłopak opowiedział, że kiedyś ojciec wpadł do pokoju, wyrwał mu telefon i go zmiażdżył, przygniótł syna całym ciałem, przytrzymywał i dusił. Na to matka: „Proszę pana, to nie było tak. Mąż dynamicznie przytrzymywał syna za szyję...”. – *A potem usłyszałem, że mąż nie jest żadnym przemocowcem. Tylko czasami się zdenerwuje. Ostatnio jak obierała ziemniaki, to rzucił w nią nożem. Okazało się, że rodzice nastolatka są w związku nieformalnym, partner tej kobiety co roku mówił, że się z nią ożeni, ale na koniec roku podkreślał, że znów nie zasłużyła na ten ślub. I ta kobieta przekonywała mnie, że w ogóle nie jest osobą, wobec której jest stosowana przemoc. Ani ona, ani jej syn* – mówi Wolszczak.

Niedawno grupa uczniów ze szkoły podstawowej zaalarmowała szkolną pedagożkę, że ich kolega prawdopodobnie jest ofiarą przemocy domowej. Chłopak wstydził się przebierać przed lekcjami wuefu, bo kiedy ściągał ubranie, wszyscy mogli zobaczyć siniaki na jego ciele. Okazało się, że nad nastolatkiem znęcała się matka, którą zatrzymano i wobec której zastosowano zakaz zbliżania się do syna. Chłopiec trafił do starszego brata, który został jego rodziną zastępczą.

– *Zerwano omertę. Koledzy tego chłopca nie bali się, że ktoś ich wyzwie od donosicieli. I to jest nadzieja na przyszłość. Bo tylko tak możemy przerwać zaklęty krąg przemocy* – mówi wprost dr Radosław Kaczan.

Warto przypomnieć: te blisko 86 tys. osób rocznie, wobec których według danych KGP inna bliska osoba stosuje przemoc fizyczną, psychiczną czy ekonomiczną, a bywa, że wszystkie razem, to tylko te przypadki, które zostały zgłoszone odpowiednim służbom. I to od świadków zależy, czy będą zamykać oczy, czy reagować. Bo zakończenia każdej z tych historii mogą być dwa – dobre lub tragiczne – jak w filmie Smarzowskiego. Ale wybór tego zakończenia zależy nie tylko od ofiary.

KATARZYNA KACZOROWSKA,
WSPÓŁPRACA JAKUB DEMIAŃCZUK

eprasa.pl f001f96e29



Patrycja i Zbigniew Ziobrowie w Budapeszcie

Dwoje na huśtawce

Zbigniew Ziobro wciąż nie wraca do Polski. Jaka przyszłość czeka byłego ministra sprawiedliwości i jego żonę Patrycję – do niedawna najbardziej wpływową parę polskiej polityki?

ANNA DĄBROWSKA

Dobry znajomy małżeństwa Patrycji Koteckiej-Ziobro (kilka dni temu skończyła 48 lat) i starszego od niej o osiem lat Zbigniewa Ziobry mówi, że wydarzenia ostatnich tygodni naprawdę nimi wstrząsnęły. – *Patrycja jest bardzo odporna psychicznie. Często trywializowała ich kłopoty, mówiła, że to szopka, która nie robi na niej wrażenia. Uspokajała Zbyszka, kiedy wpadał w emocjonalne rozdygotanie. Teraz ją też naprawdę trafiło.* 7 listopada Sejm uchylił Zbigniewowi Ziobrze immunitet, by można było postawić mu 26 zarzutów za malwersacje w Funduszu Sprawiedliwości. Posłowie zgodzili się też na ewentualny areszt tymczasowy.

Osoby z politycznego kręgu Ziobrów snują nieco inną opowieść o dobrostanie życiowym Ziobrów. – *Polowanie na Zbigniewa Ziobrę trwa od 20 lat, to dla nich żadna nowość. Od zawsze udowadniał, że jest twardym politykiem, a walka z rakiem tylko go wzmocniła.*

© TVN 24

eprasa.pl f001f96e29

Nabrali z Patrycją dystansu i są jeszcze bardziej odporni niż przed chorobą – mówi polityk z drużyny Ziobry.

Wielu twierdzi z pełnym przekonaniem, że Ziobro nie zaszedłby w polityce tak wysoko, gdyby nie stała przy nim pragmatyczna żona. Ktoś dodaje: – *I może też nie wpadłby w takie tarapaty. To Patrycja napędza go do wszystkiego i jest jego najważniejszym polityczno-medialnym doradcą. Najchętniej mówiłaby za niego. Wymyśliła strategię, by Ziobrę kreować na męczennika reżimu Tuska.*

Coś w tym jest. Przykład z ostatnich dni: tydzień po sejmowym głosowaniu nad immunitetem Ziobry reporter TVN24 odnalazł małżeństwo w Budapeszcie. W biegu na ulicy zapytał, czy zamierza ukrywać się przed polskim wymiarem sprawiedliwości na Węgrzech. Zanim Ziobro zdążył otworzyć usta, Kotecka już mówiła: „Panie redaktorze, przecież mąż się nie ukrywa. Podał adresy w dwóch miejscach, w których przebywa, nie ukrywa się". Ziobro mówił od siebie, że „Szajka Donalda Tuska to nie jest państwo prawa. Zawsze prawu się podporządkowuję, szajce nigdy. Zawsze stawiam opór przestępcom. Donald Tusk jest przestępcą" – po czym przerwał rozmowę i wsiadł do taksówki, której drzwi otworzyła mu żona...

Ziobro do Polski wracać nie zamierza, by stawić czoła zarzutom. Przypomnijmy, że dotyczą m.in. założenia i kierowania „zorganizowaną grupą przestępczą, jak również ustawiania i ręcznego sterowania konkursami na dotacje z Funduszu Sprawiedliwości i przywłaszczania pieniędzy uzyskiwanych w tej drodze". Łącznie zarzuty, w tym te dotyczące współdziałania przy udzielaniu dotacji podmiotom nieuprawnionym, obejmują ponad 143 mln zł. Prokuratura wystąpiła już do sądu o trzymiesięczny areszt dla Ziobry. Posiedzenie w tej sprawie wyznaczono na 22 grudnia. Główną przesłanką prokuratury jest duże prawdopodobieństwo, że Ziobro popełnił zarzucane mu przestępstwa. Rzecznik prokuratury powiedział również o dodatkowych przesłankach, czyli obawie ucieczki lub ukrycia się. Ale Ziobro wskazał dwa miejsca – w Brukseli i w Budapeszcie – gdzie może zostać przesłuchany.

Jak pisała Ewa Siedlecka w POLITYCE, nie można wydać za nim listu gończego, co jest warunkiem wydania europejskiego nakazu aresztowania, bo się nie ukrywa. I najważniejsze, na co też zwraca uwagę Siedlecka, jeśli Ziobro nie będzie w tej lub innej formie przesłuchany i nie odniesie się do zarzutów, to prokuratura nie będzie mogła postawić go przed sądem. Decydując się na przesłuchanie za granicą, prokuratura będzie mogła w najbliższym czasie postawić go w stan oskarżenia. Zwlekając, ryzykuje, że stan zdrowia Ziobry się pogorszy, trafi do szpitala, przedstawi zwolnienie i możliwość przesłuchania może się odwlec o wiele miesięcy.

Jeden z bliskich współpracowników Ziobry zapewnia, choć trudno w to uwierzyć, że gdyby Ziobrowie mieli pewność, że wyjdzie po trzymiesięcznym areszcie, to byłby skłonny przyjechać do Polski. – *Ale wiadomo, że będzie siedział o wiele dłużej. A wyznaczenie posiedzenia na 22 grudnia jest po to, aby Polacy mieli o czym rozmawiać przy stołach świątecznych. Ale takimi pokazówkami Tusk i Żurek przegrzeją temat* – uważa jeden z ważnych ziobrystów.

Na razie czekający na rozliczenia muszą zadowolić się uchyleniem Ziobrze immunitetu w sprawie 26 zarzutów, odebraniem paszportu dyplomatycznego i zabezpieczeniem majątkowym na jego dwóch nieruchomościach oraz pieniędzy na rachunku bankowym. To ostatnie Ziobro skomentował kilka dni temu: „Decyzja wobec mnie jest bezprawna i nie robi na mnie wrażenia. Jestem niewinny. Martwić powinni się ci, którzy w otoczeniu Tuska kradli na potęgę. Wrócimy, dokończymy te sprawy i państwo odbierze im nielegalnie zdobyty majątek. Zaangażowani w polityczne prześladowania poniosą konsekwencje".

Dodał, że nie ma i nigdy nie miał na koncie żadnych milionów, a środki z ostatnich lat przeznaczył na walkę z rakiem, operacje za granicą i leczenie powikłań. Według prokuratury na zabezpieczonych rachunkach polityka „nie było pieniędzy", ale jeśli środki wpłyną na konto, to zostaną zabezpieczone.

Być może decyzję o zajęciu swoich kont i majątku Ziobro faktycznie przyjął ze spokojem, bo od lat ma ze swoją żoną intercyzę, więc mają z czego żyć. Zawarli ją w 2011 r. jeszcze przed ślubem. Kotecka już była właścicielką dwóch nieruchomości. Jej rodzice sprzedali swoje duże mieszkanie na warszawskim Wilanowie, by dołożyć jedynaczce pieniądze do zakupu dużego apartamentu na Skarpie Wilanowskiej w Warszawie (w ramach ustaleń rodzinnych otrzymali jej 50-metrowe mieszkanie na Woli w Warszawie, które Patrycja Kotecka nabyła w czasach panieńskich). Ten apartament to ponad 120-metrowe mieszkanie kupione za prawie milion złotych w 2010 r., które – jak ustalił w 2023 r. Wojciech Czuchnowski – sprzedał żonie Zbigniewa Ziobry były współpracownik komunistycznych służb specjalnych Andrzej Kozłowski. W III RP współpracował on z deweloperską Grupą Radius, której założyciel miał kontakty z rosyjskimi oligarchami. Dodatkowo Kotecka w 2014 r. nabyła na spółkę z rodzicami 53-metrowe mieszkanie na Mokotowie za nieco ponad 400 tys. zł.

Z ostatniego oświadczenia majątkowego (dane na koniec 2024 r.) Ziobry wynika, że ma kredyt hipoteczny na 135-metrowy dom jednorodzinny w Jeruzalu (we wsi w woj. łódzkim). Wszyscy mogli zobaczyć ten weekendowy dom Ziobrów otoczony murem i monitoringiem w marcu 2024 r. podczas przeszukania ABW w związku ze śledztwem w sprawie FS. Ziobro wyceniał go na ok. 950 tys. zł. W jego ostatnim oświadczeniu majątkowym nie ma drugiej nieruchomości (w powiecie krakowskim), na które prokuratura także wydała postanowienie o zabezpieczeniu. Musiał stać się jej właścicielem już w 2025 r. Dodatkowo Ziobro wpisał do oświadczenia gospodarstwo rolne (73 ary) warte ok. 175 tys. zł oraz dwie działki leśno-rolne – 1,1 ha (warta 140 tys. zł) i 1,4 ha (warta 170 tys. zł). Na koniec 2023 r. miał jeszcze jedną trzecią udziału w domu rodzinnym w Krynicy, który jednak sprzedał, co na koniec ostatniej kadencji znacznie podwyższyło jego oszczędności do 600 tys. zł. W grudniu 2024 r. miał 476 tys. zł oszczędności.

Ziobro pobiera z Sejmu co miesiąc ponad 13 tys. zł brutto uposażenia i 4 tys. zł diety poselskiej. Ostatni raz pojawił się tu na głosowaniach 17 października, ale większość w tej kadencji opuścił (na 2816 głosował 524 razy, czyli był obecny na 18 proc. głosowań). Swoje nieobecności regularnie usprawiedliwia – zwykle chorobą – więc nie ma żadnych finansowych potrąceń.

Jak tłumaczył adwokat Ziobry, „centrum jego spraw życiowych" od dłuższego czasu jest poza Polską. Obecnie czasowo przebywa w Budapeszcie, często w towarzystwie żony. Już na początku 2024 r., zaraz po tym, jak PiS oddał władzę, Patrycja dostała posadę asystentki europosłów Suwerennej Polski ▶

eprasa.pl f001f96e29



Podobno Kotecka chciała, aby Ziobro został prezydentem, a ona pierwszą damą. Na to już raczej nie ma szans. Ale oboje są chorobliwie ambitni.

▶ – Patryka Jakiego i Beaty Kempy. Wtedy też małżeństwo zaczęło urządzać się w Brukseli. Wynajęli mieszkanie w jednej z droższych dzielnic miasta w odległości ok. 20 min spacerem od europarlamentu w otoczeniu zielonych skwerów. Jak podawał „Fakt" „wynajęcie tu mieszkania to miesięczny koszt między 1500 a nawet 2800 euro (ok. 11 800 zł)" – *To całkiem sporo, więc my tu podejrzewamy, że dlatego po wyborach do PE w czerwcu 2024 r. Patrycja została asystentką już trzech, a nie dwóch europosłów, aby na wszystko starczyło* – mówi jeden z europosłów. Dziś to asystentka Daniela Obajtka, Jacka Ozdoby i Patryka Jakiego.

Z oficjalnej strony PE: „Akredytowani asystenci to osoby zatrudnione na podstawie umowy bezpośredniej z Parlamentem Europejskim. Pracują w pomieszczeniach parlamentu w jednej z trzech jego siedzib: Brukseli, Strasburgu lub Luksemburgu, i pomagają posłom merytorycznie". Nieoficjalnie posłowie, nawet z PiS, przyznają, że za często nie widzą jej na korytarzach. Zaistniała w lutym tego roku, kiedy podczas konferencji prasowej w PE ministra Adama Bodnara nagrywała telefonem rozmowę europosłów Krzysztofa Brejzy i Dariusza Jońskiego. Kiedy Brejza zapytał, dlaczego to robi, zaczęła obchodzić go i przez kilkanaście sekund, bez słowa, wpatrywała się w europosła. Komentował, że przypominało to klimaty znane z filmów o mafii.

Ile zarabia Kotecka? Maksymalna stawka dla asystenta to 10,6 tys. euro na miesiąc i podobno dostaje w górnym limicie – ok. 43 tys. zł. „Fakt" donosił, że 15- i 11-letni synowie Ziobrów chodzą tu do szkoły, „która stanowi kolejne wyzwanie dla budżetu polityka. Roczne czesne w wybranej przez Ziobrów placówce wynosi niemal 11 000 euro, a więc około 46 tys. zł". Jeden z pracujących od lat w PE asystentów prostuje te informacje: – *To prawda, że szkoła może tyle kosztować, dzieci uczą się tu po angielsku i po francusku, ale osoby zatrudnione przez europarlament, takie jak pani Kotecka-Ziobro, mają pełne dofinansowanie do szkół dzieci na terenie Belgii. Tak więc nic z budżetu domowego nie dopłacają.*

Kiedy małżeństwo przebywa w Budapeszcie, synami w Brukseli zajmuje się teściowa Ziobry. On sam, zanim przeniósł się na Węgry, często był widywany w jednym z brukselskich parków. – *Mocno rzucał się w oczy, bo w parku jest bieżnia i większość ludzi przychodzi tu na sportowo pobiegać, a Zbyszek urządził sobie tu na ławeczce budkę telefoniczną. Godzinami rozmawiał przez telefon* – opowiada jeden z europosłów. Wiadomo też, że Ziobro w Brukseli leczy się na nowotwór przełyku zdiagnozowany w listopadzie 2023 r. Przez długi czas do mediów docierały strzępki informacji na temat choroby, a dopiero kiedy nie stawiał się kilkakrotnie przed komisją ds. Pegasusa, zaczął opowiadać o tym publicznie. W portalu wSieci wiosną 2024 r. mówił, że zdecydował się na leczenie za granicą, ponieważ prowadząca jego przypadek prof. Elżbieta Starosławska miała otrzymywać pogróżki (zmarła w marcu 2024 r.). „Zdecydowałem się na operację za granicą, którą opłaciłem z własnych oszczędności. Był to zwykły szpital, nie żadna, jak niektórzy sugerują, ekskluzywna klinika". Opublikował też zdjęcia, jak leży podpięty do aparatury medycznej. Kotecka w listopadzie rok temu opowiadała w „Fakcie", że mąż przeszedł w Belgii poszerzenie przełyku i żołądka, w przyszłości konieczne będą kolejne takie operacje. Podobno od miesięcy jego stan jest stabilny, ale nie jest całkiem wyleczony. Jeden z europosłów powątpiewa w opowieści o tym, że Ziobro sam sfinansował leczenie. Tu znów z pomocą mógł przyjść PE, który pracownikom, takim jak Kotecka-Ziobro zwraca 80 proc. kosztów leczenia w Belgii dla nich, dzieci oraz małżonków. – *Nie wierzę, aby Ziobrowie o tym nie wiedzieli i z tego nie skorzystali* – twierdzi.

Jej znajomy twierdzi, że Ziobrowie nie mają odłożonych milionów na koncie, ale do biedy im daleko. „Jak trzeba będzie, to zmienię branżę" – mówiła w 2008 r. dziennikarzom „Polska The Times" Patrycja Kotecka atakowana za to, że w TVP pełni funkcję komisarza politycznego. Dodawała „Można np. otworzyć budkę z zapiekankami. Jak się ciężko pracuje, to po dwóch latach będą dwie i starczy do końca miesiąca. Najważniejsze, by żyć uczciwie i w zgodzie z własnym sumieniem". Nie rozkręciła biznesu z zapiekankami.

Osiem lat od tamtej rozmowy, w marcu 2016 r., bez konkursu została dyrektorką marketingu Towarzystwa Ubezpieczeń Link4, zależnego od PZU, który wówczas był strefą wpływów jej męża, ministra sprawiedliwości. Od marca 2020 do lutego 2023 r. zasiadała w zarządzie tej spółki. Jak podało radio ZET, w Link4 zarobiła w spółce ponad 4,5 mln zł netto. Jako członek zarządu otrzymywała na rękę średnio 41 tys. zł miesięcznie. Co roku wypłacano jej także ponad 100 tys. zł premii. Za jej czasów Link4 sporo inwestował w reklamę w „Fakcie", który miał dla Ziobry, jako ministra sprawiedliwości, taryfę ulgową, a bywało, że ocieplał jego wizerunek, na co skarżyli się ludzie Mateusza Morawieckiego.

Kotecka przewija się we wnioskach audytowych spółki, gdzie zarzuca się jej niekompetencję i dopuszczanie się licznych nieprawidłowości. Ale zawiadomienia na nią nie trafiły do prokuratury. Kiedy odchodziła ze spółki, mówiła, że poświęci się pracy naukowej, ale niedługo później odnalazła się jako asystentka w Brukseli.

Historia początków znajomości Patrycji Koteckiej i Zbigniewa Ziobry ma dwie wersje. W tej, którą oni sami wykreowali, to poznali się w 2003 r. w czasie obrad sejmowej komisji śledczej badającej tzw. aferę Rywina. Ona jako ambitna dziennikarka śledcza relacjonowała jej prace. On, choć usłyszał od przesłuchiwanego Leszka Millera słynne „Pan jest zerem", wyrósł wtedy na jednego z czołowych polityków PiS.

„Szczególną uwagę zwróciłem na Patrycję, kiedy przesłuchiwaliśmy Leszka Millera. (...) Po siedmiu godzinach

© ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

eprasa.pl f001f96e29

słuchania i patrzenia na Leszka Millera zobaczyłem w końcu piękną kobietę, która się uśmiechała" – wspominał Ziobro w jednym z wywiadów.

A oto druga wersja. „Gazeta Wyborcza" w 2020 r. ujawniła zeznania jednego z bossów mafijnych, Piotra K. „Brody", który poszedł na współpracę z prokuraturą. Przesłuchiwany w 2009 r. mówił śledczym o związkach Koteckiej ze środowiskiem przestępczym, które ciągnęły się do połowy 2006 r. „Kotecka (...) wykonywała dla nas wiele działań, a w szczególności z uwagi na jej charakterystyczną urodę podrzucaliśmy ją różnym osobom, także z kręgu polityki, biznesu, ale także funkcjonariuszom policji" – zeznał „Broda".

Ziobro mógł się czegoś domyślać, bo jak opisywał „Newsweek", bojąc się prowokacji ze strony mafii, udał się w 2006 r. do ówczesnego szefa Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego Bogdana Święczkowskiego z poleceniem, aby podległe mu służby sprawdziły Kotecką, wtedy już jego narzeczoną. W archiwum ABW pozostały dwie teczki z materiałami z inwigilacji.

W 2005 r., gdy PiS pierwszy raz przejął władzę, Ziobro został ministrem sprawiedliwości. Kariera Koteckiej nabrała tempa. Kiedy prezesem telewizji został Andrzej Urbański, wcześniej szef kancelarii prezydenta Lecha Kaczyńskiego, awansował ją na zastępcę dyrektora Agencji Informacji TVP.

Janusz Kaczmarek, były minister spraw wewnętrznych w rządzie PiS, w swojej książce relacjonował, jak Ziobro przekonywał Urbańskiego do Koteckiej. „Będzie pan potrzebował ludzi, ja mam taką osobę, jest nią redaktor, za którą mogę poręczyć, Patrycja Kotecka. To osoba, która będzie działała na naszą rzecz". Ona wywiązywała się z zadania. Podobno mawiała – jak twierdzili reporterzy „Wiadomości" – że coś nie będzie pokazane, „bo może zaszkodzić PiS-owi".

W 2011 r. „Fakt" opublikował zdjęcia z cywilnego ślubu Ziobrów. Kilka miesięcy wcześniej Ziobro, po tym, jak Kaczyński wyrzucił go z partii, stanął na czele Solidarnej Polski. Wierni druhowie Kaczyńskiego opowiadają, że Ziobro przez wiele lat przekonywał prezesa, że on też nie zakłada rodziny, bo chce się całkowicie poświęcić Polsce. Ale potem chciał na kontrze do prezesa budować wizerunek odpowiedzialnego męża i ojca. W 2011 r. w „Gali" opowiadał o małżeństwie z Patrycją, a w „Vivie" o ojcostwie i pozował z kilkumiesięcznym synkiem. To był sprytnie wyreżyserowany spektakl na potrzeby czytelników kolorowej prasy. Kotecka uzupełniła rodzinny obrazek Ziobry, ale małżeństwo miało też uciąć intensywne spekulacje na temat jego orientacji seksualnej.

Wśród znajomych są skrajne opinie na temat ich relacji. Niektórzy mówią, że to układ polityczny, inni, że darzą się szczerym uczuciem. Ziobro twierdzi, że ślub kościelny wzięli kilka miesięcy przed cywilnym. Podobno wiedziało o nim tylko kilka osób. Niektórzy w ten sakramentalny związek powątpiewają, nikt nie widział z tej ceremonii ani jednego zdjęcia. Formalnie Kościół dopuszcza zawarcie małżeństwa bez skutków cywilnych, ale trzeba mieć na to zgodę ordynariusza diecezji i jest udzielana w wyjątkowych przypadkach.

Podobno Kotecka chciała, aby Ziobro został prezydentem, a ona pierwszą damą. Na to już raczej nie ma szans. Ale oboje są chorobliwie ambitni. Dlatego nie odpuszczają, a ona doradza mu, jak rozgrywać polityczne sytuacje i wychodzić z zakrętów. W 2018 r. w przerwie programu zadzwoniła do TVN24 i zaprzeczyła, że jej mąż zna radcę prawnego zamieszanego w aferę z KNF. Odegrała też ważną rolę w jednej z afer w polskich mediach. W 2020 r. OKO.press ujawniło, że w wp.pl pojawiają się teksty wychwalające Ziobrę. Ich autorem okazał się piszący pod pseudonimem Suwart dziennikarz, który po wybuchu afery znalazł pracę w resorcie Ziobry. Na tej „współpracy" wp.pl miała zarobić ok. 6 mln zł z Funduszu Sprawiedliwości.

Ślady działalności Koteckiej-Ziobro widać też zresztą w tej aferze. Z taśm Tomasza Mraza, byłego dyrektora w resorcie Ziobry, który poszedł na współpracę z prokuraturą, wynika, że miała wpływ na rozdzielanie pieniędzy. Jedna z osób nagranych przez Mraza zastanawia się, co w sytuacji, kiedy padną pytania o Kotecką: „O kontakty z panią Patrycją? Co robić? Na ile ingerowała w różne rzeczy? Ja się wszystkiego wyprę *(śmiech)*, chyba że mają na Pegasusie moją czułą korespondencję z nią *(śmiech)*". Słychać też, jak Romanowski wspomina, że ktoś miał „niezłe doświadczenie z Patrycją: „Dzwoni do niego w nocy i mówi: »jeżeli pan chce w tym kraju jeszcze w mediach robić karierę, to coś tam, coś tam...«".

Małżeństwo Ziobrów chce jeszcze dla siebie kariery „w tym kraju", ale na powrót muszą poczekać co najmniej do wygranej PiS w 2027 r. Na razie Ziobro jest bezpieczny na Węgrzech. Jednak wiosną 2026 r. Orbán może przegrać wybory, na co wskazują ostatnie sondaże, i złoży parasol ochronny nad Ziobrą i Romanowskim. Ale mają już plan B. – *Poważnie myślą o tym, by schronić się u Donalda Trumpa. Trwają zabiegi w tej sprawie. Ich synowie już teraz świetnie mówią po angielsku i są na to szykowani* – mów znajomy rodziny. I dodaje, że plan jest taki: przeczekają „reżim Tuska" i wrócą.

ANNA DĄBROWSKA

REKLAMA

Unia Europejska wspiera strategiczną dla Polski infrastrukturę badawczą.

OPI PIB ogłasza nabór wniosków o dofinansowanie w ścieżce dla projektów z Polskiej Mapy Infrastruktury Badawczej.

opi.org.pl/feng

Fundusze Europejskie dla Nowoczesnej Gospodarki

Działanie 2.4 Badawcza Infrastruktura Nowoczesnej Gospodarki

Budżet konkursu wynosi 350 mln złotych.

Termin naboru: 15 grudnia 2025 r. – 31 marca 2026 r.

Wspieramy rozwój infrastruktury badawczej o kluczowym znaczeniu dla polskiej gospodarki, a także rozwój kompetencji kadry naukowej w obszarze wykorzystania tej infrastruktury, komercjalizacji, transferu technologii i zarządzania innowacjami.

Nabór prowadzi Ośrodek Przetwarzania Informacji – Państwowy Instytut Badawczy.

Fundusze Europejskie dla Nowoczesnej Gospodarki | Rzeczpospolita Polska | Dofinansowane przez Unię Europejską

eprasa.pl f001f96e29



© WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

Dwóch na solo

Ostre zwarcia w półdystansie przerywane kolejnymi rosyjskimi prowokacjami, a potem jeszcze raz od nowa. Konflikt Tuska z Nawrockim niemal bez reszty zdominował naszą politykę, odcinając tlen pozostałym graczom.

RAFAŁ KALUKIN

W polityce jak w przyrodzie, wszystko ma swoją kolej. Wybory prezydenckie stanowiły moment przesilenia, latem weszliśmy w okres silnych turbulencji. W pierwszej kolejności były one następstwem kryzysu przywództwa, którego doświadczyli obaj dotychczasowi hegemoni (chociaż można odnieść wrażenie, że tylko jeden z nich był tego naprawdę świadomy). Ale jesienią sytuacja zaczęła się stabilizować. Ponownie zaznaczyły się linie frontu, urealniły stawki poszczególnych graczy. Przyjrzyjmy się zatem ich potencjałom.

Donald Tusk wydobył się z najgłębszego od dwóch dekad dołka w swojej karierze. Po porażce Rafała Trzaskowskiego jego przywództwo zachwiało się dramatycznie. Był zagubiony jak nigdy, stracił zdolność podejmowania decyzji, kluczył po omacku. Jego niepewność widać było właściwie na każdym kroku, w decyzjach, emocjonalnych publicznych wystąpieniach, mimice, gestach.

Dominująca pozycja Tuska w obozie demokratycznym była przez chwilę realnie zagrożona. Gdyby rzucił mu wtedy rękawicę silny konkurent, sukcesja – jeśli nie władzy, to na pewno autorytetu – byłaby całkiem prawdopodobna. I taka figura nawet pojawiła się na szachownicy, tyle że premierowi dopisało szczęście. Bo latem Radosław Sikorski miał spore szanse, żeby zostać „nowym Tuskiem". Tyle że nie chciał, bo – niezależnie od osobistej lojalności – jego marzeniem pozostaje od lat prezydentura. Sam więc starał się wygaszać sugestie, że jeszcze w tej kadencji mógłby przejąć po Tusku premierostwo i kierownictwo w obozie.

Kiedy więc Tusk przetrwał najgorszy okres, zaczął z powrotem umacniać swoje władztwo. A że jest w tym niezrównanym mistrzem, kolejny raz zdołał się odbudować. Jeszcze niedawno koalicja trzeszczała w szwach, ale sprawne przekazanie laski marszałkowskiej od Szymona Hołowni do Włodzimierza Czarzastego pokazało, że sterowność przynajmniej na razie wróciła. Charakterystyczne, że premier nawet nie musiał w tym celu awansować nielubianej

eprasa.pl f001f96e29

przez siebie Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz. Jeśli nawet ostatecznie zostanie ona wicepremierką, nikt nie powie, że Tusk uległ presji.

Zresztą żaden z koalicjantów już sobie nie pozwala na podważanie pozycji szefa rządu. Celujący w tym Hołownia jest na wylocie, a jego partia zanika. Władysław Kosiniak-Kamysz co prawda prężył ostatnio suwerennościowe muskuły, chociaż wszyscy wiedzą, jak bardzo są wątłe. Szukające wyborczych podpórek PSL wydaje się dzisiaj skazane na wspólne listy z KO. Ludowcy oczywiście nadal będą półgębkiem wspominać, że po prawej stronie też mogą poszukać partnerów, ale w praktyce są petentami Tuska. Z kolei Czarzasty dostał, czego chciał, i teraz bardzo chętnie podejmie się roli strażnika interesów koalicji na odcinku sejmowym.

Tusk uporządkował również własny obóz. Skonsolidował na nowo Koalicję Obywatelską, niedługo odnowi formalne przywództwo. Poprawił kulejącą dotąd komunikację i wydaje się, że zaczyna kontrolować główne narracje. Niebagatelna w tym zasługa nadzwyczaj decyzyjnego i zarazem medialnego Waldemara Żurka. Dzięki nowemu ministrowi udało się ponownie skierować uwagę opinii publicznej na rozliczenie rządów PiS, co jeszcze na początku jesieni wydawało się tematem zużytym, za to wszystkie celowniki skierowane były w stronę kiepskiej sprawczości obecnego rządu.

Widać jednak, że od tamtego czasu wyborcy koalicji 15 października urealnili też swoje oczekiwania. Przegrana Trzaskowskiego wielu z nich przeraziła. Początkowo istniała obawa, że zniechęceni odpłyną na długą emigrację wewnętrzną, ale tak się nie stało. Być może paradoksalnie pomógł w tym złowrogi z ich punktu widzenia trend po prawej stronie: radykalna sylwetka nowego prezydenta, umacniająca się Konfederacja i przede wszystkim sondażowy awans Grzegorza Brauna. Zagrożenie recydywą prawicowych rządów zyskało w tej sytuacji zupełnie nowy wymiar. Na tle tego, co może się wydarzyć w 2027 r., populizm Jarosława Kaczyńskiego może się wydawać wręcz poczciwy.

I Tusk z takich obaw korzysta, umiejętnie szermując obrazem wroga. Dzisiaj to już nie jest tylko stara polaryzacja na linii PO-PiS. To podział na demokratów i populistyczno-radykalną prawicę, której słabnący PiS staje się jedynie fragmentem. Natomiast figurą, która skupia w sobie wszystkie prawicowe nurty, jest oczywiście Karol Nawrocki. Jeśli więc polaryzować w takich realiach scenę, to najlepiej w twardym zwarciu z prezydentem. Co też Tusk konsekwentnie stara się czynić, znajdując po drugiej stronie przeciwnika równie chętnego do bitki.

Obóz prezydencki pomylił się w początkowych kalkulacjach. Inauguracja Karola Nawrockiego przypadła na okres skrajnej słabości Tuska. Dynamiczny start prezydentury miał więc być początkiem blitzkriegu, który w parę miesięcy ostatecznie zniszczy morale drugiej strony. A wtedy reszta kadencji zeszłaby na sukcesywne dobijanie konającego rywala. Być może z perspektywą przyspieszonych wyborów.

Tak się jednak nie stało. Tyleż z powodu niezwykłej żywotności Tuska, co również braku doświadczenia Nawrockiego, który zderzył się z tymi samymi instytucjonalnymi ograniczeniami co jego poprzednicy. Niesiony osobistą popularnością najwyraźniej uwierzył, iż jest w stanie lepiej wykorzystać swoje konstytucyjne uprawnienia. Plan był zuchwały: zmusić rząd do realizowania wyborczych obietnic Nawrockiego. Podstawowym narzędziem szantażu stały się oczywiście seryjnie ogłaszane weta, które miały sparaliżować aktywność gabinetu Tuska, pozbawić go wszelkiej już sprawczości. Po to, żeby następnie wymusić jej podział pomiędzy obydwa ośrodki władzy wykonawczej.

Tyle że jesienią okazało się, że mityczna w kampanijnych narracjach sprawczość okazała się towarem przecenionym. Tusk rozgrywał swoją partię na innej już szachownicy i wcale nie miał potrzeby negocjowania prezydenckich podpisów. Tym samym obietnice Nawrockiego stały się całkowicie puste. Najlepiej to było widać po przyjęciu przez opinię publiczną jego projektu obniżenia cen prądu, zapowiedzianego jeszcze w kampanii. Niby wszystko zrobił jak należy. Wyczekał, aż minister energii ostatecznie potwierdzi, że dalszego mrożenia taryf już nie będzie. Sama kwestia cen prądu od wielu lat jest zresztą politycznie wrażliwa. A jeszcze w prezydenckim projekcie zgrabnie zaszyto rozwiązania kierujące uwagę w stronę Zielonego Ładu, który w prawicowych narracjach pełni rolę chłopca do bicia. I co? Ano nic, inicjatywa w gruncie rzeczy mało kogo wzruszyła i pewnie koalicja bez większych dla siebie konsekwencji będzie ją w stanie utopić.

Tak samo płonne okazały się nadzieje związane z instytucją Rady Gabinetowej, która miała stanowić forum comiesięcznego rozliczania rządu przez głowę państwa. Ale już pierwsze podejście z końcówki sierpnia, kiedy Nawrocki wezwał ekipę Tuska na dywanik, żeby odpytać ją ze stanu finansów publicznych, okazało się starciem przegranym. Wyraźnie mitygując kolejne tego typu zapędy, skoro z kolejną konfrontacją pałac postanowił poczekać aż do listopada. Ale i tutaj mu nie wyszło, bo planowana na końcówkę tego miesiąca Rada Gabinetowa w sprawie kryzysu służby zdrowia straciła polityczny sens, kiedy doszło do aktu dywersji na torach kolejowych w okolicach Garwolina.

Taka już jest specyfika polskiej koabitacji w czasach wojny hybrydowej. Konflikt eskaluje pomiędzy kolejnymi rosyjskimi ingerencjami w nasze bezpieczeństwo, które za każdym razem chwilowo obniżają napięcie. W takich momentach nastrój społeczny zmusza bowiem antagonistów przynajmniej do pozorowania współpracy. Oczywiście na krótko, bo każda chwila wytchnienia kończy się wzajemnym obwinianiem.

A potem nastąpił drugi akt wojny na górze. Z jednej strony ruszył minister Żurek ze swoim projektem zmian w sądownictwie oraz aktem oskarżenia przeciwko Zbigniewowi Ziobrze. Nawrocki odpowiedział blokadą nominacji oficerskich i sędziowskich. Akty niemające precedensu, ale jak najbardziej mieszczące się w politycznej logice konfliktu, który zaczyna się sprowadzać do wzajemnej wymiany ciosów.

Akcja wywołuje reakcję, jak w sekwencji: projekt Żurka – blokada nominacji sędziowskich – groźba postawienia w przyszłości głowy państwa przed Trybunałem Stanu. I tak to się kręci, chociaż komentatorom coraz trudniej doszukać się formalnej logiki. Tyle że dociekanie, czy blokując sędziów powołanych przez neo-KRS, Nawrocki w istocie delegitymizuje pisowską ▶

eprasa.pl f001f96e29

▶ „reformę", z politycznego punktu widzenia nie ma większego sensu. Podobnie jak analizowanie projektu Żurka, który przecież i tak nie wejdzie w życie. Chodzi wyłącznie o to, by walczyć o uwagę i wywoływać emocje. Z elementem konkursu piękności, kiedy obaj główni antagoniści prezentowali swoje patriotyczne oblicza na imprezach z okazji Święta Niepodległości. Ze wskazaniem na Nawrockiego, który był głośny i radykalny w podkręcaniu antyeuropejskiej narracji. Później wzmocnił jeszcze ten przekaz w paru wywiadach. Tylko że trafił jak kulą w płot.

Kiedy eksplodowały ładunki na mazowieckim torowisku, antyeuropejska zapalczywość prezydenta w połączeniu z jego obojętnością na rosyjskie zagrożenie wróciły rykoszetem. Najpierw za sprawą Tuska, który ogłosił swoich pięć „żelaznych zasad" na przyszły rok, będących zakamuflowaną polemiką z ostatnimi wystąpieniami prezydenta. Z czytelnym przesłaniem: kto przeciw Europie, ten sprzyja Rosji. Kropkę nad „i" postawił zaś w sejmowym wystąpieniu Sikorski. I Nawrocki nie ma teraz dobrego wyjścia, bo może się trochę cofnąć lub dalej brnąć w antyeuropejską krucjatę, już wyraźnie w stronę „polexitu". Przy niemałym sceptycyzmie Polaków wobec Unii Europejskiej na takie hasło na szczęście jednak nie ma dużego popytu.

Zarazem coraz bardziej wątpliwa staje się polityczna inwestycja Nawrockiego w przyjaźń z Donaldem Trumpem. Ideologiczna euforia chyba minęła, za to wojenne lęki pozostały. A kolejne tańce amerykańskiego prezydenta wokół Ukrainy mało kogo już w Polsce przekonują. Ujawniony w ubiegłym tygodniu „prorosyjski" plan Steve'a Witkoffa nie pozostawia złudzeń, że Biały Dom poważnie traktuje kwestię bezpieczeństwa na wschodniej flance NATO. Co siłą rzeczy powinno skłaniać teraz prawicę do miarkowania antyeuropejskiej, antyukraińskiej narracji (czego oczywiście nie oczekujmy).

Jednak na razie to Tusk wydaje się bardziej panować nad linią frontu. Jego główne atuty to ogromne doświadczenie, politycznie mu sprzyjająca sytuacja międzynarodowa (chociaż obiektywnie coraz bardziej niepokojąca), przewaga instytucjonalna nad ośrodkiem prezydenckim oraz lepiej uporządkowane polityczne zaplecze. Ale czy na dłuższą metę tak ustawiony konflikt będzie premierowi sprzyjać?

To zupełnie inna sytuacja niż w latach 2007–10, kiedy przyszło Tuskowi mierzyć się z prezydentem Lechem Kaczyńskim. Wówczas była to z jego perspektywy swoista wojna zastępcza. Uderzając w Lecha, osłabiał Jarosława. I robił to na zimno, wykorzystując nieporadność ówczesnego lokatora Pałacu Prezydenckiego oraz szczególną więź łączącą go z bratem. Ale dzisiaj nie ma mowy o kolejnej *proxy war*, gdyż to właśnie Nawrocki staje się powoli jedynym zwornikiem prawicowego układu, podczas gdy Jarosław Kaczyński coraz częściej sprawia wrażenie figury zbędnej, schyłkowej.

Wzmacniając zatem tak ustawioną polaryzacyjną oś, premier mimowolnie umacnia pozycję Nawrockiego po prawej stronie. I jest to gra *va banque*. Z jednej strony Tusk pomaga odcinać tlen Kaczyńskiemu i jego partii, co na krótką metę oczywiście mu się opłaca (patrz: ostatnie sondaże). Z drugiej hoduje sobie w długiej perspektywie potencjalnie bardziej niebezpiecznego przeciwnika. Sylwetka Nawrockiego wydaje się dzisiaj wręcz idealnie wpasowana w schemat odwlekanego od lat przewrotu pokoleniowego w polskiej polityce. Jest on pod wieloma względami antytezą starej klasy politycznej, która wyrosła z tradycji inteligenckiej. Jednak o kwalifikacjach Nawrockiego wciąż niewiele wiemy. Pierwsze sto dni prezydentury bynajmniej nie pokazało, czy jego wizerunek „silnego człowieka" znajduje pokrycie w faktycznych zdolnościach. W komentarzach nie brakowało ochów i achów, ale to tylko impresje, podczas gdy chłodna analiza nie daje do tego podstaw.

Inna sprawa, że Tusk nie ma wielkiego wyboru. Pozycja Nawrockiego to efekt procesów zachodzących na prawicy, a władztwo premiera aż tak daleko nie sięga. Co nie zmienia faktu, że głównym przegranym w wojnie Tuska z Nawrockim dzisiaj jest niewątpliwie Kaczyński. Po wyborach wręcz triumfował i nawet już zaczął składać buńczuczne zapowiedzi szturmowania poziomu 40 proc. w sondażach. Obecnie jego partia zalicza historyczne zniżki, a on sam stał się niewolnikiem rozpętanej przez siebie wojenki na prawicowych rubieżach.

Tylko że słabnięcie Kaczyńskiego wcale też nie musi być dobrą wiadomością dla Nawrockiego, nawet jeśli dzisiaj mile łechce ego. Bo żaden prezydent nie ma w Polsce prostej ścieżki do objęcia przywództwa nad stojącym za nim obozem. Dysponuje autorytetem, ale brakuje mu politycznych narzędzi. Tymczasem po ostatnich wyborach pisowskie kadry zaczęły już niecierpliwie wyczekiwać powrotu do władzy i odwetu, często dzieląc skórę na niedźwiedziu. I kiedy apetyty urosły, partia akurat zaczęła słabnąć. Jeżeli więc kryzys będzie się dalej pogłębiał, może to oznaczać początek koteryjnej wojny o sukcesję po Kaczyńskim, nad którą ośrodkowi prezydenckiemu – w części niepartyjnemu – raczej trudno byłoby zapanować.

A czy możliwy jest PiS po Kaczyńskim? Bardziej prawdopodobnym scenariuszem wydaje się mimo wszystko rozpad wielkiej formacji na mniejsze kawałki. A wtedy scenę prawicową czeka kolejne rozbicie dzielnicowe, trochę jak w latach 90. Wówczas to wewnętrzne waśnie przesłaniały prawicy zasadniczą oś podziału postkomunistycznego. Powtórka z historii to jednak fatalny scenariusz również dla Nawrockiego, który musiałby zmierzyć się z chaosem oraz koniecznością odbudowy swojej bazy politycznej pod reelekcję.

Ale do tego oczywiście daleka droga. Za to w najbliższych miesiącach najpewniej czeka nas wojna podjazdowa w kolejnych etapach. W jednym z wywiadów Nawrocki już zdążył zasugerować, iż szykuje się do konfliktu o budżet. Zawetować go nie może, ale ma prawo odesłania do Trybunału Konstytucyjnego, co oczywiście byłoby okazją do odnowienia sporu o legalność tego ciała. Raczej bez szans na przełamanie stanu względnej równowagi, niemniej każda amunicja jest teraz w cenie.

I takiej właśnie polityki możemy się spodziewać w nadchodzącym roku, pierwszym od dawna bez żadnych wyborów. Szarpanej kolejnymi scysjami, hałaśliwej, dla wielu z pewnością męczącej. Nic jednak nie wskazuje, żeby ktokolwiek inny był w stanie wejść pomiędzy premiera i prezydenta, przynajmniej dopóki obaj czerpią energię z konfliktowej koabitacji. Ale w gruncie rzeczy taki jest właśnie najważniejszy cel utrzymywania w polityce wysokiego napięcia.

RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl f001f96e29

I ten trzeci

To był dziwny rok dla PiS. Zaczął się od rozterek, czy Karol Nawrocki da sobie radę w kampanii prezydenckiej. Potem była euforia i nadzieja, że po zdobyciu Pałacu powrót do władzy jest tuż za rogiem. Aż przyszła jesienna chandra.



ILUSTRACJE **MAX SKORWIDER**

WOJCIECH SZACKI

Kryzys w PiS trwa kolejny miesiąc. Nie udał się wiec 11 października w Warszawie, który miał być początkiem wielkiej politycznej ofensywy. Potem nie powiodła się wystawna konwencja programowa w Katowicach, którą zapamięta – pewnie boleśnie – głównie partyjny skarbnik, bo żadnego jasnego i nośnego wyborczo komunikatu nie udało się stamtąd wysłać. Następnie po publikacji wp.pl wybuchła afera ze sprzedażą działki w pobliżu CPK, a gdy ten temat nieco przycichł, przyspieszyło rozliczanie rządów Zbigniewa Ziobry w Ministerstwie Sprawiedliwości ze szczególnym uwzględnieniem niesławnego Funduszu Sprawiedliwości. Były minister, jeszcze niedawno wyzywający rządzących od fujar i miękiszonów, czmychnął do Budapesztu przed zarzutami o kierowanie grupą przestępczą, ustawianie konkursów i sprzeczne z prawem dysponowanie pieniędzmi z funduszu.

Od września średnie poparcie dla PiS (dane za ewybory.eu) spadło z 30,4 proc. do 26,7 proc. Od dwóch miesięcy PiS przegrywa z KO w sondażach wszystkich pracowni badania opinii publicznej. W listopadowym CBOS po raz pierwszy doszło do mijanki na prawicy – Konfederacja i Korona Grzegorza Brauna miały razem wyższe notowania niż partia Jarosława Kaczyńskiego.

Sam prezes ma jakby mniej mocy – jeździ po Polsce (to jego tradycyjny sposób na radzenie sobie z problemami) i wygłasza przemówienia, ale jego słowa nie niosą się tak jak dawniej. Teraz to Nawrocki elektryzuje, pociąga, mobilizuje, straszy, żenuje i śmieszy – czyli robi to wszystko, w czym do niedawna celował Kaczyński. A w internecie PiS jest szarpany przez fanów Konfederacji i Korony.

O naturze i przyczynach kłopotów rozmawialiśmy z politykami tej partii – lokalnym działaczem, byłym prezesem dużej spółki, człowiekiem z otoczenia prezydenta, członkiem ścisłych władz ugrupowania. Oto, co wynika z ich opowieści.

1. Zła diagnoza rzeczywistości

PiS uznał, że wygrana Nawrockiego to w 100 proc. jej – partii – zasługa. Że w ten sposób suweren pokazał, że zła pamięć o rządach PiS wyblakła i że już można dzielić fotele w przyszłym rządzie. Jakiś czas po wyborach prezydenckich Kaczyński powiedział, że jego celem jest ponownie samodzielna większość.

Tymczasem realia są takie, że nawet jeśli PiS jest niedoszacowany w sondażach, nawet jeśli nadrobi jeszcze trochę przy sprawnej kampanii wyborczej i nawet jeśli obóz rządowy jeszcze osłabnie, to wzrost notowań z obecnych – powiedzmy nawet 28 proc. – do 42–44 proc. wydaje się mało prawdopodobny. Brakuje do tego bowiem nie setek tysięcy, lecz ponad dwóch milionów wyborców. A PiS nie ma ani tylu narzędzi, którymi dysponował jako partia władzy, ani klucza do młodszego elektoratu, a jeszcze musi konkurować z innymi prawicowymi partiami.

Nawrocki wygrał – zresztą nieznacznie – nie dlatego, że Polacy kochają PiS, tylko dlatego, że prawicowi wyborcy przestraszyli się pełni władzy Donalda Tuska, a nieprawicowi się w części wykruszyli, rozczarowani rządami koalicji 15 października. Nawrocki zwyciężył, bo od początku był pomyślany jako ▶

eprasa.pl f001f96e29

▶ człowiek spoza PiS, nieobciążony bagażem tych ośmiu lat, flirtujący z Konfederacją i zalecający się do wyborców Sławomira Mentzena i Grzegorza Brauna przed prezydencką drugą turą. W pierwszej dostał niecałe 5,8 mln głosów (29,5 proc.) i to była wówczas realna siła samego PiS. To prawie dwa miliony wyborców mniej niż miał PiS w 2023 r. – gdy oddał władzę.

Nasuwają się zresztą analogie z tamtą kampanią – jeśli wówczas na wezwanie Tuska obudził się olbrzym antypisowski (co widać było po rekordowej frekwencji), to w 2025 r. kontrę wyprowadził lud prawicowy. – *Wielu ludzi poczuło zagrożenie dla państwa, obawiało się domknięcia systemu przez obóz władzy. Po zwycięstwie Nawrockiego uznali, że Polska jest uratowana i oddalili się do swoich zajęć* – twierdzi nasz rozmówca. Inni zaś – po głosowaniu na Nawrockiego w drugiej turze – wrócili do popierania niepisowskiej (i coraz bardziej antypisowskiej) prawicy spod znaku Mentzena, Brauna i Krzysztofa Bosaka. A czołówka PiS tę rzeczywistość zignorowała, uznawszy, że wygrana Nawrockiego to odtworzenie realiów z lat 2015 i 2019.

2. Niewyciągnięcie wniosków

Punkt drugi wiąże się z pierwszym. – *Nie odpowiedziano sobie realnie, dlaczego przegrano w 2023 r. A potem Architekt Dobrej Zmiany uznał, że wszystko było super, tylko za mało ludzie o tym wiedzieli. Więc zaczęto robić więcej tego samego* – słyszymy od innego rozmówcy.

Po kampanii 2023 r. Kaczyński nie zrobił w partii rozliczeń. Z ważnych polityków ukarany został jedynie Mariusz Kamiński – za rządów PiS minister spraw wewnętrznych i koordynator służb – który w czerwcu 2025 r. przestał być wiceprezesem partii. I to głównie za to, że zbyt uważnie przyglądał się poczynaniom swoich kolegów w rządzie, a efekty tej obserwacji posłużyły potem nowej władzy do ścigania poprzedników.

Inni prominenci PiS utrzymali się w pierwszym szeregu. Mateusz Morawiecki to zdaniem Kaczyńskiego świetny szef rządu, Ziobro – znakomity minister sprawiedliwości (tylko mu Andrzej Duda przeszkadzał), Antoni Macierewicz – zasłużony towarzysz broni, Przemysław Czarnek (świeżo zresztą awansowany na wiceprezesa) – „pewnie kiedyś będzie premierem".

W partii dobrze się miewa także Jacek Sasin. Na konwencji w Katowicach brylował i o planach na zmiany w mediach publicznych opowiadał Jacek Kurski; na głównej scenie wystąpił były minister rolnictwa Robert Telus, który już dwa dni później stał się głównym bohaterem afery działkowej (i dopiero po publikacji został zawieszony w prawach członka partii). W klubie parlamentarnym PiS utrzymują się takie świetlane postaci jak Łukasz Mejza czy Dariusz Matecki.

Kaczyński niby próbuje odmładzać partię, wysyła do mediów mniej opatrzonych polityków, ale na pierwszym planie wciąż bardzo dużo jest – poza wyżej wymienionymi – Zbigniewa Kuźmiuka, Kazimierza Smolińskiego, Leonarda Krasulskiego czy Ryszarda Terleckiego, którzy już dawno wkroczyli w wiek emerytalny.

Kaczyński unika rozliczeń nie bez powodu. Nie chce się pozbywać starych druhów, nie chce przyznawać się do własnych błędów. Jest w tym też trochę logiki oblężonej twierdzy; załoga ma odpierać ataki, a nie pogrążać się w wewnętrznych konfliktach. Ale przede wszystkim Kaczyński dba o zachowanie równowagi w partii; rozliczenia by ją naruszyły. Do swoich gier prezes potrzebuje zarówno Morawieckiego i jego ludzi, jak i frakcji ziobrystowsko-czarnkowej. I pewnie inaczej się nie da zarządzać PiS – ale płaci się za to także pewną cenę.

3. Słabość struktur

Najnowsza historia zmian organizacji partyjnej PiS przedstawia się osobliwie. W czerwcu 2022 r. kierownictwo uznało, że dotychczasowy model – z ok. 40 pełnomocnikami okręgowymi – się nie sprawdza. I wprowadzono 94 okręgi. Towarzyszyły temu ruchowi szczegółowe uzasadnienia, że trzeba więcej uwagi poświęcić kampanii senackiej, że PiS będzie sprawniejszy lokalnie, że więcej działaczy będzie wciągniętych w pracę partyjną itp. Rok później eksperyment został przerwany (PiS znów przegrał wybory do Senatu) i wprowadzono podział na 17 okręgów. To miał być ten optymalny układ. Minął kolejny rok i kierownictwo uznało, że najlepiej będzie jednak wrócić do 40 okręgów. Te zmiany świadczą o jednym – struktury nie działają tak sprawnie, jak chciałaby centrala.

– *Nasi działacze w terenie krzątają się głównie wokół własnych spraw. Wójt czy radny walczy ze starostą, starosta z lokalnym posłem, lokalny poseł zastanawia się, z kim z kierownictwa się związać, żeby utrzymać się na liście wyborczej. I zostaje bardzo mało czasu na jakąkolwiek sensowną pracę. Do tego wszystko jest strasznie chaotyczne. Przykład z województwa lubelskiego: marszałek Jarosław Stawiarski był kiedyś człowiekiem Sasina, ale jest na wojnie z Czarnkiem, który jest sojusznikiem Sasina, więc Stawiarski – choć ideowo odległy od Morawieckiego – zbliżył się do byłego premiera. Pożytek dla PiS z tych ruchów jest żaden, rośnie tylko Korona* – słyszymy od polityka PiS z Lubelszczyzny.

Partia pozostaje mocno scentralizowana. Wszystkie kanały awansu kontroluje Kaczyński, od którego zależą wszelkie nominacje – od funkcji prezesa okręgu po miejsca w prezydium partii. Nie można, ot tak, zgłosić się na przykład do kandydowania na szefa okręgu czy wiceprezesa partii; trzeba mieć rekomendację z góry.

Komitet polityczny – teoretycznie coś w rodzaju zarządu – jest zmarginalizowany i zbiera się sporadycznie. W zeszłym roku powstał jeszcze „komitet wykonawczy" z udziałem ok. 30 młodszych polityków, który miał się zajmować „akcją bieżącą", ale dziś mało kto o tym ciele – pozbawionym nawet formalnych uprawnień – pamięta.

Partyjne życie skupia się w kilkunastoosobowym prezydium komitetu politycznego, tzw. pkp, które Kaczyński zwołuje regularnie. – *A w praktyce sytuacja na szczycie PiS wygląda tak, że jest grupa około dziesięciu polityków, którzy mają otwarty dostęp do gabinetu prezesa, i to po rozmowach z nimi Kaczyński podejmuje decyzje* – opowiada polityk ze ścisłego kierownictwa PiS.

4. Afery

Wielu wyborców koalicji 15 października narzekało, że rozliczenia PiS się ślimaczą. Teraz – czy za sprawą zmiany na stanowisku prokuratora generalnego (w lipcu Adama Bodnara zmienił Waldemar Żurek), czy po prostu z uwagi na to, że śledztwa wymagały czasu – sprawy przyspieszyły. 7 listopada Sejm w serii 27 głosowań uchylił immunitet Ziobry oraz zgodził się na jego zatrzymanie i tymczasowe aresztowanie. Nie było go wtedy na sali – ukrywa się w Budapeszcie pod ochroną Viktora Orbána. PiS bronił Ziobry, ale głównie poprzez ataki na Tuska i Żurka – że upolitycznili

eprasa.pl f001f96e29

wymiar sprawiedliwości, że Ziobro nie może liczyć na uczciwy proces, że jest ciężko chory onkologicznie. Tymczasem prokuratura ma, jak się wydaje, mocny materiał dowodowy, w tym zeznania małego świadka koronnego (Tomasza Mraza, byłego dyrektora Funduszu Sprawiedliwości). Za uchyleniem immunitetu Ziobry głosowała nie tylko koalicja, lecz także znaczna część Konfederacji oraz opozycyjne Razem. Dość niezborne tłumaczenia PiS i jego osamotnienie w połą-



czeniu z ucieczką Ziobry (a na Węgrzech ukrywa się już jego partyjny kolega i były wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski) nie wyglądają dobrze.

Chyba jeszcze gorzej poszło PiS z aferą wokół CPK – gdy dzięki wp.pl Polacy dowiedzieli się, że w ostatnich dniach rządów partii Kaczyńskiego doszło do sprzedaży ważnej dla budowy lotniska działki wiceprezesowi firmy Dawtona, z którym krótko wcześniej widział się ówczesny minister rolnictwa Telus. To uderzyło w jeden z symboli PiS – okazało się, że formacja, która wzięła CPK na sztandary, nawet w tej sprawie robiła jakieś pokątne interesy. Tego już nie dało się obronić; Kaczyński zawiesił kilku członków PiS w prawach członków partii i powołał zespół, który ma wyjaśnić sprawę.

Wróciła także tzw. willa plus Czarnka, gdy portal tvn24+ poinformował, że jedna z willi kupiona za pieniądze z grantu została właśnie wystawiona na sprzedaż za cenę trzy razy wyższą, niż była kupiona (a na razie działa w niej komercyjny escape room, choć zgodnie z umową nieruchomość miała służyć jedynie celom edukacyjnym). Ministerstwo Edukacji złożyło w tej sprawie zawiadomienie do prokuratury i zażądało zwrotu 1 mln zł dotacji.

Wciąż toczy się też śledztwo w sprawie zakupów pandemicznych za pieniądze z Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych. Sprawy, jak to się mówi, są rozwojowe. PiS nie zdołał uciec od rozliczeń swoich rządów, nawet jeśli zainteresowanie tym tematem – jak pokazuje świeży sondaż CBOS – nieco spadło.

5. Konkurencja

Okienko transferowe się otworzyło. W obecnej kadencji PiS po raz pierwszy od lat mierzy się z silną konkurencją po prawej stronie sceny. I to taką, która realnie z PiS konkuruje o uwagę elektoratu, wytyka błędy, atakuje w internecie, jest młodsza i zwinniejsza, nieskażona błędami swoich rządów (bo nie rządziła).

To z jednej strony Konfederacja, która mocno weszła w segment młodych wyborców – 20- i 30-, a nawet 40-latków. Sławomir Mentzen wypomina PiS skomplikowanie systemu podatkowego, uległość wobec Unii, zarzuca brak wiarygodności, nazywa Kaczyńskiego „politycznym gangsterem". Korona Brauna znalazła natomiast klucz do części trochę starszych wyborców, którzy dotychczas trwali przy PiS. Ten klucz to mieszanka antysemityzmu i antyukraińskości z retoryką antyunijną i antyimigrancką w połączeniu z deklaracją przywiązania do katolicyzmu i tradycyjnych wartości. Ten koktajl skrajności ma już ponad 6 proc. poparcia, a warto pamiętać, jak bardzo niedoszacowany w sondażach prezydenckich był Braun. – *Korona rosła ostatnio naszym kosztem na dwóch tematach: Strefie Gazy i Ukrainie. Ten pierwszy traci teraz na znaczeniu, ale drugi pozostanie na dłużej. Bo nie powinniśmy licytować się na antyukraińskość, a po drugie, nie bylibyśmy w tym wiarygodni* – zauważa ważny polityk PiS.

6. Drugi oddech Tuska

Mało kto dziś zapewne pamięta, że Kaczyński po wygranej Nawrockiego zaproponował powołanie rządu technicznego. Trudno powiedzieć, czy sam prezes wierzył, że koalicja nie przetrwa porażki Rafała Trzaskowskiego (pewnie nie), ale chciał stworzyć wrażenie, że kryzys rządu jest potężny, a jego dni policzone. Tymczasem koalicja ustała. Poprawiły się nawet oceny pracy rządu w comiesięcznym badaniu CBOS. Większość działa sprawnie, co pokazały głosowania w sprawie Ziobry czy wymiana marszałka Sejmu. Koalicja Obywatelska wyszła na wyraźne prowadzenie w sondażach. W PSL prezesem został ponownie Władysław Kosiniak-Kamysz, który nie pali się do sojuszu z PiS. Tusk zgrabnie obsadził Nawrockiego w roli swego głównego przeciwnika, co służy zarówno premierowi, jak i prezydentowi, natomiast niespecjalnie prezesowi, który stał się po prostu liderem jednej z prawicowych partii – największej, ale przeżywającej kryzys.

W poszukiwaniu dróg wyjścia

Nie jest to pierwszy ani pewnie ostatni kryzys PiS. Kaczyński, trochę po omacku, szuka teraz leku, który postawi partię na nogi. A to zacznie kolejny tour po Polsce (tym razem programowy), a to wyprowadzi swój klub z sali sejmowej, a to – by uśmiechnąć się do co skrajniejszych wyborców – pokaże Roberta Bąkiewicza. Posłowie usłyszą pewnie – albo już usłyszeli – wezwanie do „większej aktywności, zwłaszcza w internecie", szefowie okręgów – do wytężonej pracy.

Brak efektów tych ruchów może sugerować, że po pierwsze, problem jest poważniejszy, a po drugie – że Kaczyński jest zdany już nie tylko na autoterapię, lecz także na uśmiech losu. Może KO wpadnie w jeszcze poważniejsze niż PiS tarapaty? Może partia Brauna to efemeryda, która nie dotrwa do wyborów? Może Konfederacja – jak to już bywało – nie utrzyma popularności? Może Nawrocki mocno i skutecznie wesprze PiS?

Na razie, szczęśliwie dla Kaczyńskiego, jego partia nie zanotowała wielkiego tąpnięcia popularności w sondażach. Te 26–28 proc. poparcia daje poczucie, że wciąż można się odbić, posłowie nie zaczynają jeszcze martwić się o reelekcję. Ale jeśli obecny kryzys się przedłuży, a PiS spadnie poniżej 25 proc., to zaczną się dla tej partii i jej lidera naprawdę poważne kłopoty.

WOJCIECH SZACKI

eprasa.pl f001f96e29



Fundusze Europejskie dla Ciebie i środowiska – FEnIKS 2021–2027

Cieplejsze klasy i mieszkania, mniej smogu za oknem, bezpieczeństwo dostaw prądu, mniej podtopionych piwnic po ulewie – za wieloma takimi zmianami stoją Fundusze Europejskie. Często widzimy na budynkach czy w parkach tabliczkę z unijną flagą, ale trudniej odpowiedzieć na pytanie: „konkretnie co to zmieniło w moim życiu?".

Program Fundusze Europejskie na Infrastrukturę, Klimat, Środowisko 2021–2027 (FEnIKS) pokazuje to bardzo wyraźnie. Łączy trzy obszary, które bezpośrednio wpływają na codzienność mieszkańców: energię, klimat i środowisko.

FEnIKS wspiera inwestycje, które przyspieszają rozwój Polski z poszanowaniem przyrody. To największy pod względem finansowym program krajowy w całej Unii Europejskiej. Dofinansowanie obejmuje projekty zwiększające efektywność energetyczną, ograniczające emisję gazów cieplarnianych, wspierające adaptację do zmian klimatu oraz poprawiające gospodarkę wodno-ściekową i odpadową. Efekty tych inwestycji odczuwamy na co dzień – w rachunkach, jakości powietrza, bezpieczeństwie i komforcie życia.

Nowoczesna energetyka – stabilny prąd i niższe rachunki

Rzadko kiedy myślimy o sieciach energetycznych – dopóki nie zabraknie prądu. Tymczasem to od ich jakości zależy, czy światło w domu, praca firmy czy funkcjonowanie szpitala przebiega bez zakłóceń.

W całym kraju budowane są nowe linie i modernizowane te wysłużone. W ramach podpisanych umów o dofinansowanie infrastruktury elektroenergetycznej i gazowej zrealizowane zostaną m.in.:

- blisko 575 km zmodernizowanych lub nowo wybudowanych sieci elektroenergetycznych,
- 675,45 km zmodernizowanych lub nowo wybudowanych sieci gazowych.

To długość porównywalna z trasą między Gdańskiem a Krakowem w obie strony. W praktyce oznacza to mniej awarii, stabilniejsze dostawy energii i bezpieczniejszy dojazd do pracy, szkoły czy szpitala.

FEnIKS wspiera także rozwój inteligentnych systemów elektroenergetycznych, czyli tzw. smart grids. To sieci, które:

- lepiej integrują odnawialne źródła energii (OZE) z istniejącą infrastrukturą,
- reagują na obciążenie,
- pomagają ograniczać straty energii.

Dzięki temu powstają dogodne warunki dla energetyki rozproszonej, a cały system staje się bardziej efektywny ekonomicznie, bezpieczniejszy i lepiej zarządzany. W praktyce to niższe koszty utrzymania sieci, a w dłuższej perspektywie – stabilniejsze ceny energii dla odbiorców.

Cieplejsze budynki, zdrowsze powietrze

Dofinansowanie z FEnIKS obejmuje również termomodernizację budynków mieszkalnych i użyteczności publicznej – szkół, żłobków, szpitali, urzędów.

Docieplenie ścian, wymiana okien czy modernizacja systemów grzewczych sprawiają, że:

- pomieszczenia są cieplejsze zimą i chłodniejsze latem,
- spadają rachunki za ogrzewanie,
- do powietrza trafia mniej zanieczyszczeń.

Efekt? Cieplejsze klasy dla dzieci, bardziej komfortowe mieszkania i mniej smogu w sezonie grzewczym. To konkretna poprawa jakości życia w gminach korzystających z Funduszy Europejskich.

„Mój Prąd 6.0" – energia ze słońca w domowych rachunkach

Polacy coraz chętniej korzystają z czystej energii z odnawialnych źródeł. Dobrym przykładem jest uruchomiony we wrześniu 2024 r. program „Mój Prąd 6.0", który wspiera gospodarstwa domowe w inwestycjach w instalacje fotowoltaiczne i magazyny energii.

Program:

- zebrał 121 tys. zgłoszeń,
- po raz pierwszy objął dofinansowaniem magazyny energii,
- miał budżet zwiększony prawie pięciokrotnie – z 400 mln zł do 1,85 mld zł, w odpowiedzi na duże zainteresowanie prosumentów.

To właśnie kolejne edycje programu „Mój Prąd" sprawiły, że fotowoltaika stała się jednym z filarów produkcji energii elektrycznej w Polsce, a wiele gospodarstw domowych pełni dziś funkcję prosumentów – jednocześnie zużywają i wytwarzają energię.

Produkcja energii „na własnym dachu":

- zmniejsza część rachunków za prąd,
- zachęca do bardziej świadomego korzystania z energii,
- wzmacnia poczucie wpływu na koszty utrzymania domu i na środowisko.

Wsparcie doradcze – jak dobrze zaplanować inwestycję

Przy tak dużej liczbie dostępnych programów łatwo się pogubić: jaki zakres prac wybrać, z jakiego źródła finansowania skorzystać, jakie rozwiązanie będzie naprawdę opłacalne?

eprasa.pl f001f96e29

Dlatego w ramach FEnIKS działa Projekt Doradztwa Energetycznego 2.0. To sieć profesjonalnych doradców energetycznych i klimatycznych, którzy:

- bezpłatnie wspierają osoby prywatne, przedsiębiorców i jednostki samorządu terytorialnego,
- pomagają w zakresie efektywności energetycznej i adaptacji do zmian klimatu,
- wskazują najlepsze rozwiązania techniczne i finansowe,
- ułatwiają dostęp do środków z programów krajowych i unijnych.

Dzięki temu łatwiej podjąć świadomą decyzję, czy lepiej najpierw ocieplić budynek, wymienić źródło ciepła, czy zainwestować w OZE.

Aby skorzystać z pomocy, wystarczy wejść na stronę projektu, znaleźć doradcę w swoim regionie i skontaktować się z nim telefonicznie, mailowo lub umówić spotkanie. To prosty sposób, by zaplanować inwestycję tak, aby była i ekologiczna, i opłacalna.

Ochrona środowiska i klimatu – bezpieczniejsze miasta i czystsza woda

Obok transformacji energetycznej ochrona środowiska i adaptacja do zmian klimatu to drugi filar programu FEnIKS. Środki z programu trafiają m.in. na:

- budowę i rozbudowę sieci kanalizacyjnych,
- systemy zarządzania obszarami chronionymi i wdrażanie monitoringu przyrody,
- budowę i modernizację urządzeń wodnych,
- infrastrukturę przeciwpowodziową i przeciwsuszową,
- ochronę bioróżnorodności, w tym wsparcie parków narodowych.

W praktyce oznacza to czystszą wodę w kranach, mniej nielegalnych zrzutów ścieków, lepiej zabezpieczone doliny rzek i większą ochronę cennych przyrodniczo terenów.

Coraz częściej widać też inwestycje w tzw. zielono-niebieską infrastrukturę. Obejmują one już 5642 ha – to nowe tereny zielone, skwery, parki i ogrody deszczowe, które:

- schładzają miasta w czasie upałów,
- pochłaniają wodę podczas ulew,
- pozwalają gromadzić wody opadowe w zbiornikach retencyjnych i wykorzystywać je ponownie, np. do podlewania zieleni.

Dzięki tym inwestycjom miasta lepiej radzą sobie zarówno z falami upałów, jak i nagłymi, intensywnymi opadami.

Bezpieczeństwo ludzi w obliczu ekstremalnej pogody

Blisko 4 miliony osób skorzysta z przedsięwzięć realizowanych z programu FEnIKS, które chronią przed skutkami klęsk żywiołowych związanych ze zmianami klimatu.
To inwestycje, które:

- zwiększają bezpieczeństwo mieszkańców i mieszkanek,
- wzmacniają odporność infrastruktury i przestrzeni publicznych na ekstremalne zjawiska pogodowe,
- wspierają rozwój bardziej odpornych i zrównoważonych społeczności.

Dobrze zaprojektowana infrastruktura przeciwpowodziowa czy przeciwsuszowa to mniej zalanych ulic i piwnic, mniejsze straty w gospodarstwach domowych oraz większy spokój w czasie nawałnic.

FEnIKS 2021–2027 w liczbach

Dzięki Funduszom Europejskim na Infrastrukturę, Klimat, Środowisko 2021–27 wspieramy m.in.:

- **Rozbudowę i modernizację kanalizacji**
  Łącznie powstanie **2 830 km** nowych i zmodernizowanych sieci.
  To odległość, która w linii prostej dzieli Polskę i Maroko!
  Efekt? **Mniej awarii, czystsze rzeki i bezpieczniejsze odprowadzanie ścieków**.
- **Rozbudowę i modernizację wodociągów**
  Powstanie **668 km** nowych lub zmodernizowanych odcinków w ramach zbiorowych systemów zaopatrzenia w wodę.
  Dla porównania długość Polski z północy na południe to ok. 649 km.
  Efekt? **Stabilniejsze dostawy wody i lepsza jej jakość w kranach**.
- **Zieloną infrastrukturę**
  Przystosowanie terenów do zmian klimatu obejmie **5 642 ha**.
  To powierzchnia równa ok. 8 060 pełnowymiarowym boiskom piłkarskim.
  Efekt? **Więcej cienia, chłodniejsze miasta latem i miejsca odpoczynku bliżej domu**.
- **Gospodarkę o obiegu zamkniętym**
  Ponownie zostanie wykorzystanych **91 460 ton odpadów** jako surowców.
  To waga ok. 61 tys. samochodów osobowych!
  Efekt? **Mniej odpadów na składowiskach i więcej materiałów, które dostają „drugie życie”**.
- **Ochronę obszarów Natura 2000**
  Działania obejmą **43 190 ha** cennych przyrodniczo terenów.
  To powierzchnia większa niż miasto Kraków.
  Efekt? **Ochrona siedlisk roślin i zwierząt, które czynią Polskę tak piękną i wyjątkową.**

Kontynuujemy intensywne działania, aby **sprawnie i efektywnie wykorzystać środki z Funduszy Europejskich** oraz zrealizować kolejne, potrzebne inwestycje w **energetykę, klimat i środowisko**.

Artykuł został dofinansowany przez Unię Europejską ze środków programu Fundusze Europejskie na Infrastrukturę, Klimat, Środowisko 2021-2027

#FunduszeEuropejskie #FunduszeUE #FEnIKS

Fundusze Europejskie na Infrastrukturę, Klimat, Środowisko
Rzeczpospolita Polska
Dofinansowane przez Unię Europejską
Ministerstwo Klimatu i Środowiska

eprasa.pl f001f96e29



Strefa zgniotu

Kiedyś na parkingu i na szosie było pełno tirów – wspominają lokalni przedsiębiorcy. Od lewej: **Aneta Hrybińska z agencji celnej w Kuźnicy Białostockiej, Katarzyna i Grzegorz Sosińscy, właściciele zajazdu Sosna w Kruklankach.**

Polsko-białoruskie przejścia graniczne znowu otwarte po latach przerwy. Na jak długo?

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

Liczby

Nawet wciąż aktualizowane mapy Google nie dowierzają: z Kuźnicy Białostockiej do białoruskiego Grodna wytyczają trasę przez Litwę lub Terespol. Czyli z 40 km robi się ponad 500 w jedną stronę. Do tego trzeba doliczyć mniej więcej dobę czekania w kolejce na przejściu. Liczby należy podwoić, jeśli się jedzie tam i z powrotem. W sumie zamiast pół godziny drogi – kilka dni. Zamiast pięciu litrów benzyny – kilkadziesiąt.

Granica w Kuźnicy była martwa przez cztery lata, ta w Bobrownikach ponad dwa i pół roku. Dla żyjącego z handlu z Białorusią Podlasia oznaczało to „gospodarcze wymarcie" – tak pisali w listach do rządu lokalni przedsiębiorcy. Ten czas to dziesiątki padających firm, setki straconych miejsc pracy, emigracja chlebowa, blisko 1 mld zł rocznie mniej dla regionu. „Strefa zgniotu" – napisali do Warszawy właściciele firm o swoim Podlasiu.

Pierwszy

Filmik z panem Marianem obiegł lokalne internety. O północy 17 listopada otwiera się granica w Kuźnicy, Marian wjeżdża na Białoruś swoim starym Passatem, a tam czeka dziennikarka „Grodzieńskiej Prawdy" z kamerą. W mroźnej, nocnej mgle Polak zostaje obdarowany kiełbasą białoruskiej produkcji i poproszony o wypowiedź, jako *pierwyj graždanin*, który przekracza granicę po latach zamknięcia. Marian mówi, że codzienne życie stanie się łatwiejsze. Mówi płynnie po rosyjsku i nie ukrywa radości, więc sieciowi trolle zaraz „butują" go za propagandę. Ale wystarczy popytać w Kuźnicy, gdzie ludzie się znają – pan Marian istnieje naprawdę, ma żonę Białorusinkę, od której znów dzieli go pół godziny jazdy samochodem, nie doba. Nadgraniczne rodziny to na Podlasiu zwyczajność od pokoleń. Czy człowiek może się cieszyć, kiedy ma blisko do żony, a ich spotkanie przestaje mieć podejrzany politycznie i patriotycznie charakter? Pan Marian macha dziennikarce i odjeżdża w noc, na Grodno. Białorusinka do kamery: „Polacy, przyjeżdżajcie, zapraszamy".

Polityka

Tylko że na Podlasiu, mówią tutejsi przedsiębiorcy, wszystko zrobiło się tak strasznie polityczne, że już nie wiadomo, czy chodzi o sprawy wewnętrzne, czy zagraniczne. O umowy z sojusznikami czy walkę rządu z opozycją (konfiguracja wyborcza

© MARCIN KOŁODZIEJCZYK (2)

eprasa.pl f001f96e29

nieważna). Ostatnie cztery lata pokazały, mówią, że w „strefie zgniotu" decyzje rozminęły się z faktami. Rosja napadła na Ukrainę – fakt. Białoruś trzyma z Rosją – fakt. Wojna hybrydowa w Polsce sterowana z Rosji i Białorusi – też fakt.

Ale dlaczego w 2021 r. zamknięto na amen przejście graniczne z Białorusią w Kuźnicy, a w 2023 r. w Bobrownikach (Podlasie), a jednocześnie pozostawiono otwarte przejścia z Białorusią w Terespolu i Koroszczynie (Lubelszczyzna) – tajemnica rządów. Handel z Białorusią odbywał się więc normalnie, ale gdzie indziej. Decyzje wydawał rząd PiS, a rząd KO podtrzymał je aż do 17 listopada 2025 r.

W 2023 r., po zamknięciu Bobrownik, właściciele firm z Podlasia założyli porozumienie Zjednoczony Wschód, żeby bronić swoich interesów. Do rządów słali listy – nawet po kilkanaście tygodniowo: niech „polityka nie dławi lokalnej gospodarki"; co konkretnie dało zamknięcie ruchu w Podlaskiem, jeśli „na tej samej granicy z Białorusią, przy tym samym zagrożeniu hybrydowym" w Lubelskiem przejścia pracują normalnie? Nigdy nie było odpowiedzi.

Normalnie

Pierwszego dnia po otwarciu Bobrownik na wjazd na Białoruś czekały 183 tiry, w sumie jakieś 4 km kolejki wzdłuż drogi, czyli ilości znikome w porównaniu ze wspomnieniami sprzed trzech lat. Wówczas kolejka sięgała nawet kilkudziesięciu kilometrów, a uwięzieni w niej kierowcy byli jak małe przydrożne społeczeństwa. To była skala, wspomina Agnieszka Lasota, właścicielka sklepu spożywczo-przemysłowego przy granicy (dziś zamknięty i wystawiony na sprzedaż). Agnieszka przeniosła handel do internetu, ale to jak detal w porównaniu z hurtem. Szkoda firmy, szkoda tamtej granicy.

W noc ponownego otwarcia przyjechały służby porządkowe, ustawiły przenośną toaletę i poprzywiązywały worki na śmieci do barierek. Ostatni przydrożny sklep zrobił wielkie przyjęcie towaru. Jednak społeczeństwo kierowców się nie odtworzyło – towar stał w ciszy, śmieciowe torby powiewały puste, ubikacja zachowała świeżość. Tirowcy siedzieli pozamykani w kabinach, nie bratali się. To samo w kolejnych dniach – ruch z niedowierzaniem. Trochę Czechów, Słowaków i Kazachów. Najwięcej ciężarówek na polskich numerach, a w prawie każdej białoruski kierowca wysłany przez polską firmę na rekonesans – da się handlować czy nie. Za przednie szyby zatknięte tabliczki z imionami: Dima, Anton, Ołeksandr. Pojawił się samotny rozwoziciel jedzenia z Białegostoku (kiedyś ogromny biznes na granicy). Łaził zmarznięty od kabiny do kabiny, ale nic nie sprzedał – tirowcy mieli własne zapasy. Z nudów zagadywał Białorusinów: „A jak tam u was, idzie żyć?". Każdy podnosił kciuk, uśmiechał się i mówił to samo: „U nas normalnie, przyjeżdżajcie, zapraszamy". Z Białorusi do Polski wjechał przez kilka godzin jeden tir. Nie dlatego, że celnicy długo go „trzepali" – po prostu nie było kolejki stamtąd tu.



Niepewność

Granica otwarta trzeci dzień, dzwonią telefony pomiędzy członkami Zjednoczonego Wschodu (agencje celne, sklepy, zajazdy, hurtownie, stacje benzynowe). Są tiry? W Bobrownikach ten ostatni sklep działa? A hurtownia AGD? W Kuźnicy puścili już tiry czy tylko osobówki? Są Białorusini w Biedronce na granicy? A w kebabie?

Do Agnieszki dzwoni znajoma z giełdy rolnej na białostockich Fastach – bardzo mało Białorusinów, niestety. Do Anety Hrybińskiej z Kuźnicy koleżanka z targowiska przy Kawaleryjskiej w Białymstoku – są trzy autokary Białorusinów naraz! Koleżanka prawie płacze ze szczęścia: wracają, kupują, jest życie! Katarzyna Sosińska z Kruklan pod Kuźnicą od poniedziałku dyżuruje w przydrożnym zajeździe Sosna, który prowadzą z mężem – trzyma ciepło pod kuchnią, w restauracji i pokojach. Po kuchni krząta się ostatnia niezwolniona pracownica z kilkunastoosobowej kiedyś załogi. Katarzyna mówi: – *Białorusini przyjechali już pierwszego dnia, byłam wzruszona.*

I Aneta, i Sosińscy to pionierzy polskiego kapitalizmu – przed 30 laty jako młodzi ludzie „wzięli swoje życie w swoje ręce", jak zachęcała pozytywna propaganda państwowa po odzyskaniu wolności w 1989 r. Dorobili się dzięki własnej pracy, a potem wszystko stracili w cztery lata. Wychodzą we trójkę na drogę przed Sosnę. Kiedyś – trzy rzędy samochodów w kolejce do granicy, kolejka na kilkanaście kilometrów. Teraz, mimo otwarcia granic, pustka. Pozostaje tylko nadzieja: ruszy się wszystko przed samymi świętami. Rozmowa: – *Może „eskę" oddadzą w grudniu? – Tak, na pewno w grudniu? A co, jak nie? – No to leżymy na całego.*

Aneta jechała przez wiadukt nad budowaną „eską" (trasa S19) relacji świat–Kuźnica Białostocka i widziała, że wciąż w budowie. Mieli oddać wiosną, potem jesienią. Mają opóźnienie, więc przestali mówić o terminach. A dopóki „eska" nie ruszy, agencja celna Anety nie będzie miała pracy. Aneta zarabia na tirach. Zwolniła część ludzi z firmy, a druga część już była na wypowiedzeniu, kiedy gruchnęła wieść, że rząd jednak otworzy granicę w Kuźnicy i Bobrownikach. Bardzo boli właściciela agencji celnej, gdy widzi tiry wiezione na pociągu towarowym przez otwarte przejścia na Białoruś. A takie rzeczy Aneta widziała. Zdarzyła się także pokojowa mimo wojny transakcja handlowa Ukraina–Rosja: przepiękne, ręcznie robione bombki choinkowe.

Białorusini przed Biedronką w Kuźnicy – drobne, nieśmiałe zakupy. Ale znaleźli w Polsce małego kota i pytają, czy da się go przewieźć przez granicę. Nie da się. Ogłoszenie o pracy dla Białorusinów – pod kebabem przy samym przejściu, na razie brak odzewu. Kapią, nie przyjeżdżają. Grucha wiadomość o trzech Białorusinkach, które rozłożyły się w Białymstoku z drobnicą na sprzedaż. Myślały widocznie, że wszystko jak dawniej. Dostały mandat i powiedziały, że więcej do Polski nie przyjadą.

Wszystkie telefony między przedsiębiorcami zawierają tę samą niepewność: długo to potrwa? Jest sens inwestować? I najważniejsze: co wozić przez granicę, żeby zarobić, skoro tyle sankcji na towary? „Co wozić" ▶

eprasa.pl f001f96e29

▶ jest jak refren w Kuźnicy i Bobrownikach, ale i po białoruskiej stronie granicy. „Co wozić" oznacza pomysł na życie.

Sankcje

W Białymstoku Białorusini załadowują bagażnik osobówki proszkami do prania – nie wiadomo, czy przejdą kontrolę w Kuźnicy, bo chemia ma sankcje na wywóz. Sankcje unijne obowiązują także elektronikę, a już zwłaszcza pralki.

W Bobrownikach i Kuźnicy nowa obsada celna. Służbiści – narzekają Białorusini z osobówek – otworzyli tylko jedną alejkę i sprawdzają tak dokładnie jak przy włoskim strajku. Nie da się „po bracku" zagadać, jak kiedyś. Teraz celnik nie puści grama towaru ponad normę, bo od razu kłania mu się za to prokurator. Z tymi pralkami było tak, że jakiś czas temu szły z Polski na wschód hurtowo, a potem ich elektroniczne sterowniki Ukraińcy odkrywali w rosyjskich dronach. Sankcje właśnie dlatego, żeby zatrzymać wywóz „dual use'ów", czyli rzeczy, z których się da wyprodukować inne (broń).

Obowiązuje też ograniczenie przewozu tzw. dóbr luksusowych (według przepisów to takie, które kosztują ponad 300 dol. za sztukę). – *Dla nas ogólny limit na osobę to 500 euro i 25 kg wywożonego towaru* – mówi Dymitr, który czeka w Bobrownikach na wjazd na Białoruś. Był, widział, nie podobało mu się. Stoją z kilkoma kolegami, palą papierosy i wzruszają ramionami, podliczając: jeden dobry telewizor kupiony w Polsce to ponad 500 euro, czyli nie przejdzie przez granicę. Z kolei pralka czy lodówka są poniżej 500 euro, ale powyżej 25 kg – też nie przejdą. Konkluzja: lepiej się opłaca u nas na Białorusi kupować. Polska już nieopłacalna.

Białorusini

Ewelina Grygatowicz-Szumowska, właścicielka agencji celnej, jedna z założycielek i liderka Porozumienia Polskich Przedsiębiorców Zjednoczony Wschód, mówi, że Białorusinów trzeba na nowo przekonać do Polaków. Nie ma już rzeczywistości sprzed zamknięcia granic: koszty produkcji i inflacja poszły w Polsce w górę, więc skończyła się opłacalność zakupów dla Białorusinów. Z drugiej strony u siebie zarzucani są tanim towarem *made in Asia* (*sdiełano w Azii*), głównie z Chin. Granica Polski z Białorusią jest teraz jak gospodarcza linia demarkacyjna Wschód–Zachód.

Białorusini, którzy przez ostatnie kilka dni wjechali do Polski, jak mówi Grygatowicz-Szumowska, to ludzie ze „starymi" wizami. Tacy, co w ostatnich latach wjeżdżali do Unii Europejskiej przez Terespol. Gdyby masowy ruch przez granicę na Podlasiu miał się zacząć na nowo, wpadnie w wizowe „wąskie gardło". Za mało polskich konsulatów na Białorusi – wszystko przez sytuację geopolityczną, przez wojnę w Ukrainie, przez hybrydową wojnę Wschodu przeciw Polsce. Czyli nie ma innej rady: granice otwarte, ale podlaska „strefa zgniotu" musi teraz ułożyć się ze wszechobecną polityką.

Życie

Krąży na Podlasiu taki dowcip, z którego śmieją się też przyjezdni Białorusini: polityka to dziura pomiędzy obywatelem a jego państwem. Państwo ma zawsze na podorędziu wyśrubowane względy bezpieczeństwa i tajemnicę państwową, którą może się zasłonić, podejmując decyzje. Obywatel ma rachunki do popłacenia, od których nie ma ucieczki. Żyjący z granicy przedsiębiorcy z Podlasia opowiadają o wzmożonej krwiożerczości kredytujących ich banków i firm leasingowych, gdy rząd PiS zamknął przejścia w Kuźnicy i Białymstoku, a oni przestali być wypłacalni. Wierzyciele zwąchali ofiary z majątkami łatwymi do przejęcia. Były plajty, kary za zaleganie, licytacje. Państwo wypłacało rekompensaty, ale nie pokrywały kosztów – kroplówka.

Przed wyborami parlamentarnymi w 2023 r. do plajtujących ludzi na Podlasiu przyjeżdżali znani politycy – obiecywali otwarcie przejść granicznych. Dostali się do Sejmu także dzięki ich głosom, ale obietnicę spełnili dopiero dwa lata później. Trzeba było kampanii Zjednoczonego Wschodu, wydeptywań dywanów w urzędach, marszów ulicznych pod hasłem „Pogrzeb podlaskiej gospodarki", kilkunastu listów do stolicy tygodniowo (w nich sformułowania takie jak „strefa zgniotu", „skansen do uprawiania polityki krajowej", „region wykorzystywany w rozgrywkach międzynarodowych", „całkowity spadek liczby klientów z Białorusi", „erozja ekonomiczna i demograficzna"). Bez odpowiedzi.

Otwarcie

W lipcu 2025 r. złapali premiera Donalda Tuska za słowo o „nowym otwarciu". Napisali: „jako Przedsiębiorcy i Samorządowcy składamy wniosek o otwarcie przynajmniej jednego granicznego przejścia drogowego w województwie podlaskim w związku z zapowiedzianym przez Pana nowym otwarciem w realizacji programu Demokratycznej Koalicji 15 października". Na początku listopada Tusk pojawił się w Białymstoku na forum gospodarczym i ogłosił, że Kuźnica i Bobrowniki zostaną otwarte za dwa tygodnie.

Dziś obie strony – przedsiębiorcy i rząd – ogłaszają sukces. Rząd chwali się w internecie, że „podjęcie tej decyzji było możliwe dzięki szczelnej ochronie granicy z Białorusią", która jest „zabezpieczona jak nigdy wcześniej". Cytuje się premiera: „korzyści z otwarcia większe niż ryzyko z tym związane". Ale też jasno się zastrzega: „jeżeli rząd uzna, że są ryzyka z tym związane, rozważy ponowne zamknięcie" granic. Czytają to w „strefie zgniotu" i od tygodnia dzwoni Aneta Hrybińska do Kaśki, Ewelina do Agnieszki, hurtownicy do agentów celnych itd. z pytaniem: zaraz zamkną czy nie zamkną?

Sabotaż

16 listopada, dzień przed planowanym otwarciem przejść w Bobrownikach i Kuźnicy, doszło do sabotażu na torach kolejowych na Mazowszu i Lubelszczyźnie – wybuch i zniszczenie. Kolejnego dnia polskie służby podały, że sprawcami są dwaj działający na zlecenie Rosji Ukraińcy, którzy po wszystkim uciekli na Białoruś. Nie było w „strefie zgniotu" przedsiębiorcy, który nie pomyślał: „Możemy się pożegnać z otwarciem granic". Wybuch na torach i otwarcie granic to teraz para retoryczna w każdej rozmowie na Podlasiu. Wytłumaczenie jedno: Rosja nie chce, żeby Polacy i Białorusini zbliżyli się do siebie przez otwarte granice. – *Otwarcie granic to wielki sukces przedsiębiorców z Podlasia* – mówi Robert Tyszkiewicz, były poseł, obecnie doradca marszałek Senatu – *ale na razie nie widzę przesłanek, żeby spodziewać się stabilizacji i normalizacji w regionie.* Dodaje: – *Rosja jest zainteresowana utrzymywaniem niepewności.*

Chwila

Z ostatniej chwili. SMS od właścicielki agencji celnej z Kuźnicy: „Właśnie dzisiaj dowiedziałam się, że już mi się nie należą rekompensaty (od państwa – przyp. aut.), ponieważ przejście jest otwarte. Dobili mnie na koniec po 4 latach. Chyba się poddaję. Pozdrawiam, Aneta Hrybińska".

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

eprasa.pl f001f96e29

Polski „supermateriał” i nowa przewaga gospodarcza

Ciężkie zasilacze, duże straty prądu, sprzęt, który się grzeje? Coraz więcej urządzeń – od ładowarek do telefonów i aut po falowniki w fotowoltaice – może być mniejszych, chłodniejszych i bardziej oszczędnych dzięki półprzewodnikowi o nazwie azotek galu (GaN). Przy Instytucie Wysokich Ciśnień Polskiej Akademii Nauk powstaje linia technologiczna, która zapewni realną przewagę polskim producentom.

Azotek galu pozwolił kiedyś stworzyć niebieskie diody LED i lasery, a dziś przynosi skok w elektronice mocy. Tranzystory z GaN szybciej przełączają prąd, wytrzymują wyższe napięcia i temperatury, więc urządzenia mogą być lżejsze i mniej prądożerne. Dają użytkownikom konkretne oszczędności na rachunkach, a w skali kraju dużo mniejsze emisje dwutlenku węgla.

Klucz do nowej fabryki

Klucz tkwi w podłożu, czyli w „sercu” przyrządu. GaN, który rośnie zazwyczaj na krzemie, bywa pełen „mikrousterek”. Polscy naukowcy zastosowali więc metodę wytwarzania GaN na podłożu z tego samego azotku galu. To wielokrotnie zmniejsza liczbę defektów, podnosząc sprawność i trwałość materiału. Instytut Wysokich Ciśnień jest jedynym w Europie wytwórcą takich podłoży. W Warszawie produkowane będą 4-calowe podłoża GaN i gotowe warstwy dla tranzystorów mocy.

Centrum Fizyki i Technologii Półprzewodników Azotkowych „GaN-Unipress” finansowane z Krajowego Planu Odbudowy i Zwiększania Odporności (KPO) pomieści pod jednym dachem cały łańcuch produkcji azotku galu – wzrost kryształów, cięcie, polerowanie, osadzanie warstw i superdokładną kontrolę jakości. Dla biznesu oznacza to mniejsze ryzyko, przewidywalną jakość i krótszą drogę od pomysłu do prototypu. Dostępność półprzewodnika o jakości produkcyjnej w postaci 4-calowych „wafli” da przewagę polskim firmom wytwarzającym zasilacze, napędy przemysłowe czy sprzęt do OZE.



© INSTYTUT WYSOKICH CIŚNIEŃ PAN

2-calowe podłoża z azotku galu – perfekcyjnie gładkie i jednorodne wafle stanowią podstawę wydajniejszej, ekologicznej elektroniki.

Tradycja i nowoczesność

Polska ma w GaN długą tradycję: nad półprzewodnikami azotkowymi pracuje się u nas od połowy lat 80., a Instytut Wysokich Ciśnień ma jedną z największych akademickich grup badawczych w Europie w tej dziedzinie – liczącą ponad 100 osób. Działa ona na styku nauki (fizyka materiałów, nowe metody krystalizacji) z praktyką (konkretne urządzenia dla przemysłu). Instytut współpracuje także z najlepszymi ośrodkami i firmami na świecie – dzięki temu rozwiązania technologiczne dojrzewają szybciej, a polskie laboratoria stają się naturalnym partnerem dla energetyki, lotnictwa i przemysłu 4.0.

Korzyści z uruchomienia produkcji GaN odczujemy wszyscy w domu i w firmach: mniejsze i chłodniejsze ładowarki, sprawniejsze falowniki w fotowoltaice (tj. więcej prądu w gniazdku), bardziej niezawodne ładowarki do aut elektrycznych i tysiące mikrousprawnień, które sumują się do niższych rachunków i mniejszego śladu węglowego. Dzisiejsze 4-calowe podłoża to „złoty środek” między kosztem a jakością, ale projekt otwiera drogę do 6- i 8-calowych wafli, czyli szerokiej skali przemysłowej.

Stworzenie centrum „GaN-Unipress” kosztuje ponad 89 milionów złotych, z czego 75,8 milionów pochodzi z Unii Europejskiej. Ta kwota zostanie wydana głównie na zakup supernowoczesnych urządzeń, takich jak autoklawy do wzrostu kryształów GaN (rodzaj „szybkowarów” dla kryształów), linie do cięcia i polerowania 4-calowych wafli, czy reaktory do osadzania ultraczystych warstw. Dodatkowo Instytut Wysokich Ciśnień planuje program szkoleń dla swoich naukowców, by mogli rozpocząć produkcję i współpracę z biznesem już w końcówce 2026 roku.

KRAJOWY PLAN ODBUDOWY
Rzeczpospolita Polska
Sfinansowane przez Unię Europejską NextGenerationEU

eprasa.pl f001f96e29



Zmarła w łóżku. Tragicznie

Gdy płonie łóżko rehabilitacyjne, osoba leżąca na nim ginie w mękach. Ostatnio dzieje się to zbyt często. A problem bywa bagatelizowany przez wymiar sprawiedliwości.

VIOLETTA KRASNOWSKA

Tak właśnie zginęła mama artystki Ewy Ostaficzuk-Olbrychskiej. Córce do dziś nie daje spokoju brak odpowiedzi na pytanie, skąd wziął się ten pożar. Co go wywołało? I dlaczego spaliło się tylko łóżko, na którym leżała jej mama?

– *Mama nie chodziła od ponad roku. Najpierw złamała kolano, potem biodro, które źle się zrosło. Zaczęła z trudem chodzić, a potem w ogóle przestała* – opowiada Ewa Ostaficzuk-Olbrychska. I od razu dodaje: – *Ale głowa jej pracowała bez zarzutu. Nauczycielka matematyki, dydaktyk, cały czas rozwiązywała zadania, tyle że po prostu bardzo cierpiała z tego powodu, że jest zależna ode mnie w sensie ruchowym.* Na stronie wypożyczalni sprzętu medycznego córka wybrała łóżko terapeutyczne, nazywane też ortopedycznym, służące głównie osobom niechodzącym, sterowane pilotem. „Regulacja za pomocą pilota pozwala pacjentowi na samodzielne dostosowanie preferowanej pozycji bez konieczności bycia zdanym na wsparcie opiekuna" – zachwalano ten model.

Co z moją mamą?

4 maja 2022 r. pani Ewa zawarła umowę z wypożyczalnią. Pracownik wypożyczalni przywiózł łóżko w częściach i na miejscu w mieszkaniu je zmontował. – *Pokazał, jak działa pilot, gdzie co przyciskać, i to było wszystko* – mówi Ostaficzuk-Olbrychska. Nie dostała instrukcji, a w umowie nie było numeru znamionowego łóżka. Ale wtedy o tym nie myślała. – *Przychodziłam do mamy trzy razy dziennie, raz o siódmej rano, by mamę zdjąć z łóżka, posadzić na fotel, pojechać z nią do toalety, do łazienki, przygotowywałam posiłki. W ciągu dnia i wieczorem tak samo, kolacja, łazienka, toaleta i kładłam mamę do łóżka. Tamtego wieczoru też położyłam mamę, powiedziałam – „to będę o siódmej", wyszłam* – mówi i milknie.

Rano pod blokiem zobaczyła strażaka, poczuła niepokój. Jazda windą na 7. piętro trwała dla niej wtedy całe wieki. Gdy wysiadła, cały korytarz był zadymiony, strażacy łomotali po kolei do drzwi, bo nie wiedzieli, spod których wydobywa się dym. Drżącą ręką otworzyła drzwi do mieszkania mamy. – *To był czerwiec, słoneczny dzień, a tam było czarno od dymu. Wbiegłam, żeby ratować mamę, i w tym momencie za ramię złapał mnie strażak. Zaczęłam się dusić, wykrztusiłam tylko, że „tam jest moja mama!".*

I osunęła się. Jak przez mgłę pamięta, że podchodzili do niej jacyś ludzie, wezwani ratownicy medyczni, którzy podali jej coś na uspokojenie. A ona wciąż pytała: „co z moją mamą?". Aż podszedł jakiś policjant, stanął przed nią wyprostowany, powiedział: „kondolencje".

Z notatki policyjnej: „Po ugaszeniu pożaru straż poinformowała, że kobieta, która znajdowała się w środku, nie przeżyła

© SHUTTERSTOCK, OSP ŻAGAŃ, OSP TRZEMESZNO

eprasa.pl f001f96e29





Po lewej: **Mokra Prawa pod Skierniewicami, w pożarze wywołanym zwarciem w łóżku zginęła 81-letnia kobieta.**
Poniżej: **dom w Trzemesznie, gdzie w łóżku rehabilitacyjnym spłonął 72-latek.**

pożaru, który najprawdopodobniej rozpoczął się od łóżka ortopedycznego na którym leżała kobieta".

Śledztwo za ogniem

Do mieszkania weszła ekipa śledcza: policjant, technik kryminalistyki i biegły z zakresu pożarnictwa. W protokole z oględzin zapisano, że pożar miał miejsce tylko w jednym pokoju, w tym, w którym było łóżko. Spaleniu uległo tylko ono. Nadpalone były deski łóżka od strony ściany, a materac z pianki tapicerskiej został całkowicie wypalony. Spłonął stelaż łóżka i parkiet pod nim. „Wypalenie drewnianej podłogi wskazuje na zapoczątkowanie spalania bezpośrednio pod łóżkiem. W środkowej części łóżka na podłodze ujawniono intensywnie wypalony silnik elektryczny pochodzący z mechanizmu przemieszczania pozycji materaca. Poza wyżej opisanym silnikiem nie ujawniono innych inicjatorów zdolnych do spowodowania zapłonu. Poza opisanym łóżkiem w mieszkaniu nie stwierdzono innych miejsc bezpośredniego spalania" – napisano w protokole.

Prokurator Alicja Gajewska z Prokuratury Rejonowej Warszawa-Mokotów wszczęła śledztwo, ale nie w sprawie śmierci kobiety, a „sprowadzenia zdarzenia powszechnie niebezpiecznego, zagrażającego życiu i zdrowiu wielu osób, mającego postać pożaru, którego następstwem jest śmierć". A śmierć musiała być potworna. Medyk sądowy nie był w stanie podać wagi ani wzrostu mamy pani Ewy, bo „ciało było w znacznym stopniu zwęglone". Co do przyczyny śmierci napisał: „Obecność sadzy w drogach oddechowych oraz stwierdzony poziom hemoglobiny tlenkowęglowej dowodzą, że kobieta żyła (oddychała) w atmosferze pożaru". I dalej: „należy przyjąć, iż do zgonu doszło w wyniku skojarzonego działania wysokiej temperatury i otwartego pożaru".

Prokuratorka zwróciła się do biegłego z zakresu pożarnictwa, który był na miejscu tuż po ugaszeniu pożaru, o odpowiedź na pytania: Czy jest możliwe ustalenie przyczyny pożaru? Gdzie znajdował się początek pożaru oraz jaki był przebieg jego rozprzestrzeniania się? Czy powstanie pożaru było wynikiem działania bądź zaniechania człowieka, a jeśli tak, to jakie okoliczności na to wskazują?

Biegły jako przyczynę pożaru wskazał „intensywnie wypalony silnik łóżka". Dopatrzył się „stanu awaryjnego, którego efektem było wytworzenie wysokiej temperatury, od której zapaleniu uległ materac łóżka". „Nie ujawniono innych inicjatorów" – dopisał. Wniosek: „Przyczyną pożaru był stan awaryjny silnika elektrycznego, będącego wyposażeniem łóżka ortopedycznego". Później doprecyzował jeszcze: „Miejsce powstania pożaru odpowiada umiejscowieniu silnika na instrukcji łóżka. Silnik spadł na podłogę, po tym jak spaliło się jego mocowanie. Stąd wypalona podłoga pod łóżkiem".

Składaki dla chorych

Ostaficzuk-Olbrychska przekazała prokuratorce informację, skąd wypożyczyła łóżko. Prokurator Gajewska zażądała od właściciela firmy wypożyczającej sprzęt medyczny dokumentacji technicznej łóżka, dokumentacji jego przeglądów serwisowych i konserwatorskich od czasu jego zakupu. Dostała ksero „skróconej instrukcji użytkowania łóżka do opieki długoterminowej", umowę wynajmu łóżka i druk pt. „Przegląd. Łóżko rehabilitacyjne". Tam wypunktowano „czynności serwisowe" odfajkowane krzyżykami. Ale bez podpisu wynajmującej.

Wezwany na przesłuchanie właściciel wypożyczalni zeznał, że jego firma skupuje łóżka używane, głównie od pacjentów, zajmuje się też ich naprawą. W wypożyczeniu ma akurat około 20–30 łóżek. To konkretne – nie ma numeru seryjnego, właściciel nie jest więc w stanie ustalić, od kogo łóżko zostało zakupione ani kiedy. Na umowie wpisuje tylko model. Zresztą, dodaje właściciel, łóżka i tak są rozbierane na części pierwsze, bo inaczej nie przeszłyby przez drzwi. Właściciel ▶

eprasa.pl f001f96e29

▶ przyznaje, że zdarzają się łóżka składaki, że elektronikę albo się naprawia, albo wymienia na inne części. Zapewnia, że przed każdym wypożyczeniem łóżko jest sprawdzane, także – czy kable nie mają uszkodzeń. Miernikami bada się moc i prąd.

Co do serwisowania zaś wypożyczonych łóżek – w trakcie okresu najmu firma stara się nie robić serwisu, chyba że jest to dłuższy okres – rok, dwa lata. Tu był ponad rok. Ale ile lat miało łóżko wypożyczone przez panią Ewę, nie wiadomo.

Gdy prokurator pokazała właścicielowi wypożyczalni opinię biegłego z zakresu pożarnictwa, w której wskazuje na silnik łóżka jako sprawcę pożaru, stwierdził, że trudno mu się do tego odnieść, „bo to łóżko było tam w sumie rok i dlaczego coś takiego wystąpiło" – dziwił się.

Bez znamion

Ewa Ostaficzuk-Olbrychska odszukała i przekazała prokuratorce doniesienia o pożarach innych łóżek rehabilitacyjnych. „Makabra w Warszawie. Pan Włodzimierz spalił się w łóżku". Albo: „Pożar w mieszkaniu przy ul. Nalewki w Warszawie – zginęła starsza kobieta". Jej mąż przebywający w drugim pomieszczeniu, który próbował ratować żonę, uległ poparzeniom i został zabrany do szpitala. „Śmiertelny pożar pod Skierniewicami, zapaliło się łóżko ortopedyczne". Zginęła 81-letnia kobieta. O tym pożarze pisano: „Przypuszczalną przyczyną mogło być zwarcie w instalacji elektrycznej urządzeń sterujących łóżkiem ortopedycznym". W Żurominie uniknięto tragedii, bo „strażacy dostali zgłoszenie o pożarze; zastali palące się elektryczne łóżko rehabilitacyjne, a w pomieszczeniu obok mężczyznę na wózku".

Na Śląsku, w miejscowości Orzesze w nocy 10 marca 2020 r. do bloku przy ul. Kolejowej do pożaru wezwano policję i straż pożarną. Okazało się, że w jednym z mieszkań na parterze doszło do zwarcia instalacji w elektrycznym łóżku, na którym leżał 65-letni, niepełnosprawny mężczyzna. I to on wszczął alarm. Ewakuowano 12 osób.

Dla Ostaficzuk-Olbrychskiej to były dowody, że zapalenie się łóżka jej mamy to nie jest jednostkowa historia. Alarmowała, by prokurator rozszerzyła śledztwo i zbadała, czy coś z tymi łóżkami jest nie tak. Jej pełnomocniczka, adwokat Joanna Wielgolawska-Pilas, pisała do prokuratury: „Samozapłony łóżek ortopedycznych, które są używane przez osobę o ograniczonej sprawności, uniemożliwiające tym osobom ucieczkę w przypadku zagrożenia, budzą ogromny niepokój. Z uwagi na skalę, i skutek tych przypadków, ich przyczyny powinny być wyjaśnione celem ustalenia, czy przyczyną pożaru jest wada fabryczna, jego niewłaściwy serwis czy też niewłaściwe użytkowanie. Te ustalenia mogą mieć znaczenie dla kwalifikacji karnej w niniejszej sprawie".

Tymczasem prokurator Alicja Gajewska zleciła drugą opinię co do przyczyn pożaru biegłemu – z Łodzi. On z kolei stwierdził, że po badaniu silnika pod mikroskopem nie znajduje śladów zwarcia, więc to nie silnik spowodował pożar. Wykluczył też przy okazji lampkę nocną, która była przy łóżku. „Być może przyczyną pożaru był jeden z przewodów elektrycznych zasilający silnik, który był rozfragmentowany – ale nie można stwierdzić, czy coś ciężkiego najechało na przewód, czy to wada fabryczna" – stwierdził. Ostatecznie napisał: „wysokie prawdopodobieństwo przypadkowego zaprószenia ognia". Ale dodał, że nie wie, jak miałoby do tego dojść. – *Mama nie paliła papierosów, nie miała przy łóżku żadnych świeczek, zapalniczek, nie była w stanie sama usiąść na łóżku ani przekręcić się na bok czy w jakikolwiek sposób zmienić pozycji, więc jak mógł zostać zaprószony przez nią ogień?* – denerwuje się pani Ewa.

Wystąpiła o powołanie trzeciego biegłego, najlepiej z Akademii Pożarniczej albo choć o skonfrontowanie obu biegłych. Jej pełnomocniczka argumentowała, że dopytywanie każdego osobno nic nie da, bo każdy będzie bronił swojej opinii. Prokurator nie zgodziła się na konfrontację, ale zleciła dosłuchanie biegłych. Biegły z Łodzi oświadczył: „to, że pani Elżbieta Ostaficzuk była osobą niepalącą oraz że nie używała przedmiotów z otwartym ogniem, w tym świeczek, wiemy tylko z materiałów zawartych w aktach, natomiast nie możemy kategorycznie stwierdzić, że poszkodowana nie używała otwartego ognia i nie paliła papierosów".

Trzeci biegły, specjalista od pożarów z Akademii Pożarnictwa, który na prośbę pani Ewy zgodził się przyjrzeć aktom sprawy i obu opiniom, wydał własną – że pożar został zainicjowany pod łóżkiem ortopedycznym, na którym znajdowała się ofiara. Przyczyną był stan awaryjny instalacji elektrycznej (osprzęt łóżka). Jako opinię prywatną przekazała ją prokuratorce. Jednak Alicja Gajewska postanowiła umorzyć śledztwo „wobec braku znamion czynu zabronionego". Różniące się opinie biegłych w uzasadnieniu podsumowała krótko: „Niezależnie od przyczyny pożaru, zdarzenie to było wypadkiem". I dalej: „A jako że pożar nie stworzył zagrożenia dla wielu osób, ustalenia postępowania wykluczyły możliwą odpowiedzialność karną innych osób za sprowadzenie pożaru, a jego powstanie miało charakter przypadkowy. Zatem czyn nie stanowił realizacji znamion art. 163 par 4 kk, co obliguje do jego umorzenia".

Ewa Ostaficzuk-Olbrychska zaskarżyła to umorzenie do sądu jako przedwczesne, ale neosędzia Monika Szulkowska z Sądu Okręgowego w Warszawie go nie uwzględniła. Bo w sprawie brak jest znamion przestępstwa. Koniec sprawy.

Pani Ewa nie może się z tym pogodzić. – *Ciągle nie wiem, dlaczego umarła moja mama* – mówi z bólem artystka.

Coraz to nowe przypadki

Tymczasem kolejne łóżka płoną. W sierpniu tego roku w Trzemesznie zginął 72-letni mężczyzna. Córka wyszła tylko na chwilę. Syn zobaczył dym wydobywający się z okna i wszczął alarm. Paliło się tylko łóżko podpięte do zasilania. Prokurator Konstancja Paczkowska z Prokuratury Rejonowej w Gnieźnie wszczęła śledztwo. Nie jak w przypadku mamy pani Ewy – sprowadzenia niebezpieczeństwa w postaci pożaru – ale nieumyślnego spowodowania śmierci. Przy okazji poszukiwania biegłego z zakresu pożarnictwa zwróciła uwagę na doniesienia medialne o innych pożarach łóżek, nawet w szpitalach.

Łóżko z Trzemeszna też nie było nowe. Prokurator prowadząca śledztwo ustaliła, że to zostało zarejestrowane w Urzędzie Rejestracji Produktów Leczniczych w 2015 r., mężczyzna miał udar w 2022 r., a rodzina kupiła je w 2023 r. Na razie biegły wykluczył awarię łóżka, ale prokurator zleciła bardziej szczegółową analizę, na którą jeszcze czeka. Rzecznik prasowy Komendanta Głównego Państwowej Straży Pożarnej Marcin Gęsicki informuje, że nie gromadzi się tak szczegółowych danych o przyczynach pożarów, jak liczba spalonych łóżek określonego typu – w tym łóżek rehabilitacyjnych. Może w końcu trzeba to robić. Pomoże to zwrócić uwagę na problem i zapobiec przyszłym tragediom.

VIOLETTA KRASNOWSKA

eprasa.pl f001f96e29



eprasa.pl f001f96e29

Wojna o poligon

Grunty otaczające rzutnię granatów i strzelnicę na Poligonie Drawskim to gorący kawałek ziemi. Wyrywają go sobie wzajemnie dwa samorządy. I przynajmniej dla jednego z nich jest to gra o przeżycie.



© ŁUKASZ DEJNAROWICZ/FORUM

JULIUSZ ĆWIELUCH

Wieś Studnica w gminie Ińsko, powiat stargardzki, to miejsce zaciętej walki. Jej echa mieszkańcy Studnicy mają zresztą na co dzień, bo tuż obok, za lasem, jest wojskowa strzelnica i rzutnia granatów. Kilka lat temu wojsko strzelało tam raczej rekreacyjnie, bo naboje były w cenie. Ale od wybuchu wojny w Ukrainie prują z karabinów na całego, a i granatów nie żałują. – *Po tylu latach człowiek zdążył się przyzwyczaić. Do tych granatów to trochę trudniej, bo to, jak mówią, od wybuchów to serce czasem człowiekowi podskoczy, a czasem okno wyskoczy. Ale ogólnie to my się na poligon nie gniewamy. Byle jakaś korzyść z tego była. Bo to nie powinno tak być, że co złe, to u nas, a co dobre, to do budżetu Kalisza Pomorskiego* – stawia jasno sprawę Dorota Potrykus, sołtyska wsi Studnica.

W tle strzał za strzałem. Tyle dobrego, że jak jest zimniej, to rzadziej ćwiczą rzut granatem. A obecnie jest zimniej. Ale w okolicy to raczej gorąco. – *Po latach udało się nam wyrwać ten kawałek ziemi dla gminy, żeby i do nas podatki szły. Ale chwila minęła i znowu chcą nam go odebrać. Tyle że my nie oddamy nawet guzika* – mówi sołtyska. Osobiście po ludziach chodzi z ankietami, żeby każdy się opowiedział, czy oddawać działki do Kalisza Pomorskiego. We wsi ma 120 ludzi i tu, jak twierdzi, na każdego może liczyć. W innych też spodziewa się żelaznego poparcia, bo jak czołgi idą na pasie taktycznym do natarcia, to dwie wsie dalej wiedzą, że zaczyna się atak. Ataku tych z Kalisza Pomorskiego też się nie boją, bo walczą o przetrwanie gminy. Ale po kolei.

Atak pozorowany

Jacek Liwak, poprzedni burmistrz Ińska, nie wypiera się, że to on jest ojcem śmiałego planu ataku na dwie sąsiednie gminy. Zajęcie niemal 10 tys. ha było planem godnym Guderiana, którego żołnierze szkolili się na tym poligonie do zajęcia Polski w 1939 r. Ale Liwak prosi, żeby z Wehrmachtem go nie łączyć, bo on nie z tych, no i nie działał ofensywnie, a jedynie szukał historycznej sprawiedliwości. – *Z okazji jakiejś wojskowej uroczystości ja i kilku innych samorządowców zostaliśmy obdarowani okolicznościową monografią Poligonu Drawskiego. Nie wiem, jak inni koledzy, ale ja tę lekturę przeczytałem uważnie i dowiedziałem się, że do 1954 r. podział administracyjny tych ziem był inny. Konkretnie część ziemi poligonowej należała do naszej gminy* – tłumaczy były burmistrz Ińska. W latach 50. zeszłego wieku o poligonowe grunty nikt jednak kopii nie kruszył, bo nie było o co. Przez lata wojsko dzieliło się z samorządami sprawiedliwie – konkretnie nikomu nic i za nic nie chciało płacić.

Tyle że w 1998 r. samorządowcy upomnieli się o podatek od gruntów. I po pięciu latach sądowej batalii wymiar sprawiedliwości przyznał im rację. W 2003 r. radni Kalisza Pomorskiego zaplanowali, że z tytułu podatku od nieruchomości gmina dostanie 2,3 mln zł. Rok później wpływy z tego tytułu zwiększone zostały o 12 mln zł. Pieniądze tak uderzyły ludziom do głowy, że był nawet pomysł, żeby kwotę po równo rozdać pomiędzy mieszkańców. Na przeszkodzie stanęła

eprasa.pl f001f96e29



Regionalna Izba Obrachunkowa i przepisy. Ale emocje w ludziach były silne. W sąsiednich gminach nie mniejsze. – *Prawda jest taka, że przez lata klepaliśmy jednakową biedę. A później na jednych spadł deszcz pieniędzy, a na nas deszcz kłopotów, bo to jednak nasze drogi rozjeżdżały wojskowe pojazdy, to nasi mieszkańcy nie mogli pójść na grzyby, choć za płotem mieli bujne lasy* – wylicza Liwak.

Z tymi grzybami to trochę koloryzuje, bo przez lata wojsko z poligonu korzystało umiarkowanie, bo umiarkowane miało środki na szkolenie. Na brak grzybów nikt nie narzekał. Ale trzymając się przepisów, a nie realiów, to rzeczywiście z wchodzeniem do lasu bywał kłopot.

Cokolwiek by burmistrz Liwak mówił o zamiarach, to strategię może i miał pokojową, ale taktykę zaczepną. – *Nie ukrywam, że pomysł z zabraniem sąsiadom 10 tys. ha był nie tylko śmiały, ale i na wyrost. Jednak od razu zwrócił uwagę na nasz pomysł i dał nam odpowiednie medialne paliwo* – tłumaczy Liwak. Pod koniec czerwca 2017 r. materiał o wojnie o poligon wyemitował TVN24. Temat przeleciał przez większość ogólnopolskich mediów. Z perspektywy gminy, w której dzieje się niewiele, było to więcej niż sukces. O jego skali świadczy fakt, że sąsiedni burmistrzowie przestali sobie robić z Liwaka podśmiewajki, a zaczęli dzwonić z pretensjami. Było o co się boczyć. Ińsko próbowało im odebrać nie tylko ziemię, ale i grube miliony. Na tamte lata było to prawie 5 mln zł z podatku poligonowego.

Pierwszy na roszczenia Ińska odpowiedział burmistrz Drawska Pomorskiego Zbigniew Ptak, który, jak przystało na osobę dużo spotykającą się z wojskowymi, obronę rozpoczął poprzez atak. Ptak zapowiedział, że ziemi nie odda, ale chętnie przyjmie. I nawet zaproponował sąsiadom, żeby dokonać rozbioru gminy Ińsko, skoro ta nie radzi sobie z budżetem i potrzebuje wsparcia. W Kaliszu Pomorskim, który do stracenia miał najwięcej, bo prawie 9 tys. ha, Liwak został wrogiem numer jeden. Gmina torpedowała pomysł na wszelkie możliwe sposoby. I wtedy burmistrz Ińska przeszedł do drugiej części swojego planu.

Rozpoznanie bojem

– *Burmistrz Liwak najpierw próbował nam wyszarpać szmat ziemi z tzw. obwodu geodezyjnego Borowo. W przeliczeniu na pieniądze to by było nawet 7 mln zł. A później spuścił z tonu i zabiegał o pas działek przy wsi Studnica, co kosztowałoby nas 350 tys. zł mniej do budżetu. I to już była taka propozycja, że łatwiej mu było zjednywać sobie poparcie na przykład u wojewody* – tłumaczy Janusz Garbacz, były burmistrz Kalisza Pomorskiego. Sam Garbacz w tamtym czasie walczył o przetrwanie, bo był bohaterem radiowego serialu w TOK FM „Folwark", w którym Michał Janczura obnażał relacje burmistrza z podwładnymi. Relacje więcej niż napięte.

Napięcia z sąsiednią gminą również pozycji burmistrza Garbacza nie wzmacniały. Tym bardziej że po emisji pierwszego odcinka „Folwarku" PSL zawiesił Garbacza w prawach członka partii. Ostatecznie partia krzywdy mu nie zrobiła, ale oficjalnie wspierać w walce o grunt nie chciała. Tym bardziej że i Liwak był z PSL. – *Tu żadnej zmowy partyjnej nie było. Tym bardziej że przecież PSL był w opozycji, a rządził PiS* – zapewnia burmistrz Ińska. – *Tą sytuacją rządził jedynie zdrowy rozsądek i kalkulacja, bo skoro jedna gmina nie wie, na co wydać pieniądze, a druga – skąd wziąć pieniądze, to chyba rozsądnym rozwiązaniem jest wesprzeć jednych kosztem drugich* – tłumaczy Liwak.

Bronią atomową, którą Liwak miał w zanadrzu, był przykład pobliskiej gminy Ostrowice, która nie dość, że zbankrutowała, to jeszcze upadała w stylu niemalże operetkowym, bo ostatnie lata trwania zawdzięczała głównie pożyczkom z parabanków. Po drodze był jeszcze błagalny list do Billa Gatesa. Wójt Ostrowic prosił miliardera o pomoc dla pięknej, choć upadającej gminy. A nawet próba zorganizowania zbiórki na popularnym portalu crowdfundingowym. Obydwie ▶

eprasa.pl f001f96e29

▶ inicjatywy pozostały bez odzewu. A dług rósł jak na drożdżach. W 2017 r. zadłużenie gminy wynosiło 437 proc. jej dochodów. I ciągle rosło, choć w tym samym roku gmina wydała na inwestycje dokładnie 0 zł, co samo w sobie również było samorządowym fenomenem. Ostatnim akordem upadku była sprzedaż gminnej oczyszczalni ścieków, aby następnie, metodą odwróconego leasingu, płacić za korzystanie z infrastruktury nowemu nabywcy.

Powiedzieć, że w Ostrowicach mieli kreatywną księgowość, to nic nie powiedzieć, bo gmina zbankrutowała już długo przed oficjalnym ogłoszeniem tego stanu. Przykład Ostrowic był o tyle pouczający dla rządzących, że były wójt i była główna księgowa zostali skazani nieprawomocnymi wyrokami na siedem lat więzienia. A wojewoda zachodniopomorski musiał długo sprzątać bałagan po samorządowym szambie, bo gmina poległa głównie na kanalizacji. Kolejna upadła gmina na terenie tego samego województwa to już byłoby za wiele, więc wojewody nie trzeba było jakoś specjalnie przekonywać, żeby nieco przesunął samorządową kreskę gruntu. Tym bardziej że handlowano przecież ziemią, na której nikt nie mieszkał.

A wojsku było właściwie wszystko jedno, gdzie pójdzie przelew.

Kapitulacja

Tylko że do pomysłu trzeba było jeszcze przekonać ministra spraw wewnętrznych i administracji. A tu sam wojewoda mógł nie wystarczyć. I na to w Ińsku znaleźli sposób, bo tak się składa, że w gminie może i było biednie, ale też pięknie. Ozdobą są nie tyle lasy, bo te w większości ma wojsko, ile jeziora. Z perłą w koronie – polodowcowym jeziorem Ińsko z wodami w pierwszej klasie czystości i widocznością do 10 m. Trudno się dziwić, że jezioro przyciągało nurków. A wśród nich był poseł PiS Artur Szałabawka. Władze gminy zadbały, żeby przy okazji zgłębiania jeziora poseł Szałabawka zgłębił również problemy z dopięciem budżetu. – *Nie będę ukrywał, że się zaangażowałem w ten temat i lobbowałem w ministerstwie, bo to przecież było rozsądne rozwiązanie, żeby wspierać gminę, która z racji wielu ograniczeń środowiskowych nie miała potencjału, żeby rozwijać jakiś przemysł na swoim terenie* – mówił poseł Szałabawka.

Pomysł, żeby samorządowe problemy rozwiązać metodą na Robin Hooda, ministrowi Kamińskiemu właściwie przypadł do gustu. W Kaliszu Pomorskim próbowali się ratować metodą na Janosika, czyli dobrowolnym przekazaniem subwencji celowej dla sąsiadów. Burmistrz Garbacz gotów był płacić daninę dla Ińska, byle nie oddawać gruntów. Co, jak stwierdził w piśmie z 30 listopada 2021 r., „nie służy załatwieniu sprawy, a jedynie rozsierdzi Mieszkańców zainteresowanych gmin – co w konsekwencji doprowadzić może do niespotykanej wrogości". Ale wojewoda i minister byli innego zdania. A Garbacz krakał, krakał i wykrakał.

W tym samym piśmie do wojewody burmistrz Janusz Garbacz złożył jednak obietnicę, która właściwie kosztowała go przegraną w wyborach. Zadeklarował, że „myśli, że jest w stanie uzyskać aprobatę Rady Miejskiej i Mieszkańców Gminy Kalisz Pomorski dla 16 działek ściśle graniczących z Gminą Ińsko". 335 ha, które gotów był położyć na stole, miało dać sąsiadom 151 tys. wpływów z podatków, a jemu święty spokój.

I tak się właściwie stało. Tyle że burmistrz zapomniał zająć się przekonywaniem mieszkańców, o samych radnych nie mówiąc. – *Przeprowadziliśmy zgodnie z prawem konsultacje społeczne, których wynik był do przewidzenia. Zdecydowanie sprzeciwiliśmy się oddaniu naszych ziem, zaledwie cztery osoby były za zmianą granic naszej gminy. Tyle, że burmistrz przed zakończeniem konsultacji społecznych w piśmie do wojewody zaproponował oddanie działek, o czym niestety dowiedzieliśmy się już po wszystkim. Być może było to pokłosie spotkania pomiędzy stronami w dniu 18 listopada 2021 r.* – mówi Radosław Czapek, obecny i ówczesny wiceburmistrz Kalisza Pomorskiego. Przypadkiem, bo przy milionach, które gmina dostaje z dotacji poligonowej tych kilkuset brakujących tysięcy nie zauważyli. A że ziemia była niezamieszkana, to i z tej strony nie miał się kto żalić.

1 stycznia 2024 r. dokonał się co prawda bezkrwawy, jednak brzemienny w konsekwencje podbój ziem sąsiada. – *Dla nas to był rodzaj sprawiedliwości dziejowej i mądrości rządzących. Przecież my mamy takie same potrzeby jak w Kaliszu Pomorskim. Od lat na kawałek chodnika nawet nie było pieniędzy. A oni tam za lasem opływali w luksusy* – mówi sołtyska Studnicy. Tyle że ci z Kalisza postawili na inną mądrość – kradzione nie tuczy.

25 kwietnia 2025 r. Rada Miejska Kalisza Pomorskiego przegłosowała procedurę, w myśl której będzie się domagała zwrotu gruntów utraconych na rzecz gminy Ińsko. A 17 czerwca burmistrz Kalisza Pomorskiego opublikował zarządzenie o przeprowadzeniu konsultacji społecznych z mieszkańcami w tej kwestii. Wygląda na to, że sprawa jest nie tyle finansowa, ile również honorowa.

Kontrofensywa

Nie bez znaczenia były również wyborcze emocje. – *Ja odzyskanie tych ziem obiecałem ludziom w trakcie kampanii wyborczej. Jak mógłbym im teraz spojrzeć w oczy, gdybym nie podjął tej walki?* – pyta Krzysztof Kurowski, nowy burmistrz Kalisza Pomorskiego. O zmianie granic mówi językiem militarnym, bo jak zauważa za lokalnym historykiem, jest to pierwsza utrata gruntów przez gminę od marca 1878 r. – *147 lat gmina nie doznała takiego upokorzenia. I my tę wojnę wytoczoną nam przez Ińsko zamierzamy wygrać. Będziemy odbierać centymetr po centymetrze, ale nie spoczniemy* – dodaje burmistrz Krzysztof Kurowski.

W podobnym duchu wypowiada się Jacek Kozłowski, starosta drawski. – *Tu nie chodzi o to, czy to dużo, czy mało pieniędzy albo czy to dużo, czy mało gruntów, które trzeba było oddać. Chodzi o styl. Jak zabierasz na rympał, to się nie dziw, że ludzie są w emocjach i zaczynają walczyć* – mówi starosta Kozłowski. Do samego Ińska nic nie ma. Rozumie, że mają trudno. – *Ale nie tak się rozwiązuje problemy gmin, które siłą rzeczy skazane są na życie z dotacji. Rząd mógł pomyśleć o dofinansowaniu, a nie zabierać jednym, żeby dawać drugim, bo to jest precedens, który może pociągnąć kolejne. No i napsuli ludziom sporo krwi* – dodaje Jacek Kozłowski.

Ludzie w Kaliszu Pomorskim zapytani, co psuje im krew, patrzą najpierw podejrzliwie. Jak już mówią, to raczej o braku pracy, cenach i jakości węgla, drogich lekach w aptece i tirach, które rozjeżdżają i korkują im miasto. O ziemi oddanej sąsiadom większość zapytanych nie słyszała. Ale jak tylko się dowiedzieli, to od razu widać, że wiadomość ta zepsuła im sporo krwi. Zapowiada się, że to będzie długa wojna. A żołnierze na rzutni granatów i pobliskim poligonie nawet nie wiedzą, że ćwiczą na takiej gorącej ziemi.

JULIUSZ ĆWIELUCH

eprasa.pl f001f96e29

Więźniowie umysłów

Rozmowa z Anną Mateją, autorką książki „Psychiatria w Polsce. Nieznane historie”, o tym, jak dawne uprzedzenia wobec osób z zaburzeniami psychicznymi wciąż mają wpływ na nasze zachowania i na decyzje państwa.



ILUSTRACJA **MARCIN BONDAROWICZ**

PAWEŁ WALEWSKI: **– Opowieść o historii psychiatrii w Polsce zaczyna pani od alkoholu. Traktowanego jako lek.**

ANNA MATEJA: – Tak, Antoni Kępiński, nauczyciel i mistrz kilku pokoleń psychiatrów, twierdził, że alkohol był najstarszym neuroleptykiem. Ludzie sięgali po niego, by poprawić nastrój lub zagłuszyć traumatyczne wspomnienia, jak w przypadku opisywanego przez niego tzw. KZ-syndromu, czyli zespołu stresu pourazowego diagnozowanego u niektórych byłych więźniów obozów koncentracyjnych. Zresztą do połowy XX w., choć usiłowano leczyć choroby psychiczne np. elektrowstrząsami czy insulinoterapią (sztucznie obniżano poziom glukozy we krwi, podając wysokie dawki insuliny), nie było skutecznych narzędzi radzenia sobie z cierpieniem psychicznym. Pierwszy lek przeciwpsychotyczny – Largactil zawierający chlorpromazynę – pojawił się dopiero w 1952 r.

I dlatego wcześniej urządzano polowania na czarownice?

Adolf Rothe, szef szpitala św. Jana Bożego w Warszawie, czyli jedynej lecznicy psychiatrycznej w dawnym Królestwie Polskim aż do otwarcia Tworek w 1891 r., twierdził wprost, że osoby postrzegane jako czarownice i czarownicy – a do formułowania tego rodzaju publicznych podejrzeń dochodziło na ziemiach polskich jeszcze w latach 70. XIX w. – to osoby z zaburzeniami psychicznymi. Posądzenia o zmowę z diabłem czy opętanie mogły więc dotknąć np. osoby znajdujące się w stanie psychozy lub podlegające zmiennym nastrojom. Echa tych prześladowań daje się znaleźć w niektórych przejawach obecnych lęków przed innością.

To znaczy, że nasz stosunek do chorób psychicznych niewiele się zmienił od tamtych czasów?

Jeżeli zaledwie 5 proc. badanych ocenia pacjentów psychiatrycznych jako „nienormalnych” (raport Centrum ▶

eprasa.pl f001f96e29

▶ Psychoterapii Pokonaj Lęk ze stycznia 2025 r.), to widać, że zmienił się bardzo! Pamiętam jednak, że w Kościele katolickim psychoterapia długo była uważana za podejrzaną – coś jak gmeranie w duszy bez upoważnienia. W Polsce mamy też nadzwyczaj dużą liczbę egzorcystów, których powołuje się przecież, by modlitwą wypędzali „opętanie". Przypuszczam, że wiele osób poddawanych tym praktykom potrzebuje pomocy psychiatrycznej, a nie duchowej.

Więc dlatego trzeba wracać do tych dawnych historii?

Tak. Ale też po to, żeby przypomnieć, że sprawy osób chorujących psychicznie przez dekady znajdowały się na marginesie społecznego zainteresowania. Jako społeczeństwo mieliśmy ogromną robotę do wykonania, żeby w takich osobach dostrzec współobywateli i zatroszczyć się o realizację ich praw. Stało się to możliwe m.in. dzięki ludziom wielkich zasług – psychiatrom, o których pamiętają chyba jedynie historycy: jak Witold Chodźko, który zatrudnił kobiety do opieki nad chorymi psychicznie, albo Ludwik Jekels – uczeń Freuda, jeden z pierwszych polskich lekarzy poddający pacjentów psychoanalizie. I to gdzie! W Bystrej pod Bielskiem – na rubieżach monarchii habsburskiej. Był też Jan Piltz, który od jesieni 1914 r. prowadził w Krakowie prekursorskie badania nad syndromem okopowym.

Co panią w tych historiach najbardziej zaskoczyło?

Notoryczny i obecny przez dekady brak miejsca w szpitalach. Także dzisiaj. Nie wiedziałam, że projekt ustawy, która miała uregulować opiekę psychiatryczną, powstał już przed wojną, ale do 1939 r. – z powodu braku zainteresowania ze strony polityków – nie trafił pod obrady Sejmu. Ustawę, która zajęła się tą materią, uchwalono dopiero w 1994 r.

Ale mentalnie chyba wciąż tkwimy w poprzednim stuleciu?

Choroba psychiczna przestała być tabu, od kiedy osoby nią dotknięte mogą swobodnie o niej mówić, a tak się dzieje w Polsce mniej więcej od lat 70., kiedy furorę czytelniczą zaczęły robić książki Antoniego Kępińskiego. Paradoks polega na tym, że mimo tej zmiany mentalnej nasze państwo nie potrafi dobrze zorganizować opieki psychiatrycznej.

Nie potrafi czy może wciąż uważa, że to problem marginalny?



© ARTUR STRZELECKI

Anna Mateja – dziennikarka i autorka książek, m.in. popularyzujących historię medycyny, absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ostatnio ukazała się jej „Psychiatria w Polsce. Nieznane historie" (Znak 2025).

W raporcie, który już cytowałam, ponad 20 proc. badanych poniżej 18. roku życia deklarowało poczucie uzależnienia od nowych technologii. Czworo na 10 uczniów myślało o podjęciu próby samobójczej. Średni wiek sięgnięcia po raz pierwszy po alkohol to zaledwie 13 lat i 6 miesięcy. Można zakładać, że za jakiś czas ci ludzie – albo z racji uzależnienia, albo z innych powodów – będą potrzebowali pomocy, także psychiatrycznej. I teraz przypomnę, że w Polsce mamy 560 psychiatrów dziecięcych, co powoduje, że jeden z nich przypada na ponad 12 tys. młodych osób. Na jednego psychiatrę dla dorosłych przypada 6,5 tys. pacjentów. Przepełnienie i ograniczony dostęp do opieki psychiatrycznej to w Polsce problemy z gruntu XIX-wieczne, bo borykaliśmy się z nimi już wówczas. Jeżeli jednak dziś, inaczej niż wtedy, nie brakuje skutecznych środków dbania o zdrowie psychiczne, pacjenci nie powinni na nią czekać miesiącami.

Czy nie jest pani zbyt dużą optymistką, twierdząc, że książki Kępińskiego „Schizofrenia" lub „Melancholia" dodały pacjentom odwagi już 50 lat temu? Według mnie zaczęliśmy oswajać się z zaburzeniami psychicznymi dopiero niedawno, gdy w mediach zaczęto szerzej pisać o depresji.

Te książki z lat 70. chyba po raz pierwszy opowiedziały polskiemu czytelnikowi w przystępny sposób nie tylko, czym jest choroba psychiczna (o tym pisali już inni), ale kim jest osoba chorująca psychicznie. Wielu czytelnikom eseje Kępińskiego pozwoliły zmienić myślenie na takie, które w dużym uproszczeniu ujęłabym następująco: choroba, także psychiczna, człowieka nie definiuje – to część życia pacjenta i jego najbliższych, a nie zamknięty świat grozy. Można z nią żyć. Bywa, że bardzo twórczo.

Niektórzy zarzucali mu, że idealizuje swoich pacjentów.

Czy komukolwiek przyszłoby do głowy formułowanie takiego zarzutu wobec lekarza innej specjalizacji, który starałby się zrozumieć pacjenta, nawet jeśli do choroby doprowadziły własne zaniedbania chorego? Nie spotkałam się z takim przypadkiem. A psychiatrzy jednak czasami muszą się mierzyć z takim zarzutem.

Kępiński nie mógł bronić się sam, bo większość jego książek ukazała się po śmierci autora. Wzięła to na siebie m.in. Wiesława Grochola, która w 1973 r. wyjaśniała na łamach POLITYKI, jak wielkie znaczenie dla zdjęcia tabu z tak trudnej w przebiegu choroby, jaką jest schizofrenia, miały jego słowa, że dotknięta nią osoba więcej czuje, inaczej rozumie i dlatego więcej cierpi. Wyjaśniała, dlaczego schizofrenia nie jest chorobą „rozhisteryzowanych szczeniaków z »elity«", którzy uciekają w ten sposób od odpowiedzialności i dorosłego życia, jak twierdziła Anna Bojarska na łamach „Walki Młodych".

O tym mówię: dziś psychiatrzy wydają się tak bliscy swoim pacjentom, że nieraz zbyt łatwo są w stanie wybaczyć im, usprawiedliwić każdy występek.

Nie sądzę, żeby lekarz miał coś do wybaczania pacjentowi, bo choroba, nie tylko psychiczna, jest jednak zdarzeniem niezawinionym. Natomiast obecność osób chorujących psychicznie, z niepełnosprawnościami intelektualnymi lub neuroróżnorodnych w społeczeństwie uczy nas empatii i pokory. Bez nich zamkniemy się w świecie, w którym wszyscy muszą

eprasa.pl f001f96e29

być perfekcyjni i skuteczni. I jakoś podobni. Choć zdaję sobie sprawę, jak wielkim wyzwaniem dla społecznej empatii i poczucia bezpieczeństwa jest popełnienie przestępstwa, zwłaszcza kryminalnego, przez osobę zaburzoną.

Nie wydaje się pani, że psychiatrzy, jak żadni inni lekarze, mieli kiedyś nad swoimi podopiecznymi zbyt wielką władzę?

Bo mogli ich np. zamykać w szpitalu bez ich zgody, za to na życzenie rodziny? Nawet dzisiaj skuteczne leczenie niektórych stanów wymaga szpitalnej izolacji. Tym bardziej tak uważano w czasach, kiedy choroby psychiczne były niewiadomą dla samych lekarzy i, nie bez racji, twierdzono, że leczenie trzeba rozpocząć od zabrania chorego ze środowiska, które być może wywołało w nim chorobę.

Dawne drastyczne metody leczenia dziś budzą grozę. Lobotomia, insulinoterapia, elektrowstrząsy… Czy wszystkie były złe?

Proponuję nie oceniać. Rozmawiałam z pacjentami, których poddawano insulinoterapii, bo była ona stosowana jeszcze wiele lat po pojawieniu się pierwszych środków farmaceutycznych. Cenili ją za to, że pozwalała po tygodniach wyniszczającej bezsenności zapaść w głęboki sen. Elektrowstrząsy są stosowane i dzisiaj w leczeniu ciężkich depresji. Lobotomia, czyli ingerencja chirurgiczna w funkcjonowanie mózgu, jest oczywiście nie do obrony. W Polsce, na szczęście, nigdy nie stosowano jej powszechnie.

Czasem trudno oprzeć się wrażeniu, że historia psychiatrii to pasmo okrucieństw.

Raczej zaniedbań i systemowej marginalizacji, co sprzyjało występowaniu przemocy w szpitalach psychiatrycznych. Natomiast lekarze działali, jak dzisiaj wiemy, po omacku, bo po prostu mieli zbyt mało wiedzy, m.in. o mózgu i układzie nerwowym, o genetyce, o etiologii zaburzeń. Dlatego też przed wojną wielu z nich zainteresował realizowany w faszystowskich Niemczech pomysł sterylizacji osób chorych psychicznie. Był nawet projekt ustawy przewidujący możliwość przeprowadzania takich operacji w Polsce.

Dziś uznano by to za barbarzyństwo.

Na szczęście choroba psychiczna przestała być stygmatem i tabu. Rozmawiamy o niej otwarcie, czemu sprzyja przyrost wiedzy na temat osób chorujących psychicznie. A wiedza to podstawa. Zakładam, że kiedy ludzie są poinformowani, trudniej ich wystraszyć albo nimi manipulować. Proszę zwrócić uwagę, że młode pokolenie nie boi się mówić o emocjach, tylko system nie nadąża za tą zmianą świadomości. W efekcie to, co mogło być początkiem nowej kultury troski o zdrowie psychiczne, staje się źródłem frustracji.

Czy pandemia i późniejsza fala kryzysów psychicznych zmieniły coś trwale?

Nie potrafię powiedzieć, czy dzisiaj jakakolwiek zmiana może być trwała, ale uświadomiliśmy sobie wartość zdrowia psychicznego jako warunku dobrego życia. Kluczowe było doświadczenie izolacji – od dalszej rodziny, przyjaciół, współpracowników. Jedni przekonali się wtedy, jak trudna jest samotność. Inni po pandemii doszli do wniosku, że szkoda życia na niektóre relacje, np. te, które nie dają wsparcia w czasie, kiedy jest ono potrzebne. Co równie ważne: tematy wypalenia zawodowego, konieczności rozpoczęcia terapii, zjawiska depresji, np. wśród lekarzy, nauczycieli czy pracowników korporacji, zaczęły być dyskutowane publicznie – i dobrze.

Współczesna psychiatria korzysta z technologii – aplikacji, terapii online. Czy to naprawdę pomaga?

Teleterapia czy aplikacje monitorujące nastrój ułatwiają kontakt z terapeutą i pomagają utrzymać regularność spotkań. Technologia nie zastąpi jednak rozmowy twarzą w twarz. W dodatku cyfrowe narzędzia niosą ryzyko: zamieniają troskę w usługę, relację w interfejs. Nie możemy zgubić człowieka w tym wszystkim.

Co konkretnie powinno się zmienić, żeby wzmocnić polską psychiatrię?

Po pierwsze, psychiatria potrzebuje budżetu proporcjonalnego do skali problemów, z jakimi się mierzy. Po drugie, konieczny jest rozwój Centrów Zdrowia Psychicznego, zespołów kryzysowych dostępnych całodobowo, mieszkalnictwa dla osób, które po leczeniu potrzebują stabilnego środowiska. Po trzecie, edukacja: szkolenie lekarzy pierwszego kontaktu, pielęgniarek, nauczycieli w rozpoznawaniu i kierowaniu młodzieży do specjalistów (psychiatrzy apelują o to od ponad stu lat!); wprowadzenie jako obowiązkowych tematów zdrowia psychicznego do szkół.

A co my powinniśmy zmienić w sobie, żeby nie bać się chorych psychicznie?

Empatia nie polega na wykonywaniu wielkich gestów, lecz na uważności, cierpliwości i obecności praktykowanej na co dzień. Każdy z nas wie, bez pouczeń czy rad, co może zrobić w tej mierze dla innych. Nie tylko dla osób chorych psychicznie, ale także starszych lub dotkniętych problemami neurodegeneracyjnymi. Polityka publiczna musi jednak nas wspierać. Bez tego stare lęki będą się odradzać.

No i nigdy nie dość mówić, że leki to nie wszystko?

Potrzeby przynależenia do wspólnoty czy bycia akceptowanym nie zapewni żadna recepta, więc relacje społeczne są równie ważne dla zdrowia psychicznego jak prawidłowa chemia mózgu. Zwłaszcza że – na co psychiatrzy zwracają uwagę – każdy z nas nosi w sobie potencjalne ziarno zaburzenia, które może się uaktywnić. Wystarczy doświadczenie nieakceptowanej samotności (według badań Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu 68 proc. dorosłych Polaków czuje się samotnych) lub frustrujące i trudne do zmiany otoczenie, np. w pracy.

Czyli psychiatrię można rozumieć jako rodzaj społecznego lustra?

Historia polskiej opieki psychiatrycznej pokazała mi to na pewno. Obserwowałam, jak zmieniał się nasz stosunek do słabości, do lęku, do inności. Boimy się tego, czego nie rozumiemy – ale w porównaniu z pokoleniem, które żyło 100 czy tylko 50 lat temu, mamy już narzędzia, żeby ten strach przezwyciężyć.

ROZMAWIAŁ PAWEŁ WALEWSKI



KUP TERAZ

Zachęcamy także do lektury Poradnika Psychologicznego Ja My Oni **„PSYCHOTERAPIA. DLA KOGO, U KOGO”**. Dostępny na **sklep.polityka.pl**

eprasa.pl f001f96e29

RYNEK

Zabrać, żeby dać?

O absurdach polskiego systemu pomocy społecznej, o tym, jak państwo mimo transferów socjalnych przestało dostrzegać biedę oraz dlaczego warto ograniczyć wypłatę 800 plus, opowiada Michał Myck, dyrektor Centrum Analiz Ekonomicznych CenEA.



ILUSTRACJE **PATRYK SROCZYŃSKI**

JOANNA SOLSKA: **– Liczba osób z dochodami poniżej poziomu minimum egzystencji osiągnęła rekordowe 2,5 mln, czyli 6,6 proc. całego społeczeństwa. To dane GUS po 2023 r. Jeszcze rok wcześniej w skrajnym ubóstwie żyło 1,7 mln Polaków. Skąd ta nagła bieda?**

MICHAŁ MYCK: – Dochody niższe niż minimum egzystencji oznaczają, że osoby żyjące samotnie nie miały na utrzymanie nawet 900 zł miesięcznie, a czteroosobowe rodziny miały mniej niż 3140 zł. Poziom minimum egzystencji corocznie liczony jest przez Instytut Pracy i Spraw Socjalnych. Do koszyka dóbr, jaki określają naukowcy, wkładane są tylko wydatki absolutnie niezbędne do przeżycia, a więc żywność, koszty utrzymania mieszkania, zdrowie. Nie ma w nim żadnych potrzeb kulturalnych, komunikacji czy wakacji. Egzystencja poniżej tego poziomu stanowi według IPiSS „biologiczne zagrożenie życia i rozwoju psychofizycznego". Nagły skok liczby osób żyjących pod progiem wynika ze wzrostu kosztów podstawowych dóbr, za którym nie nadążały waloryzacja świadczeń oraz tempo wzrostu płac.

O tym jednak, kogo państwo wesprze, decydują politycy, którzy progami minimum egzystencji się nie interesują, mają inne kryteria pomocy społecznej.

eprasa.pl f001f96e29

A one nie przystają do prędko zmieniającej się rzeczywistości, zwłaszcza poziomu cen. Państwo przestało jednak biedę dostrzegać, mimo że transfery socjalne rosły bardzo szybko. Samo podniesienie od 2024 r. 500 plus do 800 plus kosztuje 24 mld zł rocznie.

Tymczasem naukowcy alarmowali, że rośnie grupa rodzin, które nie są już w stanie płacić rachunków za prąd, ciepłą wodę i ogrzewanie mieszkania.

Politycy zdawali się tego nie słyszeć. Z analiz CenEA wynika, że w ciągu ostatnich dwóch dekad drastycznie ograniczono pomoc dla rodzin warunkowaną wysokością dochodu. Na przykład liczba otrzymujących dodatki mieszkaniowe spadła w latach 2005–24 z 9,2 mln do zaledwie 2,7 mln. Niekoniecznie dlatego, że aż 6,5 mln osób taka pomoc przestała być potrzebna, ale że politycy wybrali prostsze, choć mniej efektywne metody wsparcia. Państwo automatycznie ograniczyło zakres pomocy najbiedniejszym, zaostrzając warunki jej przyznawania.

Zamroziło progi, powyżej których pomoc się nie należała.

Podczas gdy w 2005 r. na dodatki państwo wydawało 2,3 mld zł (w cenach z 2024 r.), w 2024 r. kosztowały już tylko 0,9 mld zł. Poza tym system przyznawania dodatków mieszkaniowych jest tak skomplikowany, że trudno się zorientować, komu i ile się należy. To prowadzi do sytuacji, że nawet osoby, które mogłyby być uprawnione do pomocy, w ogóle się o nią nie starają.

Władza poszła na skróty i zamroziła ceny energii elektrycznej, żeby społeczeństwu ulżyć.

I było to posunięcie fatalne, choć wielu ludziom się podobało. Najbardziej zyskały na tym rodziny, które dużo za energię płacą, ale pomocy nie potrzebują. Do nich państwo dopłaciło najwięcej.

Im szybciej rosły ceny, tym bardziej kurczyły się także inne rodzaje pomocy dla rodzin, uzależnione od ich sytuacji finansowej.

Dobrym przykładem są zasiłki rodzinne. Przez ostatnie 20 lat wydatki państwa na zasiłki rodzinne, uzależnione od liczby dzieci w rodzinie, ich wieku i sytuacji, spadły z 11,4 mld zł (w cenach z 2024 r.) do 1,7 mld zł rocznie. Przez cały ten czas nie waloryzowano ani wartości świadczeń, ani progów kwalifikujących do ich otrzymania. Rządy Zjednoczonej Prawicy, zamiast podnosić zasiłki dla najuboższych, doprowadziły do tego, że te zasiłki straciły dla Polaków znaczenie. Obecnie ich wartość jest symboliczna, miesięcznie w zależności od wieku dziecka przysługuje na nie od 95 do 135 zł, do tego dochodzą różne dodatki, m.in. 95 zł na trzecie i kolejne dzieci w rodzinie.



Gdyby wypłatę dodatku 800 plus ograniczyć do rodzin z dochodami poniżej 3 tys. zł netto na osobę – zaoszczędzilibyśmy 8 mld zł. Starczyłoby z nawiązką na asystencje socjalne dla niepełnosprawnych.

Już przy dochodzie 674 zł netto na osobę w rodzinie, czyli niższym niż próg skrajnego ubóstwa, „rodzinne" zaczyna być wycofywane według zasady złotówka za złotówkę. Państwo na braku waloryzacji zaoszczędziło, według naszych obliczeń ok. 5 mld zł rocznie. Obecnie wydatki na zasiłek rodzinny to zaledwie 0,05 proc. PKB, czyli pół promila.

Ale rodzice dostali więcej, bo 500 zł na każde dziecko. Kojarzyło się to tylko z PiS.

Wraz z wprowadzeniem świadczenia 500 plus i jego upowszechnieniem w 2019 r. zmieniła się diametralnie cała filozofia naszej polityki społecznej: przestała się liczyć sytuacja finansowa rodzin, zróżnicowanie ich potrzeb, m.in. zdrowotnych. Świadczenie 500 plus stało się powszechne, wypłacane na każde dziecko, bez względu na sytuację materialną rodziny czy zdrowie jej członków. Te dwa i pół miliona osób żyjących poniżej minimum egzystencji było konsekwencją takiej polityki, ci ludzie wypadli z systemu wsparcia albo jego zakres się zmniejszył. Politycy tak manipulowali kryteriami, że formalnie wielu osobom żyjącym w skrajnym ubóstwie pomoc się nie należy.

Nie pamiętam głosów krytycznych, nawet lewica była zachwycona, że 500 zł należy się na każde dziecko; podobało się, bo powszechny system nie stygmatyzuje. Czy pan pamięta, żeby ktoś ostrzegał, jakie będą skutki takiej polityki?

Wątpliwości były tylko co do tego, czy nas na taką hojność stać. Rządzący zapewniali, że jak najbardziej, „wystarczy nie kraść". Potem twierdzili, że rozbili mafie vatowskie i pieniądze się znalazły. W rzeczywistości państwo zadłużało się coraz bardziej. I oszczędzało na najbiedniejszych, bo jednak nas stać nie było. Odczuli to także pracownicy sfery budżetowej, których zarobki nie nadążały za wzrostem cen.

Ekonomiści wyliczyli, że tylko przez ostatnie trzy lata rządów PiS skumulowana inflacja wyniosła 50 proc., czyli o tyle zmalała realna wartość naszych pieniędzy. Dane o wydatkach państwa na pomoc społeczną zupełnie ten fakt ignorują.

Wynika z nich, żeśmy się wzbogacili, bo grono uprawnionych do pomocy maleje. Tymczasem najuboższych przybywało, malał natomiast strumień wsparcia dla nich. Zasiłki z pomocy społecznej w 2005 r. otrzymywało 700 tys. osób, ostatnio już tylko 300 tys. Margines biedy się powiększał, także rodzin, w których były dzieci, ale na wsparcie dla potrzebujących pieniędzy brakowało. W 2016 r. najubożsi w postaci zasiłków stałych lub okresowych z opieki społecznej otrzymali od państwa w sumie 2,9 mld zł (w cenach z 2024 r.), osiem lat później jedynie 1,8 mld zł. Jednocześnie hojnie obdarowywano najbardziej zamożnych, a wisienką na torcie stały się ulgi podatkowe wprowadzone przez Polski Ład. Pozostał po nim przywilej podatkowy dla rodzin o bardzo wysokich dochodach, wychowujących czworo i więcej dzieci. Dam przykład. Rodzina, w której oboje rodzice zarabiają miesięcznie w sumie 40 tys. zł, dostaje od państwa każdego miesiąca w prezencie ponad 7,8 tys. zł. Podobna rodzina, w której także jest czworo dzieci, ale pracuje tylko jeden rodzic i zarabia płacę minimalną, dostaje od państwa 4,4 tys. zł.

Złośliwie komentowano to jako prezent dla ówczesnego premiera Morawieckiego.

Wydajemy na transfery socjalne już tyle ile Skandynawowie, ale tam polityka społeczna jest zupełnie inna. Owszem, ▶

eprasa.pl f001f96e29

▶ wypłacają część pieniędzy w formie świadczeń powszechnych, ale nie pozostawiają samym sobie ludzi biednych, chorych czy niepełnosprawnych.

W analizach CenEA pokazujących koszty transferów ostatnich lat na pierwszym miejscu jest 800 plus, w tym roku wydamy na nie 65,8 mld zł. Z tej kwoty do 20 proc. osób najuboższych, którzy najbardziej potrzebują pomocy trafi mniej niż 20 proc.

Na drugiej pozycji jest tzw. 13. emerytura – 16 mld zł, 20 proc. najniżej uposażonych otrzyma ok. 25 proc. tej sumy. Na trzeciej – 14. – 12,2 mld zł, w tym przypadku do 20 proc. najbiedniejszych trafi 30 proc. Żadne z tych świadczeń nie bierze pod uwagę potrzeb zdrowotnych ani sytuacji materialnej beneficjentów. Nie ma też związku ze stażem pracy, co kłóci się z zapewnieniami polityków, że chcą tworzyć bodźce do dłuższej aktywności zawodowej. Relatywnie najbardziej premiowani są ci, którzy pracowali najkrócej, oraz rolnicy.

A pomoc dla osób z niepełnosprawnościami?

Wzrosła. Po ostatnich zmianach na wsparcie osób niepełnosprawnych, państwo w tym roku wyda łącznie ok. 30 mld zł. System wsparcia nadal jednak pozostaje niespójny. Najważniejsza jest renta socjalna, adresowana do osób niezdolnych do pracy, których niepełnosprawność powstała jeszcze przed osiągnięciem dorosłości. Jej koszt wynosi 5,4 mld zł rocznie, ale beneficjent „na rękę" dostaje ok. 1,7 tys. zł. Opiekunom dzieci niepełnosprawnych przysługuje świadczenie pielęgnacyjne, pod warunkiem jednak że rezygnują z pracy zawodowej, wynosi ono 3287 zł miesięcznie. Te rodzaje wsparcia są niezależne od sytuacji materialnej rodziny.

Podobnie jak dodatek pielęgnacyjny, któremu towarzyszą dziwne kryteria przyznawania.

Wynosi 348 zł brutto miesięcznie i należy się osobom ze znacznym stopniem niepełnosprawności. Ale także wszystkim, które ukończyły 75 lat, niezależnie od stanu zdrowia, co kosztuje aż 10 mld zł. Osoba obłożnie chora, niezdolna do samodzielnego poruszania się, nie zapewni sobie za ten zasiłek opieki, jest niewystarczający. Tyle samo dostaje senior w pełni samodzielny. Kiedy jednak utraci sprawność, system opieki ten fakt zignoruje, nadal wypłaci mu 348 zł.

Nowością jest świadczenie wspierające, przyznawane od 2024 r.

Jego wysokość zależy od stopnia niepełnosprawności. Można otrzymać od 40 do 220 proc. wysokości renty socjalnej. Jest w końcu krokiem w stronę uzależnienia wielkości wsparcia od stopnia niesamodzielności tych osób.

Bardzo oczekiwanym rodzajem wsparcia jest asystencja osobista.

To ma być nowy i bardziej nowoczesny system wsparcia. Nie jest uzależniony od dochodów. Najważniejszym kryterium ma być sytuacja i potrzeby osoby niepełnosprawnej, która obecnie nie jest w stanie funkcjonować samodzielnie, nie wspominając nawet o podjęciu pracy zawodowej. Wprowadzenie instytucji asystencji osobistej, czyli zagwarantowania liczby godzin, w czasie których niepełnosprawny będzie miał zapewnioną profesjonalną pomoc, może diametralnie zmienić jakość życia tych osób i ich rodzin. Część z nich będzie z pewnością chciała i mogła podjąć pracę zawodową.

Skąd wziąć na to pieniądze?

O ile możemy dyskutować o konieczności wielu innych rodzajów transferów socjalnych w naszym kraju, o tyle wprowadzenie asystencji osobistej wydaje mi się poza dyskusją – to miara naszego człowieczeństwa, dziwne, że tak późno się decydujemy.

Wprowadziliśmy za to renty wdowie, których koszt także będzie rósł, a w hierarchii potrzeb są moim zdaniem jednak niżej.

Kiedy trwała dyskusja o rencie wdowiej, CenEA próbowała zwrócić uwagę na to, że zwykle długoletni partnerzy dorobili się jakiegoś majątku, np. większego mieszkania, oszczędności. Może najpierw należałoby się zastanowić, jak go wykorzystać? A może osoby, które po śmierci bliskiego sobie nie radzą, wspierać inaczej, niż przyznając każdemu renty. To trudny temat.

Widzi pan w dziurawym budżecie możliwości wygospodarowania pieniędzy na asystencję?

Według wyliczeń MRPiPS w 2027 r. koszt asystencji ma być jeszcze niewielki, ok. 2,5 mld zł. Stopniowo jednak będzie rósł, w 2030 r. wyniesie już 6,2 mld. Na kolejny transfer socjalny już się zadłużać nie powinniśmy. Kiedy jednak analizuję, jak obecnie wydajemy pieniądze, wydaje mi się, że można to robić nieco inaczej, np. rezygnując z powszechności niektórych rozwiązań.

Politycy z pana rad zapewne nie skorzystają, ale niech przynajmniej wiedzą.

Proponowałbym ograniczyć wsparcie najpierw tym, którzy w najmniejszym stopniu go potrzebują. Na początek tzw. trzynastkę – wypłacaną wszystkim emerytom i rencistom bez względu na wysokość ich świadczeń – można by przyznawać według tych samych zasad, co obecnie czternastkę. Nie należałaby się, jeśli emerytura przekracza pewien próg, w tym roku było to 4,7 tys. brutto. W ten sposób mielibyśmy już zaoszczędzone pierwsze 3,9 mld zł rocznie.

Czyli więcej niż w pierwszym roku potrzeba na asystencję.

Jej koszty będą rosły. Trzeba myśleć perspektywicznie. Społeczeństwo szybko się starzeje, niepełnosprawnymi stają się ci, którzy obecnie jeszcze pomocy nie potrzebują i obecny projekt asystencji ich nie obejmuje. Bez zmiany zasad 800 plus większych pieniędzy w budżecie nie znajdziemy. Np. po wprowadzeniu progów dochodowych na poziomie 3 tys. zł netto na osobę w rodzinie (czyli po odjęciu składek i PIT), po których przekroczeniu dodatek na pierwsze dziecko już by się nie należał, zaoszczędzilibyśmy ponad 8 mld zł rocznie. Przy progach niższych, np. 2,4 tys. zł na osobę, oszczędności wyniosłyby aż 13,4 mld zł rocznie. System progów ma wady, chodzi mi o pokazanie skali możliwych oszczędności.

A gdyby 800 plus miało trafiać tylko do rodzin z dwójką i większą liczbą dzieci?

Mielibyśmy aż o 36,2 mld zł więcej. Możliwości jest dużo, jeśli tylko najważniejszym kryterium przestanie być kalkulacja wyborcza.

ROZMAWIAŁA JOANNA SOLSKA



© ARCHIWUM DOMOWE

Dr hab. **Michał Myck** jest dyrektorem Centrum Analiz Ekonomicznych CenEA w Szczecinie oraz profesorem w Instytucie Nauk Ekonomicznych Polskiej Akademii Nauk. Ukończył studia na Uniwersytecie Oksfordzkim. Pracował w londyńskim Institute for Fiscal oraz w berlińskim Instytucie DIW.

eprasa.pl f001f96e29



Górnicy w KWK „Bogdanka", jedynej, która ma szansę przetrwać do lat 40.

Udry o fedry

W Unii już nigdzie nie wydobywa się węgla. Polska energetyka też go nie chce. Ale górnicy, zarabiający średnio 17 tys. zł miesięcznie zapowiadają, że w obronie swoich miejsc pracy „podpalą kraj". Kolejne rządy zasypują problem pieniędzmi.

ADAM GRZESZAK

„Walczymy o to, żeby Śląsk nie umarł" – deklarował Dominik Kolorz, szef śląsko-dąbrowskiej Solidarności, podczas wielkiej górniczej manifestacji w Katowicach na początku listopada. Po pięciu latach reaktywowano Międzyzwiązkowy Komitet Protestacyjno-Strajkowy Regionu Śląsko-Dąbrowskiego, bo związkowcy szykują się do walki. Lista ich żądań jest długa, ale najważniejsze dotyczy ścisłego wykonywania przez obecny rząd zapisów umowy społecznej, podpisanej przez poprzedników z górnikami w maju 2021 r. Górnicy zaakceptowali wówczas fakt, że Polska podpisała Europejski Zielony Ład i do 2050 r. gospodarka UE przejdzie całkowitą dekarbonizację, a to oznacza rozstanie z węglem. Ale do tego momentu rząd zobowiązał się do finansowego wspierania górnictwa i jak najwolniejszego zamykania śląskich kopalń, w miarę jak będzie się w nich wyczerpywał węgiel. Z ostatniej kopalni ostatnia tona czarnego złota ma wyjechać w 2049 r.

– *Tylko kto wówczas będzie jeszcze potrzebował węgla?* – zastanawia się Bartłomiej Derski z portalu wysokienapiecie.pl. – *Już za 10 lat jego udział w polskim miksie energetycznym będzie niewielki, popyt zaspokoić może jedna, najwydajniejsza kopalnia, czyli Bogdanka. Wystarczy prześledzić, w jakim tempie maleje udział węgla w produkcji energii.* W ciągu minionej dekady zużycie węgla kamiennego w gospodarce spadło o 33 proc. (czyli o 24,1 mln ton). Wydobycie zmalało o 39 proc. (28,7 mln ton), za to import wzrósł o 4,5 mln ton. 10 lat temu węgiel miał ponad 80 proc. udziału w polskim miksie energetycznym, a w ubiegłym roku już 57 proc.

Jego wypieranie to efekt rozrastającej się energetyki odnawialnej. Wprawdzie PiS, by przypodobać się górnikom, zwalczał wiatraki na lądzie (walkę kontynuuje dziś prezydent Nawrocki), ale w efekcie rozrosła się energetyka fotowoltaiczna, a pierwsze wielkie wiatraki stawiane są na Bałtyku. W czerwcu źródła odnawialne osiągnęły rekord, dostarczając 44 proc. energii.

Święty spokój społeczny

Nic dziwnego, że tylko w 2024 r. zużycie węgla kamiennego w energetyce zmalało aż o 8,5 mln ton, czyli o 16 proc. To jakby cztery średnie śląskie kopalnie straciły rację bytu. A mamy przecież wciąż działające 23 kopalnie wydobywające węgiel z 48 złóż. Dlatego minister energii Miłosz Motyka wspomniał ostatnio w jednym z wywiadów, że wynegocjowany przez PiS kalendarz trzeba zmodyfikować, ▶

© WOJTEK JARGIŁO/NEWSWEEK POLSKA/REPORTER

eprasa.pl f001f96e29

▶ a zamykanie kopalń przyspieszyć. Podsycił tym nastrój buntu, bo jego poprzedniczka, ministra przemysłu Marzena Czarnecka, była dla górników bardziej łaskawa. Urzędowała nie w Warszawie, ale w Katowicach w roli specjalnej wysłanniczki premiera do spraw spokoju społecznego na Śląsku. Bo dla Donalda Tuska spokój społeczny był zawsze ważniejszy od rozwiązywania problemów z węglem. Dlatego był gotów płacić, ile liderzy związkowi żądali. Ale dłużej tak się nie da.

Kiedy w grudniu 2014 r. przenosił się do Brukseli do Rady Europejskiej, miał poczucie ulgi, bo pieniądze na uspokajanie górników właśnie się skończyły. Nad spółkami węglowymi zawisło widmo bankructwa, zaczęto mówić o wygaszaniu najbardziej deficytowych kopalń, więc górnicy tradycyjnie palili opony. Uważali, że Tusk ich oszukał, bo przecież długo zapewniał, że żadna kopalnia zamknięta nie będzie. Rosnące długi górnictwa rząd, jak mógł, ukrywał za pomocą sztuczek finansowych. Pożar usiłowała gasić następczyni, premier Ewa Kopacz, w której niektórzy chcieli widzieć polską Margaret Thatcher. Żelazną Lady jednak nie była, choć pięć zakładów górniczych trafiło do likwidacji. Jednak zbliżały się wybory, a to najgorszy moment na rozwiązywanie trudnych spraw. Wkrótce PO pożegnała się z władzą.



U progu bankructwa

Ale karma wraca, bo niczym bohater filmu „Dzień świstaka" Donald Tusk znów jest premierem i znów jest jak kiedyś: spółki węglowe mimo pompowanych budżetowych miliardów są w stanie praktycznego bankructwa. Strata górnictwa węgla kamiennego w 2024 r. wyniosła ponad 11 mld zł, a po pierwszym półroczu tego roku przekroczyła 4 mld zł.

Tymczasem górniczy liderzy związkowi (wciąż ci sami) grożą, że podpalą kraj, jeśli rząd nie spełni ich żądań. Żądania są też te same: podwyżki wynagrodzeń, żadnych przedterminowych likwidacji kopalń ani restrukturyzacji zatrudnienia. I niech rząd zrobi coś z tym węglem, bo już 5,5 mln ton piętrzy się na przykopalnianych zwałach i wkrótce zabraknie miejsca na kolejne tony. A każda wywieziona na powierzchnię tona pogłębia finansowy dramat. Bo średni koszt wydobycia tony w śląskich kopalniach to już ok. 1 tys. zł. Dla porównania w kopalni Bogdanka na Lubelszczyźnie jedynie ok. 300 zł.

Elektrownie płacą dziś 331 zł za tonę, a elektrociepłownie 449 zł. Dlaczego tyle? Bo to są ceny rynkowe tzw. ARA. Tyle kosztuje dziś węgiel kamienny wydobywany w kopalniach odkrywkowych i sprowadzany do Europy z Kolumbii, USA i Australii. Trudno konkurować z nim polskiemu węglowi – niestety gorszej jakości – który trzeba fedrować w coraz trudniejszych warunkach, nierzadko ponad kilometr pod ziemią. Nic dziwnego, że koszty wydobycia rosną.

– *Górnicy są najlepiej zarabiającą grupą zawodową na Śląsku. Jeśli uwzględnimy wynagrodzenie podstawowe plus dodatki (stażowy, za pracę w szkodliwych warunkach, podziemny, głębokościowy itd.), ekwiwalent za deputat węglowy (płacony przez państwo), różne premie, trzynastkę, czternastkę, barbórkowe, wychodzi ok. 17 tys. zł miesięcznie* – wyjaśnia Derski. Polski górnik wydobywa ok. 500 ton rocznie, 10 razy mniej niż amerykański, a obaj zarabiają podobnie. To jedno z wyjaśnień, dlaczego polski węgiel jest taki drogi i nie ma szans na znalezienie zagranicznych odbiorców.

A dlaczego polskie państwowe elektrownie nie płacą za polski węgiel tyle, by jego wydobycie się opłacało? Bo wtedy mielibyśmy kryzys energetyczny i gospodarczy, bo takich cen energii nie udźwignęlibyśmy. Mieliśmy tego przykład w 2022 i 2023 r., kiedy po wybuchu wojny w Ukrainie ceny paliw wystrzeliły i śląskie kopalnie nagle zaczęły zarabiać. Tyle że wówczas odbiorcy energii znaleźli się w opłakanej sytuacji i musieli być subsydiowani przez państwo z funduszu covidowego za pomocą słynnych „tarcz", które do dziś jeszcze funkcjonują.

Energetyka intensywnie myśli, co zrobić z węglowymi elektrowniami, których eksploatacja się nie opłaca, bo węgiel jest drogi (choć dla kopalni za tani), drogie są też uprawnienia do emisji CO_2. Prąd z węgla jest dziś wytwarzany głównie dzięki dopłatom z rynku mocy i jest dopisywany do rachunków w postaci opłaty mocowej. Kiedy kopalnie nie wiedzą, co robić z węglem, na zagospodarowanie wciąż czekają pozostałości niesprzedanego importowanego węgla, sprowadzanego przez Węglokoks w 2022 r. za pieniądze budżetowe, na polecenie premiera Morawieckiego. W efekcie jedynie na indywidualnych odbiorcach można nieco zarobić. Dziś za opał do domowych pieców trzeba zapłacić 1,1–1,7 tys. zł, tyle że węgiel musi być gruby, kaloryczny i niskosiarkowy, a nie każda kopalnia taki ma. No i do tego dochodzi przeróbka, produkcja tych wszystkich „ekogroszków", która kosztuje. Termomodernizacja plus zmiana systemu domowego ogrzewania sprawiają, że z roku na rok maleje indywidualne zużycie węgla. W ciągu dekady – o 34 proc.

eprasa.pl f001f96e29

W ubiegłym roku było to 6,5 mln ton, a od 2035 r. jego spalanie w domach będzie zakazane.

Zaczęło się od Steinhoffa

Transformacja na Śląsku toczy się już od ponad 25 lat, kiedy Janusz Steinhoff, wicepremier w rządzie Jerzego Buzka, realizował największy dotychczas proces restrukturyzacji górnictwa węgla kamiennego. Od tego czasu zamknięto kilkadziesiąt zakładów górniczych, w tym tylko za rządów PiS – 14. Najczęściej były to już wyeksploatowane kopalnie, z najtrudniejszymi warunkami geologicznymi. Ale wciąż górnictwo węgla kamiennego pozostaje dla województwa śląskiego ekonomicznym fundamentem.

– *W górnictwie pracuje 73–74 tys. mieszkańców województwa, głównie w Polskiej Grupie Górniczej i JSW. Każde takie miejsce pracy generuje 1,21 miejsca w gospodarczym otoczeniu działającym na rzecz górnictwa. Oceniamy, że dziś węgiel zapewnia utrzymanie na Śląsku 170 tys. osób. Szybka likwidacja kopalń wywołałaby gospodarczą implozję i dalsze wyludnianie się regionu. Pierwsze takie zjawisko obserwowaliśmy, gdy realizowano reformę rządu Jerzego Buzka. Zwłaszcza że zagrożenie wisi także nad dwiema innymi ważnymi dla regionu branżami – hutnictwem i energetyką węglową. Działalność ograniczają też firmy z branży motoryzacyjnej* – wyjaśnia dr hab. Adam Drobniak, prof. UE, dziekan Wydziału Gospodarki Przestrzennej i Transformacji Regionów na Uniwersytecie Ekonomicznym w Katowicach. Profesor jest merytorycznym koordynatorem projektu Regionalne Obserwatorium Procesów Transformacji ROPT 2.0. To program finansowany z funduszy unijnych przeznaczonych na wspieranie sprawiedliwej transformacji regionów odczuwających skutki dekarbonizacji. Celem jest „dywersyfikacja działalności gospodarczej oraz potencjału terenów poprzemysłowych, w tym pogórniczych".

– *Niestety, brakuje zainteresowania kolejnych rządów rzeczywistą transformacją gospodarczą naszego województwa. Nic dziwnego, że górnicy nie widzą szans na znalezienie pracy poza górnictwem, a to ich radykalizuje. Nie sądzę też, by planowana obecnie odprawa dla odchodzących górników – w wysokości 170 tys. zł – przewidziana w projekcie ustawy górniczej skłoniła wiele osób do rozstania z górnictwem. Już to na Śląsku przerabialiśmy. Nie każdy ma naturę przedsiębiorcy, dlatego pieniądze rozejdą się szybko na konsumpcję, a problem z zatrudnieniem zostanie* – wyjaśnia prof. Drobniak. I dodaje, że już dziś obserwuje, jak młodzi Ślązacy emigrują w poszukiwaniu lepszej pracy do trzech aglomeracji: Krakowa, Wrocławia i Warszawy.

Napięcie rośnie

Ile pieniędzy z publicznej kasy idzie na dotowanie górnictwa, to tajemnica, której rząd nie zdradza. Środki płyną z różnych źródeł na różne cele. Wysokienapiecie.pl próbowało prześledzić to w projekcie przyszłorocznego budżetu. Okazało się, że w pozycji „górnictwo" zapisano zaledwie 5 mld zł. Tyle że to pieniądze na zagospodarowanie zamkniętych w przeszłości kopalni. Nie wiadomo, ile pójdzie na wsparcie z funduszy „covidowych", wiadomo za to, że w załączniku do budżetu w pozycji „bezpieczeństwo gospodarcze państwa i gospodarka złożami kopalin, w tym surowcami energetycznymi", znalazło się 14,11 mld zł. I ta kwota – jak podejrzewają eksperci – przeznaczona jest na wyrównywanie deficytu spółek górniczych. Czyli mamy już konieczność wydania z publicznej kasy blisko 20 mld zł, a przecież do tego dochodzą inne wydatki, jak choćby pieniądze dla ZUS z tytułu wcześniejszych emerytur górniczych. I to w sytuacji dramatycznego deficytu budżetowego.

Między Warszawą a Brukselą rośnie napięcie w sprawach węgla. Komisja Europejska zdaje sobie sprawę z naszych energetycznych uwarunkowań, ale z coraz większym trudem akceptuje dotowanie z publicznej kasy wydobycia węgla. Szczęśliwie nikt już w UE poza nami nie kopie węgla kamiennego (Czesi zamknęli ostatnią kopalnię), my naszego nie jesteśmy w stanie eksportować, więc nikt nam nie zarzuca niedozwolonej pomocy publicznej. Ale umowa społeczna z 2021 r. do dziś nie została notyfikowana w KE, czego głośno domagają się górniczy liderzy. I notyfikowana nie zostanie, bo jest wbrew prawu unijnemu, więc prędzej możemy się spodziewać pozwu przed TSUE. Na razie Bruksela udaje, że niczego nie widzi, Warszawa zaś przekonuje, że pieniądze idą na ograniczanie wydobycia. A idą na spokój społeczny.

ADAM GRZESZAK

© LESZEK ZYCH

REKLAMA



epresa.pl/1001196e29

WIBOR na wokandzie

Czy spłacający kredyty złotowe mają szansę na tak korzystne wyroki w sądach jak frankowicze? Zanim ukształtuje się linia orzecznicza, polscy sędziowie liczą na wsparcie z Luksemburga.

Wciąż czekamy na wyrok Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE), mający pomóc polskim sądom w ocenianiu pozwów składanych przeciw bankom przez klientów spłacających kredyty złotowe. Chodzi o kontrowersje wokół wskaźnika WIBOR, który używany jest do wyliczania oprocentowania kredytów hipotecznych. Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej z siedzibą w Luksemburgu we wrześniu przedstawił opinię rzecznika generalnego – nie jest wiążąca, ale prawdopodobnie wyrok okaże się z nią zbieżny. Zgodnie z tą opinią banki w Polsce nie powinny badać samego wskaźnika WIBOR, czyli próbować oceniać, czy jest zgodny z prawem unijnym albo czy był w przeszłości wyliczany prawidłowo.

Nie znaczy to jednak, że kredytobiorcy nie mają szans w sądowym starciu z bankami. Zdaniem rzecznika TSUE sędziowie mogą sprawdzać, czy banki właściwie informowały klientów o tym, że oprocentowanie ich kredytów jest zmienne, i ostrzegały przed ryzykiem wzrostu WIBOR. Z taką sytuacją mieliśmy do czynienia zwłaszcza w latach 2021–22, gdy Rada Polityki Pieniężnej drastycznie podniosła stopy procentowe. Wiele osób spłacających kredyty złotowe poczuło się poszkodowanych z powodu dużego wzrostu miesięcznych rat, na który nie były przygotowane. Przekonują, że bankowcy nie wyjaśnili im zasad działania WIBOR i nie ostrzegli przed możliwymi konsekwencjami.

Trudno nie odnieść wrażenia, że powtarza się historia sprzed kilku lat dotycząca kredytów frankowych – znów banki twierdzą, że nie mają



sobie nic do zarzucenia, a kancelarie reprezentujące klientów przekonują przed sądami, że umowy kredytowe zawierają klauzule abuzywne, czyli niekorzystne dla kredytobiorców. Na razie nie wiemy, czy kredyty oparte o WIBOR podzielą los tych frankowych, które są już od kilku lat na masową skalę unieważniane przez sądy. Prawomocnych wyroków w sprawie WIBOR jest niewiele – większość korzystna dla banków, ale zdarzają się też orzeczenia po myśli klientów.

Banki stoją na stanowisku, że sytuacji z kredytami złotowymi nie można porównywać do tej dotyczącej frankowiczów. – ***Bank powinien przekazać informacje o nazwie, administratorze i skutkach wzrostu wskaźnika WIBOR na oprocentowanie kredytu, co było realizowane przez banki*** – podkreślał po wydaniu opinii przez Rzecznika TSUE Tadeusz Białek, prezes Związku Banków Polskich. Jednak organizacje reprezentujące klientów namawiają kredytobiorców, aby przeanalizowali swoją umowę i sprawdzili u prawników, jakie są możliwości jej podważenia.

W składanych dotychczas pozwach kredytobiorcy złotowi wnoszą o unieważnienie umowy (jak to robią od dawna frankowicze), a jako drugą ewentualną możliwość wskazują tzw. odwiborowanie. Unieważnienie oznacza, że bank musi zwrócić klientowi wszystko ponad sam pożyczony kapitał. Jeśli dotychczas wpłacone raty nie pokrywają jeszcze kapitału, to klient ma po unieważnieniu umowy oddać bankowi różnicę. Druga opcja to usunięcie z umowy wskaźnika WIBOR. Wówczas kredyt jest nadal spłacany, ale jego oprocentowanie równe jest samej marży (zazwyczaj ok. 2 proc.), a bank musi oddać klientowi nadpłaconą dotąd kwotę.

W praktyce spore znaczenie może mieć moment zaciągnięcia kredytu. – ***Z naszych obserwacji wynika, że zwłaszcza umowy z bankami zawarte przed 2019 r. zawierały niedozwolone klauzule, bardzo niekorzystne dla klientów. W ostatnich latach banki zaczęły zmieniać zapisy, ale lepiej chronić swoje interesy*** – podkreśla adwokat dr Jędrzej Jachira, wspólnik w Kancelarii Prawnej Sobota Jachira. Wskazuje, że na razie banki nie są otwarte na jakikolwiek dialog z klientami złotowymi (czyli inaczej niż w przypadku frankowiczów), więc jedyna metoda dochodzenia roszczeń to droga sądowa.

Tymczasem sędziowie w Polsce kierują kolejne pytania w tej sprawie do TSUE. W 2026 r. może zapaść więcej wyroków i wówczas powstanie szansa na ukształtowanie się linii orzeczniczej. Raczej nie będzie żadnego automatyzmu przy unieważnianiu umów opartych o WIBOR albo usuwaniu z nich tego wskaźnika. Jednak w toku postępowań może się okazać, że banki nie dopełniły swoich obowiązków informacyjnych, nie ostrzegły wystarczająco klientów albo nawet wprowadziły ich w błąd.

PIOTR CYMERMAN

© SHUTTERSTOCK, ANNA SZYSZKA FOTOGRAFIA SZYSZKA.COM.PL

eprasa.pl f001f96e29

WIBOR pod lupą: złotówkowicze stają do walki z bankami

Jeszcze kilka lat temu niewielu kredytobiorców interesowało się tym, czym właściwie jest WIBOR. Skrót pojawiał się co prawda w umowach hipotecznych, lecz dla większości klientów banków był czysto technicznym detalem.

Wszystko zmieniło się wraz z nagłym wzrostem stóp procentowych w latach 2021–2023. Setki tysięcy Polaków przekonały się wówczas, że ten niepozorny wskaźnik potrafi wywindować miesięczne raty kredytu nawet o sto procent. Wywołało to nie tylko szok finansowy, ale także falę pozwów przeciw bankom – na wzór spraw „frankowych".

Czym naprawdę jest WIBOR?

WIBOR, czyli Warsaw Interbank Offered Rate, od lat stanowił podstawę oprocentowania zdecydowanej większości złotowych kredytów hipotecznych. W teorii miał odzwierciedlać koszt, po jakim banki pożyczają sobie pieniądze. W praktyce jednak - jak podkreślają ekonomiści i organizacje konsumenckie - stawki WIBOR ustalano nie na rzeczywistych transakcjach, lecz deklaracjach banków. Gdy inflacja zmusiła Radę Polityki Pieniężnej do serii podwyżek stóp procentowych, WIBOR szybował w górę, a wraz z nim raty kredytów.

Na czym polega spór?

Pozwy dotyczące kredytów złotowych skupiają się na zarzucie braku transparentności ze strony banków. Kredytobiorcy twierdzą, że nie zostali należycie poinformowani o ryzyku związanym z uzależnieniem ceny kredytu od WIBOR-u. Argumentują, że wobec niejasności mechanizmu jego ustalania oraz asymetrii ryzyka – a także niedostatecznego nadzoru państwa nad sektorem bankowym – byli skazani na nieprzewidywalne konsekwencje finansowe. Mecenasi reprezentujący konsumentów domagają się nawet unieważnienia umowy lub wyeliminowania z niej wskaźnika WIBOR, pozostawiając oprocentowanie wyłącznie na marży bankowej.

Banki odpierają te zarzuty. Przekonują, że WIBOR był wskaźnikiem legalnym i ogólnie stosowanym, a klienci składali podpisy w pełni świadomie. W odróżnieniu od kredytów frankowych, według sektora finansowego, przy kredytach złotowych nie występuje ryzyko walutowe, które było kluczowe w licznych wygranych konsumentów.

Sądowy labirynt: wyroki, opinie, oczekiwanie na TSUE

Choć batalia o WIBOR dopiero się rozpoczyna, pojawiają się już pierwsze orzeczenia korzystne dla konsumentów: nakazy czasowego zawieszenia naliczania odsetek według tego wskaźnika lub jego usunięcia z umowy. Ta niejednolitość sądowa sprawia, że banki mają powody do niepokoju, a kredytobiorcy – do ostrożnego optymizmu. Kluczową rolę zaczynają grać pytania prejudycjalne kierowane do Trybunału Sprawiedliwości UE. TSUE podkreśla, że wszystkie istotne elementy umowy kredytowej muszą być jasno i jednoznacznie przedstawione konsumentom.



Polskie sądy wstrzymują się często z rozstrzyganiem spraw do czasu wyroków TSUE, ale już teraz pojawiają się orzeczenia korzystne, jak i niekorzystne dla kredytobiorców. Ścieżka do ugruntowania linii orzeczniczej będzie długa.

Kredyty złotowe a frankowe – kluczowe różnice

Obie grupy łączy bunt wobec banków, lecz dzieli charakter ryzyka: frankowicze cierpieli z powodu zmiany kursu walut, złotówkowicze – z powodu niestabilnego WIBOR-u. Skutki mogą być równie dotkliwe, ale dotyczą wyłącznie kosztu kredytu w złotych, nie przewalutowania.

Szanse na zwycięstwo: czego mogą się domagać złotówkowicze?

Sądy nie mają jeszcze jednolitego stanowiska – większość spraw jest zawieszana w oczekiwaniu na kluczowe rozstrzygnięcia unijne. Zdarza się jednak, że sądy usuwały WIBOR z umowy lub uznawały umowę za nieważną. Szanse na korzystny wyrok rosną, gdy mechanizm ustalania stawki nie został wyjaśniony, informacja o ryzyku była nieadekwatna, klauzule nietransparentne, a możliwość zmiany oprocentowania leżała wyłącznie po stronie banku.

Stawką są nie tylko niższe raty i zwrot nadpłaty – to przede wszystkim szersza dyskusja o przejrzystości mechanizmów ustalania kosztów pieniądza w polskim systemie bankowym.

Mateusz Brembor
Radca prawny
w SOBOTA JACHIRA Kancelaria Prawna
wieloletni ekspert w dziedzinie
pomocy kredytobiorcom
darmowa analiza spraw dotyczących
WIBOR-u: analizy@sobotajachira.pl
więcej na https://www.sobotajachira.pl/

Materiał przygotowany w komercyjnej współpracy z Kancelarią Sobota Jachira.

eprasa.pl f001f96e29



Prezydent Zełenski podczas spotkania z Andrijem Jermakiem (po lewej) i Rustemem Umierowem

Midas zabiera złoto

EDWIN BENDYK Z KIJOWA

Afera korupcyjna, która właśnie wstrząsnęła Ukrainą, może być początkiem końca Wołodymyra Zełenskiego. Ale też wstępem do kolejnej odnowy państwa.

Zaczęło się od Hermana Hałuszczenki – to jeden z najważniejszych podejrzanych w antykorupcyjnej operacji „Midas". Śledztwo w tej sprawie od półtora roku prowadzi Narodowe Biuro Antykorupcyjne Ukrainy, NABU. Nieprzypadkowo, bo Hałuszczenko, zanim został ministrem sprawiedliwości, kierował resortem energetyki.

Znawcy ukraińskiej polityki nie mają wątpliwości, że jednym z jego zadań było umożliwienie wyprowadzania pieniędzy z państwowych spółek energetycznych i zasilanie nimi politycznych kręgów tworzących system władzy. Władza w Ukrainie dziś koncentruje się w rękach jednego człowieka – prezydenta. A linia prowadząca od Hałuszczenki do otoczenia Wołodymyra Zełenskiego jest krótka.



Prezydent Zełenski i Tymur Mindicz

System

Formalnie Ukraina ma ustrój parlamentarno-prezydencki. W rzeczywistości najważniejsze decyzje nie są podejmowane w jednoizbowej Radzie Najwyższej, która np. zgodnie

eprasa.pl f001f96e29



Herman Hałuszczenko

z przepisami jest niezależna od prezydenta i sama powołuje rząd. Również teoretycznie od niego niezależny. Ukraiński parlament, w którym większość ma prezydenckie ugrupowanie Sługa Narodu, wykonuje dziś polecenia z Bankowej – to nazwa ulicy, przy której urzęduje Zełenski.

Jak działa ten system, można było się przekonać 22 lipca, kiedy Rada Najwyższa w jeden dzień zmieniła ustawę o NABU i o Specjalnej Prokuraturze Antykorupcyjnej, SAP. Rano z Bankowej przyszedł projekt, po południu było głosowanie, wieczorem prezydent złożył podpis, mimo że Bruksela przestrzegała go, by powstrzymał się przed tak brutalnym demontażem systemu walki z korupcją. Ustawa podporządkowywała niezależne instytucje prokuratorowi generalnemu, który jest politycznym nominatem.

Tydzień później – znów w ciągu jednego dnia, znów z inicjatywy prezydenta – Rada cofnęła wszystkie zmiany. Po drodze odbyły się protesty społeczne w kilkunastu miastach Ukrainy nazwane „rewolucją na kartonie" – protestujący na kartonach wypisywali antyrządowe hasła. Jedno z nich brzmiało „Zenukowycz" (prezydent Wiktor Janukowycz stworzył system korupcji i uciekł z kraju w wyniku rewolucji godności w 2014 r.).

Zełenski zrozumiał wtedy, że w warunkach stanu wojennego może skoncentrować władzę polityczną, nie licząc się z opozycją. Musi jednak liczyć się ze społeczeństwem, które postanowiło mu przypomnieć, o co toczy się wojna. I za co na froncie oraz w bombardowanych miastach giną ludzie. A chodzi o to, żeby Ukraina nie stała się Rosją, tylko konsekwentnie szła do Europy.

Ten głos ulicy zyskał mocne wsparcie dyplomatyczne. Sama Komisja Europejska, jak i wielu europejskich przywódców przypomniało Zełenskiemu, że warunkiem integracji Ukrainy z UE (i bieżącej unijnej pomocy) jest skuteczna walka z korupcją. A to wymaga niezależnych instytucji antykorupcyjnych. Zełenski szybko zrozumiał, że popełnił błąd, wycofanie się ze zmian pozwoliło uniknąć eskalacji kryzysu. Tyle tylko, że cała operacja miała zahamować prace NABU i SAP, bo wiadomo było, że antykorupcyjni śledczy zbliżają się do najbliższego otoczenia prezydenta.

Opór

Sygnałem ostrzegawczym było postawienie wiosną zarzutów o korupcję Ołeksijowi Czernyszowowi, wówczas wicepremierowi, a prywatnie przyjacielowi Zełenskiego. Pojawiły się również informacje o podsłuchach w rezydencji Tymura Mindicza, współtwórcy Kwartału 95, czyli spółki medialnej prowadzonej razem z Zełenskim przed jego prezydenturą. Już wtedy na Bankowej zaczęło robić się gorąco. Nie bez powodu.

Zełenskiemu nie udało się powstrzymać NABU, zmieniając prawo. Śledczych nie zahamowała też Służba Bezpieczeństwa Ukrainy, SBU, która potrafi działać w mniej formalny sposób. SBU cieszy się w kraju olbrzymią popularnością – to ona przeprowadziła m.in. czerwcową operację „Pajęczyna", dronowy atak na lotniska rosyjskiego lotnictwa strategicznego.

Jednak SBU – poza tym, że likwiduje wrogów Ukrainy – realizuje także sugestie Bankowej. W lipcu próbowała dyskredytować NABU i SAP, przeprowadzając rajdy na siedziby tych instytucji i brutalnie przesłuchując śledczych (agenci SBU mieli ponoć na siłę odsłaniać powieki „interlokutorom", by w ten sposób odblokować smartfony zabezpieczone biometrycznie). Oficjalnie: w ramach walki z „rosyjskimi wpływami".

Nic to jednak nie dało i 10 listopada śledczy NABU przeszukali m.in. gabinet ministra sprawiedliwości, mieszkania Czernyszowa i Mindicza oraz biura Energoatomu, państwowej spółki zarządzającej elektrowniami atomowymi w Ukrainie. Operacja „Midas" weszła w decydującą fazę, zarzuty postawiono siedmiu osobom, dwie spośród nich – w tym Mindicz – uciekły z kraju. Mindicz został najwyraźniej uprzedzony o nadchodzącej akcji.

Wnioski wynikające z ponad tysiąca godzin podsłuchów są poruszające. W czasie wojny, toczonej w dużym stopniu dzięki ofiarności obywateli, którzy wspierają armię z własnej kieszeni, grono osób blisko związanych z prezydentem, a wśród nich ministrowie rządu, stworzyło kryminalny układ rozkradający państwo. I to w dość prostacki sposób – przez wymuszanie haraczu od firm chcących świadczyć usługi państwowemu monopoliście. Z Energoatomu wyprowadzono w ten sposób bezpośrednio ponad 100 mln dol.

Dodatkowo konsekwencją „szlabanu", czyli systemu uzależniającego współpracę od łapówek w wysokości 10–15 proc. wartości przyznanego kontraktu, było także opóźnienie budowy infrastruktury zabezpieczającej elektrownie atomowe przed rosyjskimi atakami. W razie braku współpracy oporna firma narażała się na dodatkowe problemy, np. straszono, że jej męski personel dostanie wezwania do wojska.

Nieformalne związki

Problemy z poborem do wojska są dziś w Ukrainie jednym z najgorętszych tematów. Chodzi zarówno o uchylanie się od służby, jak i liczne dezercje. Tym bardziej że armia cierpi na niedobory kadrowe. Dla polityków to jednak temat głównie polityczny – chodzi o utrzymanie jak najwyższego poparcia, a drogą do tego celu jest unikanie niepopularnych decyzji. Lub zrzucanie ▶

© ANADOLU/GETTY IMAGES, AN, LES KASYANOV/GLOBAL IMAGES UKRAINE/GETTY IMAGES

eprasa.pl f001f96e29

▶ odpowiedzialności na kogoś innego, np. dowódców, którzy jakoby nie radzą sobie z dyscypliną i falą.

I owszem, o takich przypadkach mówi się głośno. Ale badania społeczne podpowiadają, że wśród głównych przyczyn kłopotów z poborem prym wiodą korupcja i poczucie niesprawiedliwości wynikające z przekonania, że do wojska idą albo zmotywowani ochotnicy, albo frajerzy, którzy nie potrafią się wymigać lub wykupić.

W tym kontekście pobór do wojska stał się również przedmiotem zarządzania politycznego. Np. niezależni dziennikarze zastanawiają się, dlaczego mężczyźni z ich redakcji są mobilizowani znacznie gorliwiej niż pracownicy redakcji działających zgodnie z linią Bankowej? I choć pobór oraz związana z nim korupcja nie są bezpośrednio związane z operacją „Midas", to jednak dobrze ilustrują system zarządzania państwem, jaki powstał w czasie prezydentury Zełenskiego.

Istotą tego systemu jest wspomniana koncentracja władzy w rękach prezydenta, ułatwiona dodatkowo przez stan wojenny. Nieuzasadniona prawnie, pozwala na ręczne sterowanie za pomocą nieformalnych wpływów w najważniejszych instytucjach państwa, ze służbami specjalnymi i strukturami bezpieczeństwa na czele.

Funkcję rządu pełni de facto Biuro Prezydenta, kierowane przez Andrija Jermaka, zwanego czasem wiceprezydentem i drugą osobą w państwie. A wspomaga go liczne grono zastępców pociągających za sznurki państwowej machiny – mimo że nie mają do tego, podobnie jak zresztą Jermak, konstytucyjnej legitymacji.

W efekcie zaciera się granica chroniąca państwo przed wpływem osób, które nie mają do tego demokratycznego upoważnienia. Jak choćby Tymur Mindicz. Zepsucie polityczne umożliwia z kolei korupcję w stylu, jaki ujawniło NABU. Tym bardziej że to dopiero początek – sami śledczy mówią, że tropy prowadzą także do sektora zbrojeniowego i zamówień wojskowych.

Fronda

Jak wynika z badań, opinia publiczna oczekuje naświetlenia tego systemu i wskazania winnych. Tym bardziej że od skuteczności organów ścigania zależy przyszłość zagranicznej pomocy dla Ukrainy. Viktor Orbán już powiedział głośno to, co myśli wielu zachodnich polityków: koniec z finansowaniem Ukrainy. Politycy zależą od swoich elektoratów, a mało kto z wyborców w Polsce, Niemczech lub we Francji ucieszyłby się, gdyby zobaczył na złotym sedesie (taki gadżet znaleziono w mieszkaniu Mindicza) gdzieś w Ukrainie naklejkę „sfinansowano ze środków UE".

Śledztwa i postępowania sądowe zajmą jednak sporo czasu. W tej chwili najpilniejszym zadaniem jest wyprowadzenie Ukrainy z głębokiego kryzysu politycznego. Początkowo wydawało się, że wystarczy zdecydowana reakcja Zełenskiego pokazująca, że nie będzie chronił przyjaciół. I pierwsze wypowiedzi prezydenta szły w tym kierunku, czego wyrazem były sankcje nałożone przez Radę Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony na Mindicza oraz zwolnienie z funkcji ministrów sprawiedliwości i energii.

Opozycja poczuła jednak krew i żąda więcej. Tym bardziej że taśmy z operacji „Midas" na pewno zawierają więcej ważnych nazwisk. Co z Rustemem Umierowem, sekretarzem Rady Bezpieczeństwo Narodowego, a wcześniej ministrem obrony? I czy osoba pojawiająca się na nagraniach pod pseudonimem Ali Baba to nie sam Jermak? A premierka Julia Swyrydenko? W tym kontekście kosmetyczne zmiany – czyli wymiana dwóch ministrów – mogą nie wystarczyć. Trzeba zmienić system, zaczynając od dymisji rządu.

Opozycja samodzielnie tego zrobić nie może, nie ma w Radzie Najwyższej większości. Co jednak z większością, którą nominalnie tworzą deputowani Sługi Narodu? Niektórzy zaczynają mieć dość roli marionetek Jermaka.

Pierwszym wstrząsem były lipcowe przepychanki z ustawami o NABU i SAP. Najpierw Słudzy Narodu dostali polecenie, żeby w ciągu dnia przyjąć ustawę demontującą niezależność instytucji antykorupcyjnych, bo tak będzie dobrze. Potem w ciągu dnia musieli przyjąć ustawę przywracającą poprzedni stan rzeczy, bo tak będzie jeszcze lepiej. A do tego zobaczyli na ulicach wściekłych Ukraińców, na co zupełnie nie byli przygotowani, myśląc, że ich przywódca Zełenski wie, co robi. I że co jak co, ale akurat on dobrze czuje emocje ludu.

Operacja NABU dostarczyła kolejnych powodów do wątpliwości. Pokazała, że system, który pozwala wielu posłom dorabiać do chudych diet, jest zagrożony. Czy zatem polityczna lojalność i podporządkowanie mają jeszcze sens? Odpowiedzi dostarcza facebookowy wpis Nikity Poturajewa, deputowanego Sługi Narodu, z 19 listopada. Poturajew, który ewidentnie nie pisze tylko w swoim imieniu, wzywa do powołania nowego rządu jedności narodowej, stworzonego przez wszystkie siły polityczne, oraz przywrócenia Radzie Najwyższej oraz rządowi ich ustrojowych prerogatyw.

Niepewna przyszłość

Ukraińska polityka ewidentnie przyspieszyła. Gdy oddawaliśmy ten tekst do druku, los obecnego rządu nie był jeszcze znany. Zełenski oświadczył, że nie zamierza zwalniać Jermaka. Co jednak dalej? Budowany przez prezydenta system jednoosobowego zarządzania państwem pod parasolem zdyscyplinowanej większości parlamentarnej wyczerpał się. Jednocześnie ze względu na stan wojenny niemożliwe jest przeprowadzenie wyborów, które odnowiłyby legitymację władzy.

Większość naszych rozmówców w Ukrainie jest przekonanych, że Zełenski nie ma politycznej przyszłości. I że najlepszym sposobem, by odbudować moralną legitymację (bo tej formalnej z powodu wojny nikt nie podważa) do kierowania państwem, byłaby deklaracja prezydenta, że już nie wystartuje w wyborach.

Ukraina mierzy się z głębokim kryzysem politycznym w najgorszym z możliwych momentów, kiedy sytuacja na froncie oceniana jest jako najtrudniejsza od początku wojny. Do tego dochodzi presja ze strony Stanów Zjednoczonych na przyjęcie warunków zakończenia wojny w ramach wynegocjowanego przez Waszyngton planu, który nie ma szans spodobać się w Ukrainie.

W całym tym zamieszaniu jest też wiele dobrych wiadomości. Okazało się, że utworzone po rewolucji godności instytucje do walki z korupcją potrafią skutecznie działać. Że społeczeństwo obywatelskie jest gotowe ich bronić. A media, mimo presji ze strony władzy, potrafią ujawniać najbardziej nawet niewygodne dla niej sprawy. Bez wątpienia ukraińska demokracja znalazła się w głębokim kryzysie. Ale pozostaje zdolna do samonaprawy i modernizacji. Tym Ukraina w zasadniczy sposób różni się od Rosji.

EDWIN BENDYK

eprasa.pl f001f96e29



Siergiej Lebiediew (rocznik 1981) – jeden z najważniejszych współczesnych rosyjskich myślicieli. Pisarz, dziennikarz i historyk. Zajmuje się głównie rosyjską (nie)pamięcią, rozliczeniami ze stalinizmem i z przeszłością własnych najbliższych. Jego pierwsza książka „Granica zapomnienia" z 2011 r. szybko stała się bestsellerem. Kolejne miały już premiery w językach innych niż rosyjski (w sumie już w ponad 20), bo Lebiediew stał się ostrym krytykiem Władimira Putina. Od 2018 r. mieszka w Poczdamie.

Sprytna ofiara

Rozmowa z rosyjskim pisarzem Siergiejem Lebiediewem o tym, dlaczego Rosja będzie miażdżyć Ukrainę aż do pełnej jedności, do czego służy Rosji status ofiary i czego boi się Putin.

AGNIESZKA LICHNEROWICZ: **– Pan też ma w sobie imperialistę?**

SIERGIEJ LEBIEDIEW: – Byłem do tego predestynowany. Urodziłem się w Moskwie, w rodzinie od pokoleń rosyjskiej.

Nie można od tego uciec?

Odpowiem anegdotą. 1987 r., mam sześć lat, ostatni rok przedszkola. Jest Dzień Wielkiej Rewolucji Październikowej, okolicznościowe przedstawienie. Opiekunowie szukali chłopca o najbardziej rosyjskiej urodzie, przyglądali się więc kolorom naszych włosów i uznali, że najlepszym blondynem jestem ja. Uroczyście ogłosili, że dostanę rolę Rosji. Byłem niezwykle dumny.

O co chodziło w przedstawieniu?

Mnie przebrali za Rosję, a pozostałe dzieci dostały kostiumy innych republik związkowych, najpiękniejsza zaś dziewczyna, która była ze dwie głowy wyższa ode mnie, została Ukrainą. Zadanie, które mi wyznaczyli – trudne do wytłumaczenia dziecku – to tańczyć z nią aż do osiągnięcia jedności. Zajęło mi dwie dekady, aby zrozumieć, o co w tym chodziło. I już nie mam powodów do dumy.

I ten imperializm nadal ciąży?

Gdy byłem mały, mieliśmy w domu atlas Związku Radzieckiego. Ważył chyba ze trzy kilogramy. Fascynujące było trzymanie go w rękach i to wrażenie, że jesteśmy wielcy. Wielkość daje poczucie potęgi – rozmawiamy z wielkimi kulturami świata, a nasi sąsiedzi pomiędzy są nieistotni. Tak jak nieistotne są narody „uwięzione w Federacji Rosyjskiej". Dziś obserwuję to również podczas spotkań rosyjskiej opozycji, na których nie ma reprezentacji innych narodów Federacji. ▶

© CLAUDIO BRESCIANI/TT NEWSAGENCY/FORUM

eprasa.pl f001f96e29

▶ A przecież co czwarty mieszkaniec nie jest etnicznym Rosjaninem.

Co odmieniło pana myślenie?

To było dziesięć osób z państw regionu bałtyckiego, które bez oskarżeń opowiedziały mi historie swoich rodzin. Życie każdej z nich zostało zniszczone przez rosyjskich i sowieckich żołnierzy najeżdżających ich kraje. A ja miałem wtedy ok. 30 lat i byłem dumnym wnukiem tych żołnierzy.

Jest pan też dzieckiem geologów. Jeździł pan z nimi na ekspedycje.

Gdy jako geolog zagłębiasz się w Rosję, zdajesz sobie sprawę, że mieszkają tam inne narody. W Moskwie nie widzisz najmniejszych ich śladów, w żaden sposób nie są reprezentowane. Nadal prawie nikt w kulturze rosyjskojęzycznej nie dostrzega, jak bardzo jesteśmy uprzywilejowani. Odwrotnie, Rosjanie mają poczucie, że wszyscy są im coś winni.

Za pokonanie nazistów w drugiej wojnie światowej?

Mamy tendencję do wyolbrzymiania własnego cierpienia i w ten sposób Moskwa monopolizuje choćby pamięć o tej wojnie. Niemal cała Białoruś była okupowana, Ukraina została zniszczona – jak to się stało, że cały kapitał moralny należy do Moskwy? Jeśli zaś chodzi o radziecką okupację Europy Środkowo-Wschodniej, to nawet najbystrzejsi rosyjscy dysydenci nigdy tak naprawdę nie zajęli się kompleksowo kwestią naszej odpowiedzialności.

Rosjanie uważają, że powinniśmy im dziękować za wyzwolenie od nazistów.

Często w Niemczech łapałem się na myśleniu: Niemcy zamordowali tak wielu członków mojej rodziny i dlatego są mi coś winni. Niemcy zrobili jednak dużo, żeby się z tym zmierzyć. My natomiast jako kraj nigdy nie uznaliśmy żadnej z naszych agresji.

Rosjanie mają wybiórczą pamięć, również o swojej rodzinie. Jednym z moich odległych krewnych był ksiądz w rosyjskiej fortecy w Warszawie. Przez wiele lat nie zastanawiałem się, z jakiego powodu był w Polsce. Dopiero po trzydziestce zacząłem dostrzegać, że przecież skoro był księdzem, był też częścią sił okupacyjnych.

Brak wolności może być wyzwalający z poczucia odpowiedzialności.

Rosyjscy dysydenci na przełomie lat 80. i 90. XX w. byli przeciwni wszelkim formom lustracji. Upamiętnianie ofiar – oczywiście, ale wymierzenie sprawiedliwości sprawcom – nie. Status ofiary paradoksalnie pozwala wiele wymagać, nie dając nic w zamian. To infantylne, ale wygodne. Tu wspomnienie: jest 1999 r., mam 18 lat, czas na służbę w wojsku. Trwa druga wojna z Czeczenią, oczywiście nie chcę iść, trochę się tym szczycę. Moi rodzice się rozwiedli, żeby dać mi szansę.

> Rosjanie jako naród imperialny wciąż identyfikują się z rosyjskim państwem. Bunt przeciw niemu oznaczałby podważenie czegoś, z czego czerpią przyjemność.

Rozwiedli?

W ten sposób stałem się jedynym żywicielem samotnej matki, co mogło pomóc. Dopiero po wielu latach zdajesz sobie sprawę, że to przecież działo się za rządów Borysa Jelcyna, gdy protesty uliczne wciąż były możliwe. Dlaczego, do diabła, nigdy nie próbowałeś się w tej sprawie zorganizować z innymi?

Rosjanie są dobrzy w unikaniu i oszukiwaniu. To kompetencje, które pozwalają wystrzec się bezpośredniego konfliktu. Trzeba być najsprytniejszym – ktoś inny zostanie powołany do wojska, ale nie ty. Ale podjęcie bezpośredniej walki jest tabu. Jedyne, co możesz zrobić, to uciekać i stać się w tym mistrzem. Możesz być sprytną ofiarą. Efektem jest brak solidarności i poczucia odpowiedzialności.

To dlatego, że Rosjanie długo i dużo cierpieli z rąk władzy?

To wynika z faktu, że Rosjanie jako naród imperialny wciąż identyfikują się z rosyjskim państwem. Bunt przeciwko niemu oznaczałby dla nich podważenie czegoś, z czego w pewnym sensie nadal czerpią przyjemność. Można nienawidzić rządu, nie zgadzać się z nim, ale to wciąż twój dom, podświadomie będziesz go bronić. I to się szybko nie zmieni. W Rosji mamy jedynego prezydenta w tej części świata, który rządzi ze średniowiecznej fortecy. To dużo mówi – zawsze jesteśmy w tej defensywnej pozycji.

Czy inwazja na Ukrainę i jej konsekwencje uderzą w imperium?

Miałem taką nadzieję, ale widzę, że rosyjscy intelektualiści na wygnaniu budują te same formacje obronne, odrzucając np. wszelką odpowiedzialność kultury rosyjskiej. Tak naprawdę kultura rosyjska jest ostatnią kulturą imperialną, która nigdy nie została przeanalizowana z pozycji postkolonialnych czy dekolonizacyjnych.

W Polsce i na Zachodzie też wielu nie uznaje odpowiedzialności rosyjskiej kultury i czuje potrzebę jej obrony.

Nie jest łatwo rozróżnić, co imperialne i kolonialne. Ale to już powinno być naszym zadaniem, a nie Polaków czy innych obcokrajowców. To jest problem intelektualistów z rosyjskiej akademii, którzy spędzili 30 lat, nic nie robiąc i licząc, że taki stan rzeczy zostanie zachowany, bo czerpali z niego korzyści. Najlepsza książka na ten temat – „Trubadurzy imperium" – została napisana przez naukowczynię polskiego pochodzenia, prof. Ewę Thompson. Na rosyjski nie została nawet przetłumaczona.

Często słyszę, że może Dostojewski był imperialistą i szowinistą, ale dlaczego miałbym teraz porzucić Czechowa czy Tołstoja?

Konkretny autor mógł być osobiście niewinny. Ale jako fenomen kultury był narzędziem budowania rosyjskiej dominacji kulturowej. Przez wiele stuleci kultura i język były wykorzystywane jako narzędzie rusyfikacji, represji i władzy. Powinniśmy zrozumieć, że w tej „wielkości" zakodowane jest również rozumienie Rosji jako imperium, które ma prawo lub nawet jest przeznaczone do rządzenia sąsiadami.

Każdy z tych wielkich autorów jest ambiwalentny – znajdziemy cytaty dowodzące, że był bardem wolności, ale jednocześnie rosyjski rząd wskaże takie, które służą gloryfikowaniu wielkości i ekspansji. Jednym z najlepszych przykładów jest „Jeździec miedziany" – to naprawdę niesamowite, jak Puszkinowi udało się w tym wierszu połączyć żądanie wolności i imperialne podejście do ludności, na której ziemiach zbudowano Sankt Petersburg.

Czyli nie czytać?

Nie odrzucać, tylko wstrzymać się, aż rosyjskie osobistości kultury przemyślą, na czym tak naprawdę stoi ich kultura. Mieszkam w Poczdamie i często przechodzę obok alei Puszkina. To niesamowite, bo ta ulica wyznacza granicę

eprasa.pl f001f96e29

między wolnym miastem i obszarem, który w okresie sowieckim był zamknięty dla Niemców i gdzie znajdowało się radzieckie więzienie tortur. Aleja Puszkina była więc fasadą, za którą czekała śmierć. Nie sądzę, żeby jakakolwiek inna kultura na świecie do tego stopnia wykorzystywała swoje wielkie nazwiska jako tarczę i narzędzie dominacji.

Kiedy Ukraińcy burzą pomniki wszystkich tych wielkich rosyjskich postaci, to nie chodzi im o konkretne nazwiska. To Moskwa zrobiła z tych twórców symbole dominacji. Kiedy zaś Rosjanie grzmią, żeby „nie dotykać Puszkina", bronią kulturowej dominacji, z której czerpią korzyści.

Ta dominacja daje poczucie wyższości?

Możemy być biedni i jeść byle co, ale możemy też przyjść i was zmiażdżyć. Obsesja na punkcie władzy jest niezwykła. To właśnie zabiło Aleksieja Nawalnego. Po tym jak niemieccy lekarze niejako wskrzesili go po próbie otrucia, miał do wyboru różne ścieżki. Mógł pojechać do Moskwy lub do Kijowa. To drugie byłoby jednak wielkim wyzwaniem.

Ale po co do Kijowa? Serc Rosjan by nie podbił, a Putin nazwałby go zdrajcą.

Z punktu widzenia przyszłości byłby to niezwykły ruch – gest uznania odpowiedzialności. W latach 2014–22, gdy trwała rosyjska agresja na wschodnią Ukrainę, w Rosji aktywizm toczył się jak zwykle – normą było mówienie o korupcji, ale już nie o zbrodniach wojennych i agresji.

W 2021 r. po odzyskaniu zdrowia Nawalny wrócił jednak do Rosji. I od razu został aresztowany.

Wciąż był zafascynowany ideą, że wszystko decyduje się w Moskwie. I miał bezpodstawne przekonanie, że tym posunięciem może coś wygrać. Dlatego przed pełnoskalową inwazją nie krytykował Putina za bycie zbrodniarzem wojennym. I to jest dla mnie największa porażka, również moralna. Nawalny naprawdę wierzył w ideę innej Rosji, która nie jest zdeterminowana przeszłością. To naiwne, ale atrakcyjne uczucie. Bo to właśnie Rosja z przeszłości go zabiła. Został wysłany do miejsc dawnych gułagów.

Trudno jest krytykować kogoś, kto nie żyje, a czyja śmierć była najwyraźniej wynikiem drugiego zamachu na jego życie. Ale sednem problemu jest właśnie fascynacja władzą – może powinniśmy się bardziej skupić na tym, jak się jej pozbyć.

> Jedyną prawdziwą wojenną walutą, jaką ma Putin, jest tanie życie Rosjan. To cud, że Ukraina jeszcze się trzyma. Każde inne państwo europejskie dawno by się poddało.

Pozbyć władzy imperialnej?

Ten konglomerat narodów był przez wieki budowany za pomocą przemocy i podboju. To jest energia elektryczna rosyjskiego systemu, która trzyma narody razem. I każdy, kto obejmie prezydenturę po Putinie, stanie przed tym samym dylematem: gdy Czeczenia znów zechce się wyrwać, odpowiemy czołgami czy dyplomacją? Jeśli Tatarstan chciałby wyjść, cała struktura federacji stanęłaby pod znakiem zapytania. Cała historia Rosji powinna zostać przemyślana z tej perspektywy, ale nie jesteśmy gotowi tego zrobić.

Czy wojna w Ukrainie przybliża upadek imperium?

To trudne pytanie. Projekt radziecki był utopią, która czerpała legitymizację z przyszłości – prowadzimy wojny i stosujemy przemoc, ale gdzieś tam na horyzoncie rysuje się nadzieja. Obecna Rosja czerpie swoją legitymizację z przeszłości. Prowadząc wojnę i stosując represje wewnętrzne, reżim cofa się w czasie. Wszechobecną w rosyjskiej telewizji retorykę mogę porównać tylko do tej z lat 30. Rosja przechodzi proces archaizacji i staje się coraz bardziej antymodernistyczna.

W sprawie wojny jedyną prawdziwą walutą, jaką ma Putin, jest tanie życie Rosjan. To cud, że Ukraina jeszcze się trzyma. Jestem przekonany, że każde inne państwo europejskie, które poniosłoby takie straty, już dawno by się poddało. Putin doskonale o tym wie.

Słabym ogniwem antyimperialnej koalicji są państwa europejskie?

Putin ma świadomość, że po kilku latach wojny europejscy wyborcy zmienią krajobraz polityczny. Kluczowe pytanie nie dotyczy więc tego, co się stanie z rosyjską gospodarką albo czy władza Putina upadnie. Kluczowe jest, czy Europa będzie w stanie naprawdę się zmobilizować, poświęcić pewne rzeczy i uznać, że jesteśmy w stanie wojny. Putin uważa, że za rok–dwa–trzy wygra politycznie. Na przykład dojście Alternatywy dla Niemiec (AfD) do władzy będzie dramatycznym zwrotem dla Europy. Stawką tej wojny jest więc też przyszłość kontynentu. Tymczasem politycy, zwłaszcza w Niemczech, wciąż nie są gotowi głośno powiedzieć, o co naprawdę toczy się gra.

Europejskie elity tego nie rozumieją?

Nie rozumieją stawki. Weźmy ewentualne ustępstwa terytorialne na rzecz Rosji. Widzimy, w jakim stanie wracają ukraińscy żołnierze z rosyjskiej niewoli. Są nie tylko głodzeni, ale systematycznie torturowani. Jest w tym coś naprawdę diabolicznego. To pokazuje, że mamy do czynienia nie tylko z agresorem pragnącym więcej ziemi, ale z wielkim złem – oddawanie mu terytoriów i ludzi tylko podsyca jego apetyty.

I co z tym zrobić?

Dużo zastanawiam się, jak w tej postheroicznej epoce w krajach europejskich przekonać ludzi, że nadszedł czas, aby stanąć do obrony – nie tylko Ukrainy, ale swoich krajów. Dla Europejczyków ZSRR to już miniona epoka, ale nie dla Putina. Jechałem dziś pociągiem z Berlina do Warszawy, z perspektywy Putina cały czas byłem w radzieckim imperium. Obawiam się kolejnych ruchów w regionie Morza Bałtyckiego.

Jest jakiś optymistyczny scenariusz?

Od wielu już lat czytam dokumenty KGB, to przedmiot zainteresowań naukowych mojej żony, ale ja również wykorzystuję je w moich powieściach. W pewnym sensie jestem więc w głowie byłego funkcjonariusza bezpieczeństwa państwowego. Jakie są ich słabe punkty? Nie wierzą lub nie dostrzegają pewnych rzeczy, np. godności, honoru czy zaufania. Oni nie oczekują, że ludzie będą postępować zgodnie z tymi wartościami. I to stwarza nam szansę. Opór wobec rosyjskiej agresji mógłby być na takich wartościach budowany.

Moja odpowiedź na to pytanie nie jest więc praktyczna, ale filozoficzna. Jeśli ktoś nie wierzy w istnienie godności, najlepszą strategią jest działanie w oparciu o godność. Kiedy wschodni Niemcy zaczęli protestować i stanęli w obronie siebie nawzajem, Putin, który był wtedy rezydentem KGB w Lipsku, poczuł się zagubiony, zupełnie się tego nie spodziewał.

ROZMAWIAŁA AGNIESZKA LICHNEROWICZ

eprasa.pl f001f96e29

Trump i dziewczyny

Sprawa pedofila Jeffreya Epsteina podmywa poparcie dla prezydenta USA nawet wśród jego najtwardszych wyznawców. A to dopiero początek.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

W filmie Stanleya Kubricka „Oczy szeroko zamknięte" zamaskowani mężczyźni z wyższych sfer oddają się orgii z luksusowymi prostytutkami. Wszystko to wieńczy pseudoreligijny rytuał w pałacu na przedmieściach Nowego Jorku. To już nie fantazja, lecz rzeczywistość, napisała Sharon Waxman z „Washington Post", komentując historię multimilionera finansisty Jeffreya Epsteina. Kierował on swoistą superagencją towarzyską dla przyjaciół z elit. A na prywatnej wyspie na Morzu Karaibskim urządzał podobno słynące z seksualnych ekscesów przyjęcia. Ich główną atrakcją były przywożone tam 14–15-letnie dziewczęta. Oskarżonego o gwałty i handel kobietami Epsteina znaleziono w 2019 r. powieszonego w więzieniu. Władze orzekły, że popełnił samobójstwo.

Nie wiadomo, kto bywał na wyspie bankiera sutenera i co tam się właściwie działo. Nie jest jednak tajemnicą, kto należał do jego kręgu znajomych i uczestniczył w bankietach w jego domu na Manhattanie. Swoją stręczycielską działalność Epstein prowadził od początku lat 90. Spotykał się i korespondował z prominentami polityki, jak Bill Clinton, jego sekretarz skarbu Larry Summers, tuzami biznesu, jak Elon Musk, Peter Thiel i Bill Gates, dziennikarzami, jak Michael Wolff, naukowcami, jak Noam Chomsky, a nawet artystami, jak malarka Maria Farmer. Bliskie kontakty z nim utrzymywał były premier Izraela Ehud Barak i Andrew Mountbatten Windsor, znany kiedyś jako książę Andrzej.

Przyjaźnił się z nim także nowojorski magnat nieruchomościowy i gwiazdor reality TV Donald Trump. Epstein był częstym gościem w jego rezydencji Mar-a-Lago na Florydzie. Łączyły ich zainteresowania kobietami, zwłaszcza bardzo młodymi. Trump nazywa go dziś „zboczeńcem" i podkreśla, że zerwał z nim w 2004 r., sugerując, że z powodu złej reputacji Epsteina, choć główną przyczyną był konflikt na tle biznesowym.

Prezydent USA twierdzi też, że nie miał pojęcia o stręczycielskim procederze bankiera i deprawowaniu 15-latek. Jednak ujawnione na początku listopada maile Epsteina do znajomych i wspólniczki Ghislaine Maxwell temu przeczą. W jednym z nich napisał, że Trump „wiedział o dziewczynach", a w innym, że z jedną z ofiar spędził w jego domu sam na sam kilka godzin. Maile wywołały burzę, która zachwiała pozycją prezydenta i wstrząsnęła bazą jego fanów.

Na trop przestępczej działalności Epsteina władze wpadły już w latach 90., ale nie ścigano go zbyt gorliwie. Dopiero w 2007 r. usłyszał zarzut handlu kobietami, sąd na Florydzie skazał go za seks z 14-latką i organizację prostytucji nieletnich dziewcząt na zaledwie 13 miesięcy więzienia – wyrok rażąco niski za tego rodzaju przestępstwa. Część kary odbywał, pracując na wolności. Chociaż cały kraj się dowiedział, za co powędrował za kratki, nikt nie zerwał z nim kontaktów. Z więzienia korespondował, a po wyjściu na wolność nadal spotykał się ze znajomymi, którzy nie przestali zapraszać go na kolacje, prosić o rady w biznesie. Ta pobłażliwość nie powinna dziwić. W USA sędziowie mają spory margines dowolności – wyroki często

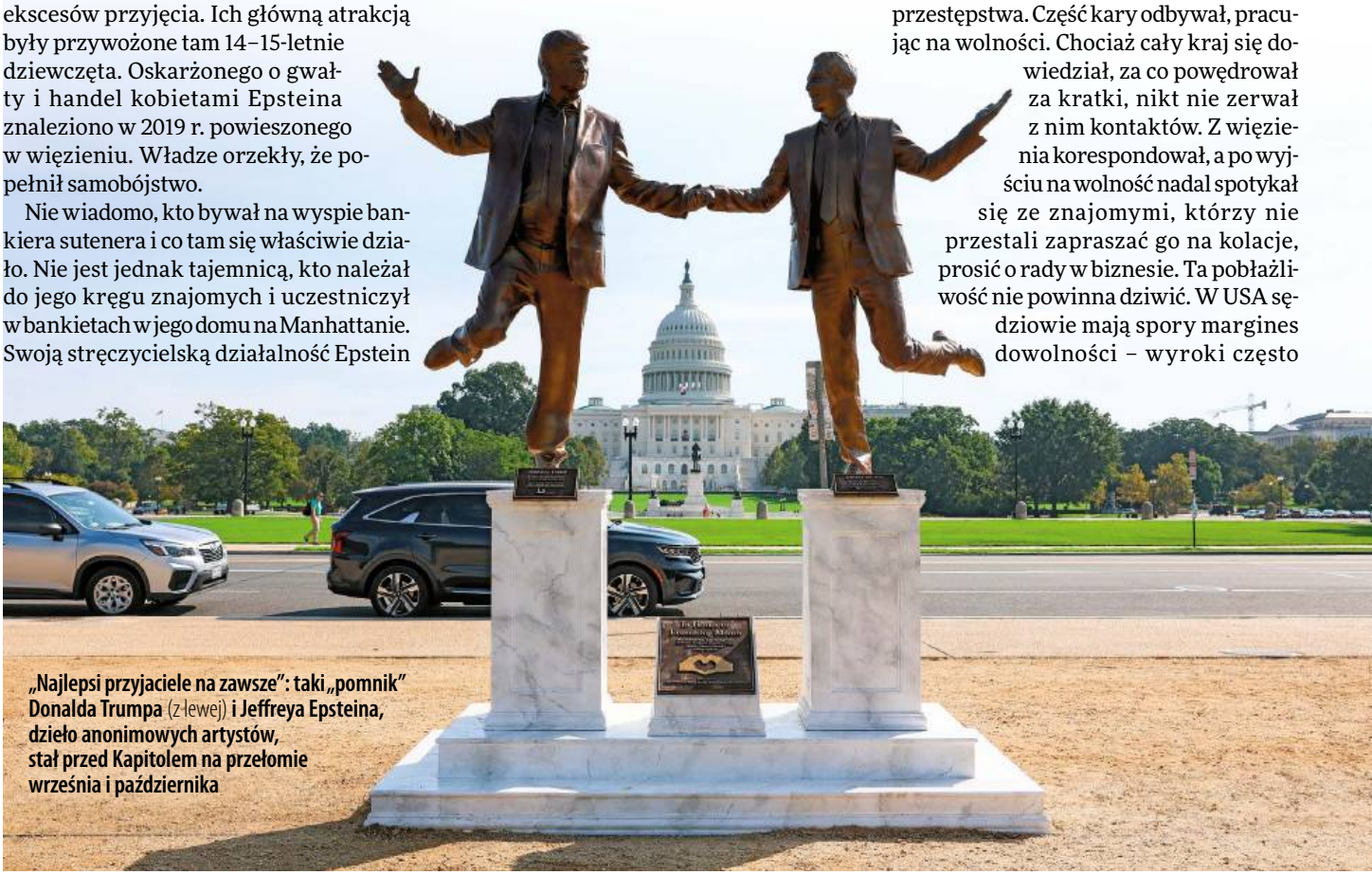

„Najlepsi przyjaciele na zawsze": taki „pomnik" Donalda Trumpa (z lewej) **i Jeffreya Epsteina, dzieło anonimowych artystów, stał przed Kapitolem na przełomie września i października**

eprasa.pl f001f96e29

zależą od społecznego klimatu wokół osądzanych przestępstw. A ten był inny niż dziś. Ameryka uodporniła się na traumę informacji o obyczajowej rozwiązłości elit po doniesieniach mediów o ich erotycznych ekscesach, zwłaszcza po aferze Clintona z Monicą Lewinsky. Seksskandale uległy, by tak rzec, normalizacji.

Zmienił to zapoczątkowany w 2017 r. bunt kobiet z #MeToo, który ośmielił ofiary gwałtów i erotycznej przemocy do oskarżeń seksualnych drapieżców, choćby ze szczytów społecznej hierarchii. Nie przypadkiem więc dwa lata później Epstein został znowu aresztowany i tym razem groził mu wyrok o wiele wyższy. Miesiąc później w zagadkowych okolicznościach odebrał sobie życie. W 2021 r. karę 20 lat więzienia dostała Ghislaine Maxwell. W kwietniu tego roku życie odebrała sobie jedna z ich ofiar, Virginia Giuffre.

Podczas zeszłorocznej kampanii prezydenckiej Trump i jego pretorianie obiecywali ujawnienie wszystkich dokumentów sprawy Epsteina. Miało to ukazać demoralizację lewicowych i liberalnych elit, reprezentowanych przez Demokratów. Oczekiwali tego szczególnie fani Trumpa z MAGA. Na ultraprawicowych obrzeżach ruchu kwitły paranoiczne teorie o Pizzagate, sieci dystrybucji dzieci oferowanych pedofilom, kierowanej przez Hillary Clinton.

Po inauguracji jednak Trump zezwolił na udostępnienie tylko kilkuset dokumentów niezawierających nowych informacji o przestępstwach Epsteina. Popierający prezydenta influencerzy z MAGA, jak Joe Rogan i Laura Loomer, nie ukrywali oburzenia. Trump nie ustępował jednak, twierdząc, że „archiwum Epsteina to oszustwo Demokratów", którzy nagłaśniają temat, aby odwrócić uwagę od „zwycięstw" jego administracji.

Maile Epsteina wyciekające z komisji nadzoru rządu Izby Reprezentantów wyjaśniły, dlaczego Trump ociąga się z ujawnieniem kartoteki. Nazwisko prezydenta pojawiało się w nich tysiące razy, choć nie było dowodów, by naruszył prawo. Wynikało z nich też, że w orbicie pedofila krążyli liczni przyjaciele i sojusznicy Trumpa, jak strateg MAGA Steve Bannon i obecny ambasador USA w Turcji Tom Barrack. Runęła narracja o Epsteinie jako „problemie Demokratów".

Administracja nie dawała jednak za wygraną. Wiceprokurator generalny Todd Blanche rozmawiał w więzieniu z Maxwell, nagranie z tego spotkania pokazano potem w telewizji. Maxwell zapewnia w nim, że Trump nie miał nic wspólnego z przestępstwami Epsteina. Po wywiadzie przeniesiono ją do więzienia o najłagodniejszym rygorze, a prezydent „nie wykluczył", że może ją ułaskawić.

Republikański przewodniczący Izby Reprezentantów Mike Johnson przez kilka miesięcy nie dopuszczał do zaprzysiężenia nowo wybranej demokratycznej kongresmenki, której podpisu brakowało na petycji członków Kongresu mającej skłonić jego republikańskich przywódców do głosowania nad rezolucją o ujawnieniu dossier Epsteina. A prawicowa komentatorka Megyn Kelly argumentowała, że procederu uprawianego przez zmarłego finansistę nie należy nazywać pedofilią, bo ofiary nie miały ośmiu–dziewięciu lat, tylko kilkanaście.

Tymczasem czworo republikańskich członków Izby – Tom Massie, Nancy Mace, Lauren Boebert i znana z prawicowego radykalizmu Marjorie Taylor Greene – przyłączyło się do żądań Demokratów. Fronda trzech kobiet bezgranicznie oddanych dotąd Trumpowi okazała się zaraźliwa – wkrótce stało się jasne, że pójdzie za nimi więcej Republikanów. Z sondaży wynikało, że ujawnienia kartoteki Epsteina chce większość Amerykanów.

Trump zrozumiał, że nie ma innego wyjścia, i 16 listopada wykonał woltę, oznajmiając, że popiera teraz udostępnienie dokumentów Epsteina. Wezwał Republikanów do głosowania nad przygotowaną w tej sprawie ustawą. Ostatecznie Kongres uchwalił ją prawie jednomyślnie, następnego dnia prezydent wszystko podpisał. Tym samym Kongres zobowiązał administrację do ujawnienia do połowy grudnia wszystkich dokumentów związanych z bankierem sutenerem.

Ustawa nie daje jednak gwarancji otwarcia całej kartoteki. Przed jej uchwaleniem Trump nakazał dochodzenie przeciw Demokratom uwikłanym w proceder Epsteina. Celem jest uzyskanie pretekstu, by newralgicznych dowodów nie udostępniać publicznie. Ustawa przewiduje poza tym szereg wyjątków pozwalających na utajnienie szczegółów sprawy, aby np. nie pogwałcić prywatności zamieszanych w nią osób albo nie narazić na szwank „bezpieczeństwa narodowego". Apelując o błyskawiczne uchwalenie ustawy, Trump miał nadzieję, że temat zejdzie szybko z agendy i media dadzą mu spokój. Przeliczył się, bo ofiary Epsteina i popierający je Demokraci do tego nie dopuszczą. Pozostaje zagadką, czemu prezydent tak bardzo boi się ujawnienia prawdy. Być może kryje swoich przyjaciół i sojuszników.

Sprawa jednak nie ucichnie. Los nieletnich dziewcząt wpadających w sidła seksualnych drapieżców nie jest obojętny Amerykanom z religijnej prawicy i MAGA. – *Znaczna część bazy Trumpa głosowała na niego dlatego, że obiecywał zdemaskować nieprawości potężnych ludzi chronionych przez „głębokie państwo". Sprzeciw wobec ujawnienia akt Epsteina stwarza wrażenie, że sam ukrywa prawdę* – mówi Todd Belt, politolog z George Washington University. Skandal podzielił już elektorat Trumpa na tych, którzy na serio uznali go za obrońcę ludzi pracy przed skorumpowanymi elitami, i pragmatycznych Republikanów, którzy troszczą się o jedność partii i jej skuteczność w walce z demokratycznym wrogiem.

Rozłam w MAGA może być kolejną przyczyną zażartego oporu Trumpa przed otwarciem dossier dawnego przyjaciela i ataków na nieposłusznych Republikanów. Dotyczy bowiem nie tylko sprawy Epsteina. Jego fani są rozczarowani, że mimo obietnic stłumienia inflacji ceny wciąż rosną. Dziwią się, że pożycza 20 mld dol. prezydentowi Argentyny, gdy dług państwa rośnie, nie rozumieją, dlaczego zaprasza na studia do USA 500 tys. Chińczyków, i mają pretensję, że chociaż mianuje się „prezydentem pokoju", grozi inwazją na Wenezuelę i Kolumbię.

Już 62 proc. Amerykanów obwinia go za kłopoty gospodarcze (32 proc. winiło Bidena) i tylko 33–35 proc. pozytywnie ocenia jego prezydenturę. Spadek notowań ośmiela Republikanów, by stawali mu okoniem – jak zdominowane przez partię legislatury w Kansas i Indianie, które mimo jego apeli odmawiają zmiany map okręgów wyborczych, co miałoby pomóc w zwycięstwie w przyszłorocznych wyborach do Kongresu. Trump staje się powoli *lame duck* (kulawą kaczką), jak w USA określa się prezydenta osłabionego, z którym coraz mniej liczą się politycy z jego własnego obozu. A prezydenckie próby zdyscyplinowania Republikanów bez zmiany polityki skazane są na przegraną. ■

© ANNA MONEYMAKER/GETTY IMAGES

eprasa.pl f001f96e29



Wyspa niewinności

Nowa prezydent Catherine Connolly uosabia wszystkie problemy, przed którymi stoi dziś Irlandia, gdzie geopolityczny realizm przegrywa z naiwną neutralnością.

MATEUSZ MAZZINI

Nominalnie Irlandia jest suwerenna. Ma niezależne władze z mandatem demokratycznym. Sprawuje kontrolę nad określonym terytorium. Posiada aparat państwowy z monopolem na środki przymusu. I gospodarkę, która pozwala populacji się utrzymać i rozwijać. Ot, kraj jak każdy inny.

W praktyce jednak sytuacja Irlandii jest bardziej skomplikowana. To państwo militarnie neutralne: Irlandczycy nie wysyłają żołnierzy do kontyngentów międzynarodowych, nie kwapią się też z pomocą dla krajów walczących z imperialną agresją – jako jeden z ostatnich krajów w Europie Irlandia nie przekazuje żadnej broni ofensywnej Ukraińcom.

Na papierze ta irlandzka neutralność może wydawać się piękną cnotą. Ale w 2025 r., kiedy świat wszedł w największe turbulencje od końca drugiej wojny światowej, a rosyjskie statki regularnie operują na wodach na północ od Irlandii, taka cnota raczej przeszkadza, niż daje komfort.

Tymczasem – jak pisze na łamach POLITICO Eoin Drea, analityk z Martens Centre for European Studies – irlandzkie bezpieczeństwo było przez ostatnie lata dotowane przez brytyjskich podatników. Brytyjskie lotnictwo i tak patroluje irlandzką przestrzeń powietrzną – oczywiście za zgodą władz w Dublinie. Brytyjczycy wzięli na siebie obserwację wód terytorialnych i monitorowanie rosyjskich jednostek spuszczających kotwicę nad kablami podwodnymi. Dublin otrzymuje też natowskie dane wywiadowcze.

Jak zaważa Drea, wszystko to ma charakter reaktywny. Jeśli ktoś z zewnątrz uzna, że coś ważnego dzieje się wokół Irlandii, interweniuje, a tamtejsze władze są najwyżej biernym obserwatorem. Same nie mogą jednak aktywować żadnej procedury, wezwać nikogo na pomoc, zaalarmować reszty Europy, co o tyle martwi, że geografii nie da się oszukać.

Irlandzkie klify są zewnętrzną rubieżą Unii Europejskiej, latarnią morską na kluczowych szlakach handlowych. Rosjanie już tam są i dlatego zwiększenie odporności Zielonej Wyspy leży w interesie całej Europy. Drea postuluje więc nadanie tej i tak już istniejącej współpracy ram instytucjonalnych w formie porozumienia wojskowego. Po co liczyć na łut szczęścia, skoro można wypracować procedury, wspólnie ćwiczyć, nauczyć się szybkiego reagowania?

Nie musiałoby to oznaczać odejścia od neutralności – w końcu nikt nie każe Irlandczykom nikogo atakować. A nawet jeśli... Cóż, takie czasy. Wystarczy zapytać Szwedów czy Finów.

Problem w tym, że sojusz z Wielką Brytanią – najkorzystniejszy i najłatwiejszy do wdrożenia – obudziłby w Irlandii nacjonalistyczne demony. Wielu Irlandczyków nadal żyje mitem swojego kraju jako permanentnej ofiary brytyjskiego imperializmu. I ten elektorat jest na tyle pokaźny, że doczekał się właśnie swojej reprezentacji na najwyższym szczeblu irlandzkiej władzy.

Nowa prezydent Republiki Catherine Connolly została zaprzysiężona 11 listopada jako dziesiąta osoba na tym stanowisku w historii niepodległej Irlandii. Formalnie niezrzeszona, ma mocno lewicowe

© BRIAN LAWLESS/PA IMAGES/GETTY IMAGES

eprasa.pl f001f96e29

poglądy, kształtowane przez dekady politycznego zaangażowania. 68-letnia aktywistka i prawniczka wygrała październikowe wybory w sposób zdecydowany, ale i sensacyjny.

Wprawdzie nikt nie wykluczał definitywnie jej triumfu, ale mało kto zakładał, że zdobędzie aż 64 proc. głosów, wyraźnie pokonując Heather Humphreys, kandydatkę rządzącej centroprawicowej partii Fine Gael. Connolly udało się zbudować szeroką koalicję poparcia dla swojej kandydatury, jednocząc wszystkie opozycyjne partie lewicowe. A przede wszystkim mówiąc w kampanii o rzeczach, które Irlandczyków ewidentnie bolą, nawet jeśli sama jako głowa państwa nie będzie miała żadnych narzędzi, by tym bolączkom ulżyć.

Irlandia jest bowiem republiką parlamentarną. Prezydent ma więc bardzo ograniczone funkcje, choć jest jedynym politykiem najwyższego szczebla wybieranym bezpośrednio i ma olbrzymi mandat demokratyczny. Najczęściej jest też postacią aktywną publicznie, a także lubianą w społeczeństwie.

Tacy byli poprzednicy Connolly, zwłaszcza Michael D. Higgins i Mary Robinson. Oboje nie pchali się do narzucania czegokolwiek rządowi, nie uznawali się za przedstawicieli egzekutywy w literalnym tego słowa znaczeniu. Wykorzystywali jednak swój mandat do odgrywania roli czegoś na kształt sumienia narodu, co Irlandczykom ewidentnie się podobało.

Connolly zabiera się do tej roli w podobny sposób. Już w przemówieniu inauguracyjnym powiedziała, że za jej kadencji „wszystkie głosy w irlandzkim społeczeństwie zostaną wysłuchane". Nawet takie stwierdzenie może na Zielonej Wyspie wzbudzać kontrowersje, bo jednym z celów jej prezydentury ma być „odnowa języka irlandzkiego".

W jaki dokładnie sposób miałoby się to wydarzyć, nie wiadomo, wszak prezydent nie ma prerogatyw w zakresie polityki edukacyjnej państwa. Trudno też sobie wyobrazić, żeby politycy zmuszali ludzi do mówienia w języku, którym na co dzień posługuje się niecałe 80 tys. osób – a na wyspie mieszka ich 5,3 mln. Wprawdzie, głównie w wyniku reform z poprzednich dekad, podstawową znajomość tego języka deklaruje ponad półtora miliona Irlandczyków, ale nie ma się co oszukiwać, angielski ma tu niezagrożoną pozycję.

W kampanii prezydenckiej padało sporo zapowiedzi, których z racji ograniczonych możliwości urzędu Connolly nie będzie w stanie zrealizować. Obniżenie cen najmu mieszkań i zwiększenie ich dostępności, wyższa jakość usług w ochronie zdrowia, a przede wszystkim bardzo ważny dla niej samej klimat i jego ochrona. To postulaty powtarzane jak refren niemal we wszystkich europejskich wyborach. Wszędzie obecne, ale nigdzie nierozwiązane.

Mimo to od momentu wyboru na urząd prezydenta o Connolly mówiła cała Europa – ale z powodu jej poglądów w polityce zagranicznej, a nie krajowej. Oto bowiem lewicowa prawniczka jest zadeklarowaną przeciwniczką izraelskich działań wojskowych w Gazie, a w czasie kampanii wyborczej z żalem stwierdzała, że w Irlandii, tak mocno dotkniętej imperialistyczną przemocą, doszło do „normalizacji ludobójstwa" – to oczywiście o Palestynie. O Izraelu zdarzało się jej mówić, że to „państwo terrorystyczne".

Jej opinie na temat Hamasu też są kontrowersyjne. Wprawdzie atak z 7 października 2023 r. jednoznacznie potępiła, ale wielokrotnie dodawała też, że Hamas „jest częścią tkanki społecznej" w Palestynie. Przypominała również, że w 2006 r., kiedy ostatni raz przeprowadzano tam wybory, Hamas je wygrał, ma więc w pewnym sensie legitymizację demokratyczną.

Im bliżej Europy, tym gorzej. O ile bowiem ostrą krytykę Izraela można jeszcze zrozumieć – to w tej chwili absolutnie główny nurt zachodnioeuropejskiej lewicy – o tyle już jej postawę wobec sytuacji na Starym Kontynencie trudno zracjonalizować. Nowej pani prezydent zdarzało się krytykować Unię Europejską, którą postrzega przede wszystkim jako neoliberalny pakt gospodarczy. Co jest o tyle kuriozalne, że Irlandia, członek Wspólnoty od 1973 r., jest gigantycznym beneficjentem gospodarczym tego przedsięwzięcia.

Wojna w Ukrainie? Cóż, Rosjanie nie mieli prawa najeżdżać Ukrainy, ale zostali do tego sprowokowani przez NATO, niepotrzebnie rozpychające się na wschodzie Europy. Unia nie powinna absolutnie nikogo przymuszać, nawet zachęcać, do zwiększania wydatków na zbrojenia. A Rosja nie stanowi dla Irlandczyków egzystencjalnego zagrożenia.

Do tego dochodzi kwestia zjednoczenia z Irlandią Północną. Connolly jest zwolenniczką unifikacji – mówi o „konkretnych krokach", powołując się na irlandzką konstytucję. Według art. 3 byłoby to możliwe „przy pełnej zgodzie i woli Irlandczyków", ale to raczej symboliczny zapis. Connolly interpretuje to inaczej, powodując konsternację w Londynie.

Ten zestaw poglądów mógłby niepokoić, gdyby Connolly była kimś więcej niż strażniczką żyrandola. Trudno się spodziewać, żeby opozycyjny wobec niej rząd zaczął mówić językiem rosyjskiej propagandy. Niemniej sam jej wybór na najwyższy urząd pokazuje, że części społeczeństwa takie opinie nie rażą.

W całej tej układance dotyczącej lewicy, Izraela i suwerenności jest jednak jeszcze jeden temat, od którego Connolly może nie uciec: gospodarka. Irlandia przez ostatnie dekady zrobiła bowiem gigantyczny postęp ekonomiczny, oparty wszakże na dość kontrowersyjnym dzisiaj filarze – bardzo niskich podatkach dla amerykańskich firm technologicznych. Zwłaszcza Meta i Google, zatrudniając tysiące młodych ludzi, w tym wielu imigrantów, także spoza Europy, na dobre zadomowiły się w Dublinie, tworząc miejsca pracy, ale niewiele ponad to.

W dobie rosnącej automatyzacji, maszyn probabilistycznych zastępujących ludzi oraz relokacji centrów usług do takich krajów jak RPA czy Indie, Irlandia może zaraz mieć olbrzymi problem z bezrobociem, zablokowanymi kanałami awansu społecznego, frustracją młodych ludzi. Oraz – co może dla Connolly akurat ważniejsze – z klimatem.

Przychylna ordynacja podatkowa i deregulacja sektora technologicznego już sprawiają, że giganci z tej branży budują tam olbrzymie centra danych. Rząd zezwolił na zasilanie ich energią z paliw kopalnych, co obciąży środowisko. A inwestycje te nie tworzą wielu miejsc pracy – średnio przypada ich nieco ponad 100 na jedno centrum, podczas gdy z powodu automatyzacji pracę tracą dziesiątki tysięcy osób.

Nie mówiąc już o tym, że bezpieczeństwo technologiczne wiąże się z bezpieczeństwem narodowym. Być może więc pani prezydent będzie musiała się przeprosić przynajmniej z częścią europejskich sąsiadów. Kiedy walczysz o przetrwanie, sojusze nie są takie złe. ■

eprasa.pl f001f96e29



Co kilkadziesiąt godzin ginie w Polsce wilk zastrzelony z broni palnej. Bo podobno wilki pustoszą łowiska. Tymczasem myśliwi w ciągu roku zabijają pół miliona saren i jeleni. Setki tysięcy dzików. Dziesiątki tysięcy lisów. Wilki nie są winne. O tym, co się dzieje w lasach, opowiada biolożka prof. Sabina Pierużek-Nowak.

Stan przedobławowy

JĘDRZEJ WINIECKI: – **W PRL wilki mógł zabijać każdy. Dziś coraz częściej pomstuje się na duże drapieżniki. Wraca atmosfera obławy?**

SABINA PIERUŻEK-NOWAK: – W 2021 r. opublikowaliśmy artykuł, w którym wykazaliśmy, że w Polsce nielegalnie z broni palnej zabija się co najmniej 140 osobników rocznie. Do obliczeń przyjęliśmy populację oszacowaną przez Główny Inspektorat Ochrony Środowiska w 2019 r. na ok. 2 tys. osobników i dane o przeżywalności dostarczone przez 16 wilków, którym w latach 2014–20 założyliśmy obroże telemetryczne. Pięć z nich nielegalnie zastrzelono. Po publikacji badaliśmy telemetrycznie razem z naukowcami z Wydziału Biologii Uniwersytetu Gdańskiego kolejne 14 wilków. Zastrzelono połowę z nich.

Kto bezprawnie zabija wilki?

Policyjne śledztwa i okoliczności śmierci wskazują, że przede wszystkim są to myśliwi. Przykładem dorosły samiec Miko, zabity koło Kluczborka na polu przed amboną. Przybył tam z Puszczy Bydgoskiej, pokonując kilkaset kilometrów. Głowę odcięto, ciało ukryto, a obrożę zakopano w sąsiednim obwodzie łowieckim, aby rzucić podejrzenia na tamtejszych myśliwych. Dzięki danym przesłanym przez obrożę wiedzieliśmy, skąd i kiedy został zastrzelony. Prawdopodobni sprawcy to majętni i wpływowi myśliwi, którzy polowali w tym miejscu i dniu. Mimo ewidentnych dowodów i sprzecznych zeznań podejrzanych śledztwo zostało umorzone przez prokuraturę w Kluczborku.

Co na to Polski Związek Łowiecki?

Pomimo niewątpliwych przypadków kłusowania przez myśliwych, dotyczących też żubrów i rysi, Zarząd Główny PZŁ nie wydał oświadczenia piętnującego takie zachowania. Nie dostrzegł niczego zdrożnego w łamaniu prawa, w zabijaniu ściśle chronionych zwierząt. Zamiast tego od wielu lat, a teraz szczególnie często, napływają do Ministerstwa Klimatu i Środowiska oraz do posłów apele o rozpoczęcie odstrzału wilków. Wiem, że tylko nieduża część polujących zabija nielegalnie wilki i inne zwierzęta chronione. Jednak ci, którzy tak brutalnie łamią prawo, skutecznie podkopali zaufanie znacznej części społeczeństwa do wszystkich myśliwych. Przeraża to, że niektóre fora łowieckie czy profile członków PZŁ w mediach społecznościowych otwarcie gloryfikują nielegalne zabijanie lub rozpowszechniają kłamliwe informacje o wilkach, nastawione na potęgowanie strachu i nienawiści.

Co mówią myśliwi przyłapani na zastrzeleniu wilka? Mylą go z dzikiem?

Nie za bardzo mogą się usprawiedliwiać pomyłką. Od 2017 r. do nocnych polowań na dziki i lisy można używać urządzeń nokto- i termowizyjnych. Też korzystamy z takich urządzeń,

© ANDRZEJ ADAMCZEWSKI

eprasa.pl f001f96e29

ale do badań nad wilkami i rysiami. To świetny sprzęt. Precyzyjnie odróżnia się wilka i rysia od dzika czy człowieka od dzika. Myśliwi są wyposażeni coraz lepiej. Widzimy, że noszą broń z lunetami termowizyjnymi albo oddzielne lunety. Mogą sobie na nie pozwolić, bo za każdego zastrzelonego dzika, a zabija się je przede wszystkim podczas nocnych polowań, dostają kilkaset złotych. To zapłata za usunięcie ze środowiska dzików potencjalnie zarażonych wirusem afrykańskiego pomoru świń.

I przy okazji myśliwi dochodzą do wniosku, że trzeba wbrew prawu ograniczać populację wilka?

Złapanie za rękę zdarza się skrajnie rzadko, a i wtedy brak pewności, czy winny zostanie skazany. Niejeden sprawca zidentyfikowany przez policję został uniewinniony. Sędzia z sądu rejonowego w Zamościu nie uznała za jednoznaczne dowodów dostarczonych przez prokuratora o winie myśliwego, który zastrzelił wilka Kosego przy granicy Roztoczańskiego Parku Narodowego. Wiele spraw pod byle pretekstem umarza już prokuratura. Albo śledztwa z różnych przyczyn utykają.

Dotkliwie odczuwamy brak profesjonalnej służby wyspecjalizowanej w zwalczaniu przestępstw przeciwko przyrodzie. Naukowcy i organizacje przyrodnicze od lat domagają się utworzenia Państwowej Straży Ochrony Przyrody, która posiadałaby uprawnienia policyjne, broń i niezbędny sprzęt, miała pełną wiedzę dotyczącą prawa ochrony przyrody, wiedziała, jak gromadzić i zabezpieczać dowody w takich postępowaniach. A także potrafiła przeprowadzać działania odstraszające dzikie zwierzęta, ich odłowy lub uśmiercanie, kiedy jest taka pilna potrzeba.

Tu trzeba podkreślić, że wilki, chociaż ściśle chronione od 1998 r., mogą być za zgodą GDOŚ odstrzeliwane lub uśmiercane na wniosek urzędów gmin lub osób, jeśli są to osobniki ewidentnie konfliktowe, np. wyspecjalizowane w zabijaniu inwentarza, notorycznie pojawiające się wśród zabudowy, lub osobniki chore i śmiertelnie ranne. W 2024 r. wydano 39 takich zgód na blisko 100 wilków. Chodzi o to, by w takich sytuacjach służby ochrony przyrody nie były skazane na często niechętnych myśliwych.

Paradoksem jest, że w każdym urzędzie wojewódzkim funkcjonuje kilkuosobowa Państwowa Straż Łowiecka, której zadaniem jest zwalczanie kłusownictwa wobec pospolitych zwierząt łownych (ich liczebność sięga 2,7 mln), oraz Państwowa Straż Rybacka zwalczająca kłusownictwo na wodach śródlądowych. A nie ma formacji do zwalczania poważnych przestępstw wobec rzadkich czy chronionych gatunków zwierząt, roślin i grzybów.

Dlaczego zabija się wilki?

Najpewniej z niechęci do konkurencji w tzw. łowisku. Z wieloletnich badań wiemy, że wilki żywią się głównie dzikimi zwierzętami kopytnymi. Myśliwi są tego świadomi. Dlatego tak często słychać narzekania, że wilki wybiły w łowisku już całą tzw. zwierzynę, czemu przeczą dane z inwentaryzacji łowieckich, a szczególnie odstrzały łownych zwierząt kopytnych grubo przekraczające co roku 500 tys. osobników. Nielegalne zabijanie wilków nasiliło się, gdy w 2015 r. rozpoczęto w Polsce zwalczanie ASF. W latach 2019–24 myśliwi zastrzelili w całym kraju blisko 1,3 mln dzików. Z tego tytułu otrzymali z budżetu państwa ponad 539 mln zł. Każdy dzik zabity przez wilki to konkretna strata finansowa dla myśliwego.

> W latach 2019–24 myśliwi zastrzelili w całym kraju blisko 1,3 mln dzików. Z tego tytułu otrzymali z budżetu państwa ponad 539 mln zł.

> Organizacje przyrodnicze od lat domagają się utworzenia Państwowej Straży Ochrony Przyrody, która posiadałaby uprawnienia policyjne.

Czy boi się pani wilków?

Nie.

A chodzić po lesie w nocy?

Absolutnie. Prowadząc badania z użyciem telemetrii, odławiamy wilki, zakładamy nadajniki telemetryczne i regularnie przebywamy w miejscach, gdzie prawdopodobieństwo ich spotkania jest wysokie. Zakładając obrożę z nadajnikiem na odłowionego w nocy wilka, mam świadomość, że w pobliżu w ciemnościach krąży reszta jego grupy rodzinnej. Nasz zespół jest niewielki. Pochylamy się we dwójkę, rzadziej w trójkę, nad zwierzęciem, przeprowadzając niezbędne procedury badawcze. Jesteśmy łatwym celem, a mimo to nigdy nie zostaliśmy zaatakowani. Nie nosimy broni ani nawet gazu pieprzowego. Podczas badań podchodzimy też blisko do wilków, nawet na kilka, kilkanaście metrów, gdy konieczna jest szybka ocena kondycji osobnika, np. po uwolnieniu zrehabilitowanego wilka wydobytego z wnyków lub po wypadku drogowym.

W takich sytuacjach jesteśmy przeważnie w pojedynkę, bo im mniej osób, tym wyższe prawdopodobieństwo zaobserwowania wilków. Zajmujemy się tym od 30 lat i ciągle żyjemy. Co więcej, żaden z licznych badaczy wilków w Polsce, Europie i na świecie nie ucierpiał z tego powodu.

Skąd wiadomo, ile mamy wilków?

Coroczna dokładna ocena, szczególnie przy populacji o tak szerokim zasięgu jak w Polsce, jest skrajnie trudna. Wymagałaby ogromnych nakładów finansowych i armii ludzi, a i tak uzyskana liczebność stanie się za pół roku nieaktualna, z uwagi na coroczny rozród, transgraniczne dyspersje i różnorodne, trudne do oszacowania czynniki śmiertelności. Można natomiast szacować liczbę wilków w sposób pośredni. Wykorzystując wyniki badań z użyciem telemetrii i technik genetycznych, uwzględniające zgęszczenia tych drapieżników na jednostkę powierzchni, można obliczyć, ile tych drapieżników żyje w całym kraju. Wilcze grupy rodzinne są ściśle terytorialne i mają ogromne wymagania przestrzenne. W lasach rodzina może zajmować terytorium od 250 km kw., czyli 25 tys. ha, ale już w mozaice lasów i pól ich terytoria mogą sięgać 400 km kw. i więcej. Szacunki przeprowadzone tą metodą pozwoliły nam w 2023 r. ocenić polską populację na ok. 3,5 tys. osobników.

Główny Urząd Statystyczny twierdzi, że było ich wtedy nad Wisłą 5 tys.

Zwykła sufitologia. Dane do GUS trafiają z regionalnych dyrekcji ochrony środowiska. Oparte są m.in. na informacjach o liczbie wilków na danym terenie przekazanych przez nadleśnictwa i koła łowieckie. Koła łowieckie i nadleśnictwa mają tendencję do mocnego zawyżania liczebności wilków na swoich terenach, ▶

eprasa.pl f001f96e29

▶ choć wcale mogą nie mieć takiego zamiaru. Powierzchnia nadleśnictw i obwodów łowieckich jest mniejsza niż wilczych terytoriów. Jedna wilcza grupa rodzinna, licząca 6–8 osobników, zajmuje obszar czterech czy pięciu obwodów. Często każde z kół dzierżawiących sąsiednie obwody liczy i raportuje osobno te same wilki. Tak z jednego wilka robi się kilka.

Wilków jest już dość?

Aby powiedzieć, czy wielkość populacji jest optymalna, musielibyśmy mieć dokładne dane o liczbie dzikich zwierząt kopytnych. Tych nie ma, bo także inwentaryzacje łowieckie prowadzone obecnymi metodami są mało rzetelne. Jednak podawane co roku liczby wskazują na trend. Dzikich zwierząt kopytnych przybywa. Tym samym zwiększa się baza pokarmowa wilków i więcej z nich może się wyżywić.

Pamiętajmy, że wilki nie tylko się rozmnażają. Także umierają, a ich śmiertelność jest bardzo wysoka. Cierpią na rozmaite choroby, zwłaszcza odkleszczowe. Zabijają je pasożyty, m.in. świerzbowiec drażniący, który uśmierca całe mioty szczeniąt. Giną w potyczkach o terytoria z obcymi wilkami. Starzeją się, w wieku 10–12 lat tracą zęby i umierają z głodu. Na drogach co roku kierowcy zabijają co najmniej 90 wilków. Okaleczone przez samochody lub poważnie chore wilki często pokazują się przy zabudowaniach, szukając pożywienia wyrzuconego przez ludzi.

Podchodzą i budzą grozę.

Warto rozwiać dwa podstawowe mity. Po pierwsze, nie jest prawdą, że w wyniku ochrony wilki zatraciły lęk przed ludźmi. Nie mają go przecież gatunki, które od lat są zabijane z ogromną intensywnością. Sarny, dziki i jelenie powszechnie obserwuje się przy zabudowaniach, a nawet w dużych miastach. Podobnie spotkanie lisa nie jest żadnym wydarzeniem, chociaż ponad 200 tys. ich pobratymców, w tym partnerów, bo lisy żyją w parach, jest zabijanych przez myśliwych rocznie. Zwierzęta te nie odczuwają nadmiernego lęku, bo martwe osobniki nie są w stanie przekazać innym tego negatywnego doświadczenia. Prawdopodobnie ani one, ani ich towarzysze nie wiedzą, co jest przyczyną śmierci, jeśli strzał pada z ambony.

Po drugie, zabijanie zwierząt gospodarskich, nawet w pobliżu zabudowań, to nie dowód rozzuchwalenia wilków wskutek ich ochrony. Ataki na inwentarz zdarzają się zawsze w obszarach występowania wilków i innych dużych drapieżników (a także wałęsających się psów). I nie ma znaczenia status prawny drapieżnika. Szkody w inwentarzu występują i tam, gdzie wilk jest ściśle chroniony, i tam, gdzie myśliwi na niego polują, a czasami wręcz nasilają się podczas sezonu łowieckiego. Badania naukowe wyjaśniły to zjawisko.

Zabijanie najstarszych, doświadczonych osobników prowadzi do rozbijania grup rodzinnych. Podrośnięte szczenięta i młodzież bez nadzoru i pomocy dorosłych, zwłaszcza pary rodzicielskiej, a to przede wszystkim ona poluje i dostarcza pożywienie, starają się zdobyć żywność w jakikolwiek inny sposób, bo jeszcze nie umieją polować na dzikie zwierzęta kopytne.

Także na koszt hodowców.

W 2022 r. wilki zabiły 330 krów, czyli 0,003 proc. polskiego bydła. A także ok. 1,4 tys. owiec, czyli 0,5 proc. pogłowia, do tego pięćdziesiąt kilka kóz, kilka koni i 26 psów. Takie straty są zaledwie ułamkiem procenta śmiertelności inwentarza z powodu chorób, komplikacji przy porodzie, zaniedbań hodowców czy najróżniejszych wypadków losowych.



© MICHAŁ FIGURA

Dr hab. **Sabina Pierużek-Nowak** – biolożka, prof. Uniwersytetu Warszawskiego, założycielka i szefowa Stowarzyszenia dla Natury „Wilk", od 30 lat bada wilki i inne duże drapieżniki. Tegoroczna laureatka Medalu im. Ludwika Tomiałojcia przyznawanego przez Komitet Biologii Środowiskowej i Ewolucyjnej PAN, uhonorowana „za zasługi dla badań i ochrony różnorodności biologicznej w Polsce, w tym w szczególności w zakresie nauki obywatelskiej oraz edukacji przyrodniczej".

Mamy sprawnie funkcjonujący system wypłat odszkodowań za szkody spowodowane przez pięć gatunków chronionych: wilki, rysie, niedźwiedzie, bobry i żubry. W 2023 r. wypłacono rolnikom z tego tytułu 51,4 mln zł. Podobnie jak w poprzednich latach najwięcej, bo ok. 43,5 mln zł, za skutki działalności bobrów. Ok. 4,2 mln zł za szkody w uprawach powodowane przez żubry. Ataki wilków na zwierzęta gospodarskie kosztowały budżet państwa mniej niż 3 mln zł. Jak już wspomniałam, wilki głównie jedzą dzikie zwierzęta kopytne, to 85–95 proc. masy ich pokarmu. A co może zainteresować rolników, regularnie polują na sarny, jelenie i dziki na polach, zmniejszając populacje tych roślinożerców czyniących dotkliwe szkody w uprawach. Polują też bardzo skutecznie na bobry, będące łatwą zdobyczą w porze obniżenia poziomu wód. Są miejsca w Polsce, gdzie bobry stanowią 40 proc. zjadanej przez wilki biomasy.

Inwentarz to zaledwie kilka procent diety wilków w Polsce. Jak wskazują badania telemetryczne, często jest to padlina krów czy owiec, nielegalnie wywieziona w zagłębienia terenu na obrzeżach pól.

Według hodowców odszkodowania są niewystarczające.

Pieniądze za szkody w inwentarzu wypłacane są od 1997 r. przez Skarb Państwa, to jeden z pierwszych takich mechanizmów w Europie. Specjaliści z regionalnych dyrekcji ochrony środowiska przeprowadzają wizje terenowe i weryfikują roszczenia. Nie są wypłacane odszkodowania, gdy zwierzęta nie były zakolczykowane. Wielu mniejszych hodowców lekceważy ustawowy obowiązek zakładania kolczyków. Drobni hodowcy nie przywiązują też szczególnej wagi do skutecznych metod ochrony inwentarza.

Mieszkam na pograniczu Beskidu Śląskiego i Żywieckiego. Jeden z tamtejszych hodowców ma 1,5 tys. owiec i kilkaset krów. Nie notuje strat, choć wypasa je w centrum terytorium najstarszej z beskidzkich wilczych grup. Tylko że ma pasterzy, porządne ogrodzenia elektryczne i tzw. fladry, czyli paski czerwonego materiału przyszyte do cienkiego długiego sznura i rozpięte na tyczkach dookoła miejsc nocowania stada. Kiedyś stosowano je w polowaniach na wilki, bo z dotąd nieustalonych powodów

eprasa.pl f001f96e29

drapieżniki te panicznie boją się pod nimi przechodzić. Teraz przydają się do ochrony pasących się stad w Polsce, Niemczech, we Włoszech i innych państwach Unii Europejskiej, a nawet w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie.

Podczas oględzin zabitych zwierząt hodowlanych obowiązkiem urzędników jest ustalić, czy sprawcami nie były psy wałęsające się bez nadzoru. Jak dowodzą nagrania z fotopułapek i monitoringu przemysłowego, takie osobniki niezwykle skutecznie zabijają owce, kozy i cielęta krów, a także fermowe daniele. Łatwo zapominamy, że mamy w kraju 8 mln psów i że co roku ok. 20 tys. osób zostaje przez nie bardziej lub mniej dotkliwie pogryzionych. Ok. 5 tys. osób trzeba z tego powodu szczepić przeciwko wściekliźnie, a kilkaset – hospitalizować.

Ile osób zostaje pogryzionych przez wilki?

Przez dzikie wilki – nikt.

Tymczasem do krytyki wilków zabrali się politycy – radykalne partie protestu, jak AfD czy Konfederacja. Europejska Partia Ludowa (EPL) też marzy o strzelaniu. Skąd ta żądza wilczej krwi ponad podziałami?

Po raz kolejny w historii strach przed wilkiem jest wykorzystywany do politycznych celów. Trzech europosłów z EPL – z Niemiec, Austrii i włoskiej części Tyrolu – postanowiło zapewnić sobie poparcie elektoratu wiejskiego i łowieckiego, lobbując za obniżeniem statusu ochronnego wilka. Najpierw w konwencji berneńskiej (o ochronie gatunków dzikiej flory i fauny europejskiej oraz ich siedlisk – przyp. red.), a następnie w dyrektywie siedliskowej, jednym z najważniejszych aktów prawnych dotyczących ochrony przyrody w UE. Na posiedzeniach EPL i podczas wystąpień w Parlamencie Europejskim celowo straszą innych europosłów wilkami, opowiadając nieprawdziwe historie o ogromnym zagrożeniu dla bezpieczeństwa społeczności wiejskich. Europarlamentarzyści słuchają i nie są w stanie zweryfikować tych rewelacji.

Wszystko wskazuje na to, że tej narracji uległa także należąca do EPL przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen, co spowodowało gwałtowną zmianę podejścia KE do wilków. Jeszcze pod koniec 2022 r. stanowczo oponowała przeciwko wnioskowanemu wówczas przez Szwajcarię obniżeniu statusu wilka w konwencji berneńskiej, nawoływała do ochrony dużych drapieżników i do lepszego wykorzystania przez państwa członkowskie pokaźnych środków unijnych z Funduszu Rolnego na ochronę inwentarza i odszkodowania dla hodowców.

A w Polsce?

W obecnym Sejmie nie jest lepiej. Uczestniczę jako ekspert w posiedzeniach komisji ds. rolnictwa czy środowiska, ilekroć dotyczą wilków, i trudno mi uwierzyć w to, co słyszę. Niektórzy posłowe z Konfederacji, z PiS, a czasami z PSL, regularnie i dość napastliwie podają w wątpliwość wiedzę naukową i dane agencji rządowych. W zamian opowiadają historie o krwiożerczych wilkach, zagrożeniu dla ludzi i niezliczonych szkodach w inwentarzu zasłyszane na spotkaniach wyborczych. Prezentują je jako niepodważalne fakty. Byłoby fatalnie, gdyby mimo ogromnego zasobu danych o wilkach, zgromadzonego w ramach żmudnych projektów badawczych i rządowych systemów gromadzenia informacji, o dalszym losie wilków w Polsce miały zdecydować partykularne interesy polityczne i te mrożące krew w żyłach opowieści.

ROZMAWIAŁ JĘDRZEJ WINIECKI

REKLAMA






9.

Śląski Festiwal Nauki Katowice

6–8 grudnia 2025

Międzynarodowe Centrum Kongresowe

Eksperymentuj i wybieraj spośród ponad 25 scen i 200 stanowisk pokazowych, licznych warsztatów, wystaw, koncertów i konkursów! Zapisz się też na Wieczór w Mieście Nauki – spektakl EXPERYMENT inspirowany stanfordzkim eksperymentem więziennym.

Pobierz bezpłatną wejściówkę i bądź z nami podczas 9. Śląskiego Festiwalu Nauki Katowice!

eprasa.pl f001f96e29

Siostra agresja

W świecie ludzi i zwierząt w statystykach przemocy zwykle dominują samce. W stosunkach między rodzeństwem reguła ta przestaje obowiązywać.

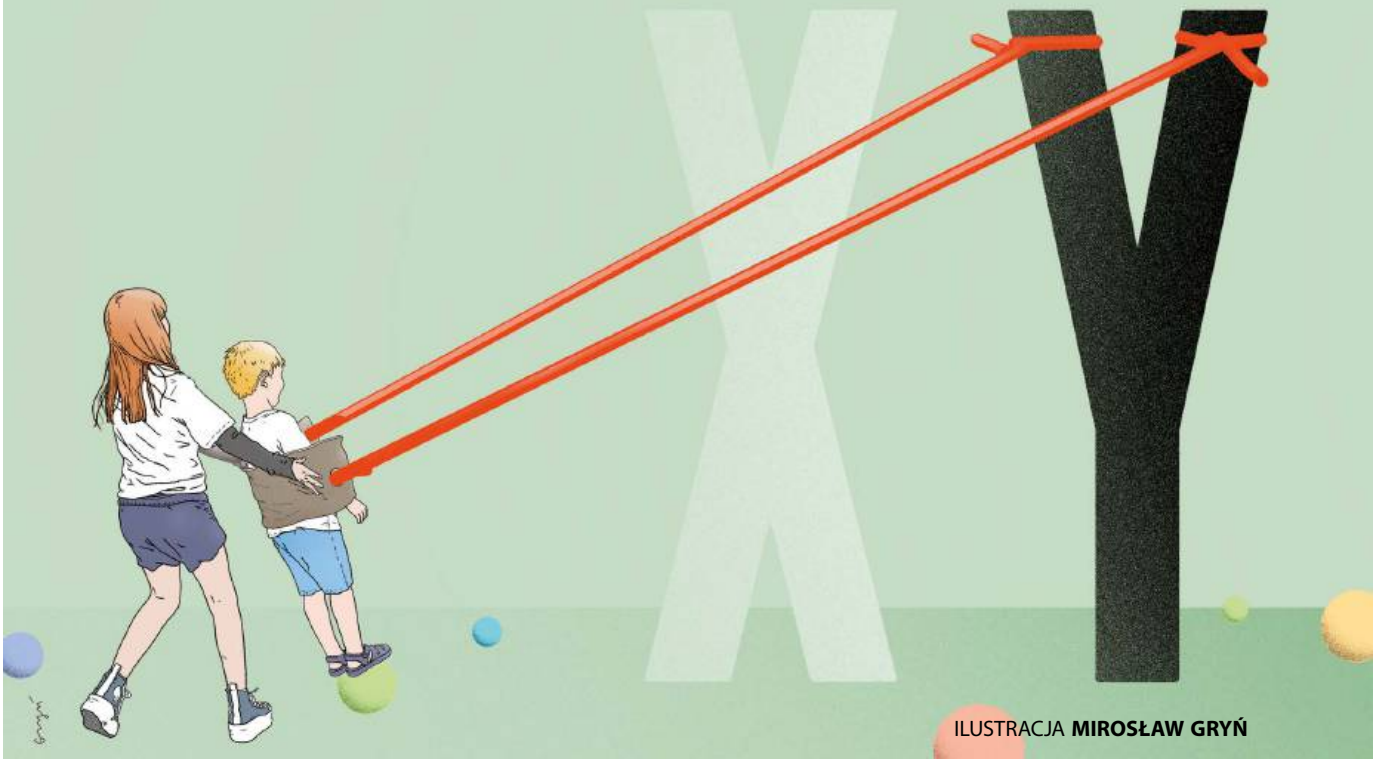

ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

KASPER KALINOWSKI

Przez dekady sprawa wydawała się oczywista. Setki badań potwierdzały, że mężczyźni są bardziej agresywni od kobiet. Na gruncie ewolucyjnym przekonująco wyjaśnił to Robert Trivers w teorii inwestycji rodzicielskich. Ten amerykański biolog zgrabnie opisał asymetrię, jaką na polu selekcji seksualnej obserwujemy między płciami – kilkanaście milionów plemników produkowanych na godzinę przez organizm dorosłego mężczyzny oraz kilkaset komórek jajowych produkowanych w ciągu całego życia kobiety. To przyczyna odmiennych zachowań (zwłaszcza różnic w poziomie agresji i męskiej skłonności do rywalizacji) oraz ważna składowa odpowiedzi na pytanie, dlaczego niemal wszędzie kobiety średnio żyją dłużej niż mężczyźni.

U większości gatunków to panowie odpowiadają za zaloty, są mniej wybredni, bardziej rozwiązli i agresywni. Bo mają o co rywalizować. To powszechna reguła w świecie przyrody – samice większości gatunków kręgowców są skłonne do kojarzenia się z samcami, które wykazują przewagę. A większość panów i tak nie osiągnie sukcesu reprodukcyjnego, czyli nie doczeka się potomstwa. W toku ewolucji nasilało to konkurencję.

Uniwersalność różnic potwierdza również fakt, że we wszystkich społeczeństwach i epokach sprawcami większości zabójstw byli mężczyźni. Nawet współcześnie, w erze kamer przemysłowych i polityki równościowej, najgroźniejsza pozostaje przemoc na linii mężczyzna–mężczyzna. Wystarczy odwiedzić losowo wybrane więzienie w dowolnym kraju świata. Niemal zawsze natrafimy na nadreprezentację mężczyzn (w polskich więzieniach ok. 95 proc. osadzonych to mężczyźni).

Sprawa komplikuje się jednak, gdy przyjrzymy się relacjom w rodzeństwie. Agresja w jego obrębie rządzi się innymi regułami. Nowsze publikacje wskazują, że siostrzane czy braterskie więzi to szczególna relacja oparta na wzajemnej pomocy, ochronie reputacji oraz... na agresji.

Przepychanki i lojalność

Ubiegłoroczne badanie zespołu ekspertów kierowanego przez Amandę Kirsch, psycholożkę z Uniwersytetu Stanowego Arizony, jako jedno z pierwszych wykazało, że różnice międzypłciowe w przemocy zanikają w przypadku rodzeństwa. Jak stwierdzają autorzy,

eprasa.pl f001f96e29

„codzienne akty bezpośredniej agresji między rodzeństwem są powszechne i nie wykazują typowych różnic między płciami występujących między osobami niespokrewnionymi".

Zarówno mężczyźni, jak i kobiety zgłaszali, że biją rodzeństwo i krzyczą na nie z podobną intensywnością i częstością. W praktyce oznacza to, że niemal połowa badanych kobiet przyznała, że co najmniej raz uderzyła siostrę lub brata. Tu ważne zastrzeżenie: nie chodzi o przemoc patologiczną czy seksualną (którą interesują się sądy dla nieletnich), lecz raczej o niegroźne przepychanki czy wyzwiska.

Ponadto agresja ze strony rodzeństwa była postrzegana inaczej niż ta przejawiana przez osoby niespokrewnione. W ponad 85 proc. przypadków opisano ją jako jednoznacznie intencjonalną. W porównaniu z nią agresja przyjaciół czy znajomych częściej była traktowana jako zabawa, która wymknęła się spod kontroli, lub wypadek. Co szczególnie ciekawe, wzorce przemocy między rodzeństwem utrzymywały się zarówno w dzieciństwie, jak i w dorosłości.

Te ustalenia dotyczą jednak tylko agresji bezpośredniej. Jeśli chodzi o słowną, niszczącą reputację, jak plotkowanie, to okazuje się, że chronimy rodzeństwo. Mimo częstych kontaktów i rozległej wiedzy, którą można z łatwością wykorzystać, bracia i siostry to ludzie, na których temat plotkujemy zdecydowanie rzadziej niż o znajomych.

Reguły i wyjątki

Autorzy podkreślają wszakże, że ich badania dotyczyły wyłącznie Stanów Zjednoczonych. Analizowano głównie osoby z grupy, którą psycholodzy określają przewrotnie jako WEIRD (ang. dziwna). Akronim ten pochodzi od słów: zachodnia (*western*), wykształcona (*educated*), uprzemysłowiona (*industrialized*), zamożna (*rich*) i demokratyczna (*democratic*). Określenia tego użył po raz pierwszy w swoim artykule z 2010 r. Joseph Heinrich, antropolog z Uniwersytetu Kolumbii Brytyjskiej. Uznawanie WEIRD za ogólnoświatową normę to częsty grzech psychologii. Nie popełniono go jednak w przypadku badań nad agresją – pojawiła się bowiem analiza międzykulturowa.

W publikacji na łamach „PNAS Nexus" przeanalizowano dane z różnych kultur. Międzynarodowy zespół ekspertów przebadał ponad 4 tys. osób z 24 tak różnych od siebie społeczeństw jak Pakistan, Senegal, Tajlandia, Chile, Zambia, Korea Południowa, USA i kraje europejskie, jak Włochy czy Wielka Brytania. W tym przypadku także posłużono się szeroką definicją agresji, która obejmowała zarówno jej wersję bezpośrednią (bicie, policzkowanie lub krzyczenie), jak i tę wymierzoną w czyjąś reputację, czyli np. plotkowanie.

Jeśli chodzi o tę pierwszą, dziewczynki i kobiety okazały się nieco bardziej agresywne wobec rodzeństwa niż chłopcy i mężczyźni. Również w dorosłym życiu. Czynniki socjoekonomiczne, stopień zamożności społeczeństwa czy równość płci w danym kraju nie odgrywały żadnej roli. Tylko w Tajlandii i Niemczech przemocy częściej dopuszczali się bracia. Aby dodatkowo wzmocnić wnioski, badacze przeanalizowali agresję badanych wobec osób niespokrewnionych. W tym przypadku powrócił klasyczny wzór męskiej dominacji – chłopcy częściej stosowali przemoc bezpośrednią wobec osób niebędących ich rodzeństwem.

Jeśli nie przekonują nas dane z badań opartych na deklaracjach i samoocenie (to kolejny grzech psychologii), potwierdzenie wyjątkowego natężenia przemocy między rodzeństwem znajdziemy również w unikatowym eksperymencie wykorzystującym wirtualną rzeczywistość. Uczestnicy zakładali gogle VR, a następnie wchodzili w interakcję z awatarem ich brata lub siostry. Wcześniej im powiedziano, że jest on kontrolowany przez rodzeństwo siedzące w innym pokoju (w rzeczywistości był sterowany przez asystenta badacza). Eksperyment składał się z dwóch gier, w których uczestnicy musieli w ciągu 30 sekund zbudować jak najwyższą wieżę z klocków lub zbić ze stołu wszystkie puszki w jak najmniejszej liczbie rzutów. Wszystko obmyślono tak, żeby tych zadań nie dało się wykonać lepiej niż druga strona (asystent). W świecie wirtualnym rodzeństwo wywoływało gniew graczy, który prowadził do bezpośredniej agresji (uderzenia wirtualnego rodzeństwa), sabotowania cudzej pracy (np. burzenia wież) lub docinków u 65 proc. uczestników.

Geny i zasoby

Rodzeństwo zabiega o miłość, uwagę i dochody tych samych rodziców. Rości sobie prawo do ograniczonych zasobów. Mimo że dzieli ze sobą średnio połowę genów, w takiej sytuacji konflikty wydają się nieuchronne. A dominacja kobiet to niejedyny wyjątek od reguł rządzących ludzką agresją. Jak wskazuje para klasyków psychologii ewolucyjnej Martin Daly i jego żona Margo Wilson, oboje z Kanady, „jednym z ważnych uogólnień płynących z badań nad przemocą jest to, że agresja wśród krewnych stosunkowo rzadko wiąże się ze śmiertelną przemocą". Dotyczy to zwłaszcza rodzeństwa. To jedna z nielicznych relacji, w których tak częsta i intensywna przemoc nie prowadzi do czyjejś śmierci – i nie oznacza braku empatii (liczne badania dowiodły przecież, że w sytuacjach wymagających pomocy rodzeństwo ma zwykle pierwszeństwo).

Daly i Wilson analizowali dane etnograficzne w poszukiwaniu mężczyzn zabijających własnych braci. Jedyne przypadki, na jakie trafili, dotyczyły społeczeństw rolniczych – i obowiązujących tam niekorzystnych dla młodszych braci zasad dziedziczenia. Większość sporów dotyczyła więc własności i władzy. To reguła, którą Daly i Wilson później potwierdzili również w społeczeństwach uprzemysłowionych. Fakt, że opowieści o nich pojawiają się w różnych epokach i kulturach, może świadczyć o uniwersalności zjawiska.

Kain i Abel

W tradycji judeochrześcijańskiej echa konfliktu o uwagę rodziców i zasoby znajdziemy w Biblii – Kain zabił Abla. W islamie przykładem niech będzie sułtan Mehmet II, władca imperium osmańskiego, który uwięził własnych braci, po czym zabił ich, gdy spłodził następcę tronu.

Znikomy odsetek zabójstw rodzeństwa u ludzi stanowi wyjątek na tle świata zwierzęcego. Bratobójstwo występuje powszechnie wśród owadów, ptaków i ssaków. Hieny, zwłaszcza w sytuacji niedoborów pokarmu i miotów tej samej płci, zabijają nawet jedną czwartą rodzeństwa. Jednym z nielicznym wyjątków są blisko spokrewnione z nami szympansy. Starsze rodzeństwo potrafi przejąć opiekę nad młodszym po stracie matki, a śmierć bliskiego powoduje zbliżoną do ludzkiej żałobę.

Trudno nie zgodzić się z Danielem Kruppem, kryminologiem z Uniwersytetu Lakehead, który zauważył: „W relacjach między rodzeństwem istnieje pewien rytm. W dzieciństwie czujemy urazę do swoich braci i sióstr. W dorosłym życiu ich wspieramy. Po odczytaniu testamentu – pozywamy. Choreografem tego tańca, podobnie jak wielu innych, jest rywalizacja". ■

eprasa.pl f001f96e29


ORLEN
Energia jutra
zaczyna się dziś
ORLEN
RÓBMY
Z ENERGIĄ


eprasa.pl f001196e29

Serce na całe życie

Najgroźniejsze choroby sercowo-metaboliczne rozwijają się po cichu, bezobjawowo – ostrzega dr hab. n. med. Tomasz Gąsior, prof. AWSB, laureat tegorocznej Nagrody Naukowej POLITYKI w kategorii nauki o życiu.



© LESZEK ZYCH

Dr hab. n. med. **Tomasz Gąsior**, kardiolog, prof. Akademii WSB, gdzie pracuje w Collegium Medicum. Doktorat obronił w 2020 r. na Śląskim Uniwersytecie Medycznym, badając mechanizmy związane z chorobami sercowo-naczyniowymi i metabolicznymi.

MARTA ALICJA TRZECIAK: **– Często mówimy, że naukowcy stają na ramionach gigantów. Czy to samo dotyczy lekarzy?**

TOMASZ GĄSIOR: –To prawda, w nauce, a szczególnie w medycynie, nikt nie działa w próżni. W moim przypadku to powiedzenie ma bardzo osobisty wymiar. Już w czasie studiów spotkałem ludzi, którzy potrafili połączyć kliniczne myślenie z naukową dociekliwością, i to oni pokazali mi, że nowoczesna medycyna opiera się nie tylko na praktyce, lecz również na zrozumieniu biologicznych i molekularnych mechanizmów choroby.

Decyzja o połączeniu działalności klinicznej z naukową wynikała z potrzeby głębszego zrozumienia procesów, które obserwuję u pacjentów. Chciałem wiedzieć, dlaczego choroba rozwija się w określony sposób, co sprawia, że leczenie u jednych jest skuteczne, a u innych nie przynosi oczekiwanych efektów. Z czasem stało się dla mnie oczywiste, że tylko poprzez badania naukowe można naprawdę wpływać na praktykę kliniczną i rozwój medycyny opartej na dowodach.

To wymaga wielu wyrzeczeń?

Praca lekarza i prowadzenie badań naukowych to już samo w sobie zobowiązanie, ale nie nazwałbym tego poświęceniem w negatywnym sensie. To raczej świadomy wybór drogi, która wymaga konsekwencji, samodyscypliny i umiejętności, ale w zamian daje poczucie głębokiego sensu.

Kardiolog zajmujący się pacjentami obciążonymi często wieloma schorzeniami czuje czasem, że coś jest ponad jego siły?

Kontakt z chorobą, cierpieniem i koniecznością podejmowania decyzji, które mogą przesądzać o zdrowiu lub życiu pacjenta, zawsze niesie ze sobą stres. Z czasem uczymy się rozpoznawać jego źródła i reagować na niego w sposób bardziej świadomy. Nie da się jednak całkowicie oddzielić emocji od działania. Można za to je porządkować i wykorzystywać w sposób konstruktywny. W moim przypadku dużą rolę w zachowaniu równowagi odgrywa sport. Staram się dbać o regularną aktywność fizyczną.

Czy w swojej pracy szuka pan luk w wiedzy i praktyce, a następnie stara się je zapełniać, czy odwrotnie – odkrywa to, co wydało się ciekawe?

Punktem wyjścia są zawsze realne potrzeby pacjentów. Uważam, że postęp w medycynie powinien przede wszystkim odpowiadać na problemy, w których medycyna nie daje jeszcze pacjentom wystarczająco skutecznych możliwości diagnostycznych lub terapeutycznych, czyli na tzw. *unmet medical needs* (niezaspokojonych potrzebach medycznych). Dopiero później przychodzi etap pogłębiania wiedzy i eksploracji mechanizmów, które mogą doprowadzić do nowego rozwiązania klinicznego.

Nad czym pan teraz pracuje?

Realizuję kilka dużych projektów. Między innymi w ramach grantu Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej prowadzę wspólnie z zespołem z Uniwersytetu Cambridge badania dotyczące wyzwań systemowych w obszarze niekomercyjnych badań klinicznych. Koncentrujemy się na jednym z kluczowych problemów, jakim są opóźnienia w rekrutacji pacjentów do badań klinicznych w Europie. To jedna z głównych przyczyn wydłużania lub nawet przedwczesnego

eprasa.pl f001f96e29

przerywania projektów, co niesie ze sobą istotne konsekwencje, w tym opóźnienie wprowadzania nowych terapii do praktyki klinicznej.

A czym są zabiegi TAVI, kolejny przedmiot pańskich badań?

TAVI, czyli przezskórna implantacja zastawki aortalnej, to metoda wymiany zwężonej zastawki serca bez konieczności otwierania klatki piersiowej. Polega na wprowadzeniu nowej zastawki do serca przez tętnicę obwodową z użyciem cewników. To ogromny postęp w porównaniu z klasyczną operacją kardiochirurgiczną, szczególnie dla pacjentów w starszym wieku lub z wysokim ryzykiem operacyjnym. TAVI zrewolucjonizowało leczenie zwężenia zastawki aortalnej. Pozwala pacjentom szybciej wrócić do sprawności, a w wielu przypadkach stanowi jedyną realną alternatywę dla klasycznej operacji.

Mówi pan o chorobach sercowo-naczyniowych i metabolicznych jako o globalnym wyzwaniu. Dlaczego są tak groźne?

Ponieważ choroby ze spektrum sercowo-metabolicznego rozwijają się podstępnie i przez długi czas pozostają bezobjawowe. U wielu pacjentów pierwsze zauważalne symptomy, jak duszność, łatwe męczenie się, obrzęki czy spadek tolerancji wysiłku, pojawiają się dopiero wtedy, gdy doszło już do poważnych zaburzeń funkcjonowania serca, naczyń czy nerek. To efekt kaskady: otyłość, insulinooporność i cukrzyca typu 2 przyspieszają uszkodzenia naczyń, co z kolei zwiększa ryzyko rozwoju choroby serca i nerek.

Leczenie tych schorzeń wymaga współpracy wielu specjalistów, kardiologów, diabetologów, nefrologów, dietetyków oraz holistycznego podejścia do pacjenta. Dlatego American Heart Association zaproponowało pojęcie zespołu sercowo-nerkowo-metabolicznego – oznacza to, że choroby te są ze sobą ściśle powiązane i wymagają wspólnej strategii diagnostycznej i terapeutycznej.

Najważniejsze jest jak najwcześniejsze wykrywanie zaburzeń metabolicznych, w tym cukrzycy typu 2 i otyłości, oraz szybkie wdrożenie odpowiedniego leczenia i modyfikacja stylu życia. Tak można zatrzymać efekt domina, opóźnić rozwój chorób sercowo-naczyniowych i nerek lub mu zapobiec. Wczesna interwencja staje się dziś jednym z kluczowych priorytetów kardiologii i medycyny chorób metabolicznych.

Czy alkohol w niewielkich ilościach jest dobry dla serca, jak kiedyś sugerowano?

To mit, który nauka jednoznacznie obaliła. Nawet umiarkowane spożycie zwiększa ryzyko nadciśnienia, zaburzeń rytmu i niewydolności serca. Nie ma „zdrowej dawki alkoholu dla serca". Dotyczy to także innych narządów i powiązań z wieloma chorobami. Uważam, że alkoholu powinno się całkowicie unikać.

A gdyby pan miał dać jedną radę pacjentowi kardiologicznemu?

Serce pracuje nieprzerwanie przez całe życie, ale w przeciwieństwie do wielu innych narządów nie posiada znaczącej zdolności regeneracji. Zawał serca nie jest epizodem, który „mija" – często oznacza trwałe obumarcie części mięśnia sercowego, czyli utratę funkcji, której nie da się odzyskać. Dlatego kluczowe jest, by do choroby nie dopuścić. Zaleciłbym regularny pomiar i kontrolę ciśnienia tętniczego, monitorowanie poziomu cholesterolu, regularną aktywność fizyczną, utrzymywanie prawidłowej masy ciała, całkowite zaprzestanie palenia tytoniu. Medycyna może bardzo dużo, ale wciąż najwięcej zależy od nas samych.

Wielu pacjentów pyta: „Skoro mam 30–40 lat, dobrze się czuję, a jedyne, co mi dokucza, to nadwaga, to w czym problem?". Jak pan odpowiada?

Problem polega na tym, że otyłość jest chorobą o długim, cichym przebiegu. Pacjent często nie widzi jej biologicznych konsekwencji, one zachodzą w ukryciu. Tkanka tłuszczowa to aktywny gruczoł endokrynny, który wydziela substancje prozapalne wpływające na naczynia, serce i metabolizm. Szczególnie niebezpieczna jest tkanka tłuszczowa trzewna, czyli ta gromadząca się wokół narządów, oraz tkanka tłuszczowa okołonaczyniowa i nasierdziowa, bo działają bezpośrednio w obrębie układu sercowo-naczyniowego. Pacjent może czuć się dobrze, ale w tym czasie naczynia sztywnieją, blaszki miażdżycowe dojrzewają, stan zapalny narasta. Dopiero po czasie pojawiają się powikłania, takie jak zawał serca, niewydolność nerek, stłuszczeniowa choroba wątroby. Wtedy zaczyna się leczenie skutków, a nie przyczyn. Naszym zadaniem jest dotrzeć do pacjenta dużo wcześniej.

Z czego jest pan najbardziej dumny? To nie musi być dokonanie naukowe.

Czuję ogromną dumę z możliwości dzielenia się wiedzą z młodymi lekarzami i badaczami. Obserwowanie, jak studenci rozwijają własne projekty naukowe, zdobywają doświadczenie i podejmują wyzwania, daje mi ogromną satysfakcję.

Czego ich pan przede wszystkim uczy?

Staram się przekazywać, że medycyna to nie tylko wiedza encyklopedyczna, ale przede wszystkim umiejętność myślenia klinicznego i empatii wobec pacjenta. Chcę, aby rozumieli, że diagnoza i leczenie to proces, który wymaga nie tylko teorii, lecz także uważnej obserwacji, słuchania pacjenta i logicznego łączenia faktów. Równocześnie zachęcam do rozwijania ciekawości naukowej, zadawania pytań, dociekliwości, aby uczyli się podejmować decyzje świadomie i odpowiedzialnie. Staram się pokazać, że dobra medycyna rodzi się na styku wiedzy, doświadczenia i refleksji.

Gdyby pan miał dać jedną radę młodemu lekarzowi, to jak by brzmiała?

Bądź uważny i nie przestawaj zadawać pytań. Ciekawość to najcenniejszy kompas w medycynie. ■

Partner Główny Nagród Naukowych POLITYKI 2025
KOPIPOL
Partnerzy Nagród Naukowych POLITYKI 2025
Dr Irena Eris
CONSULTRONIX
zaKS sprzyjamy wyobraźni
Patron honorowy
Marcin Kulasek Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego
Patroni medialni
TVP info
tokfm
FORUM AKADEMICKIE

eprasa.pl f001f96e29

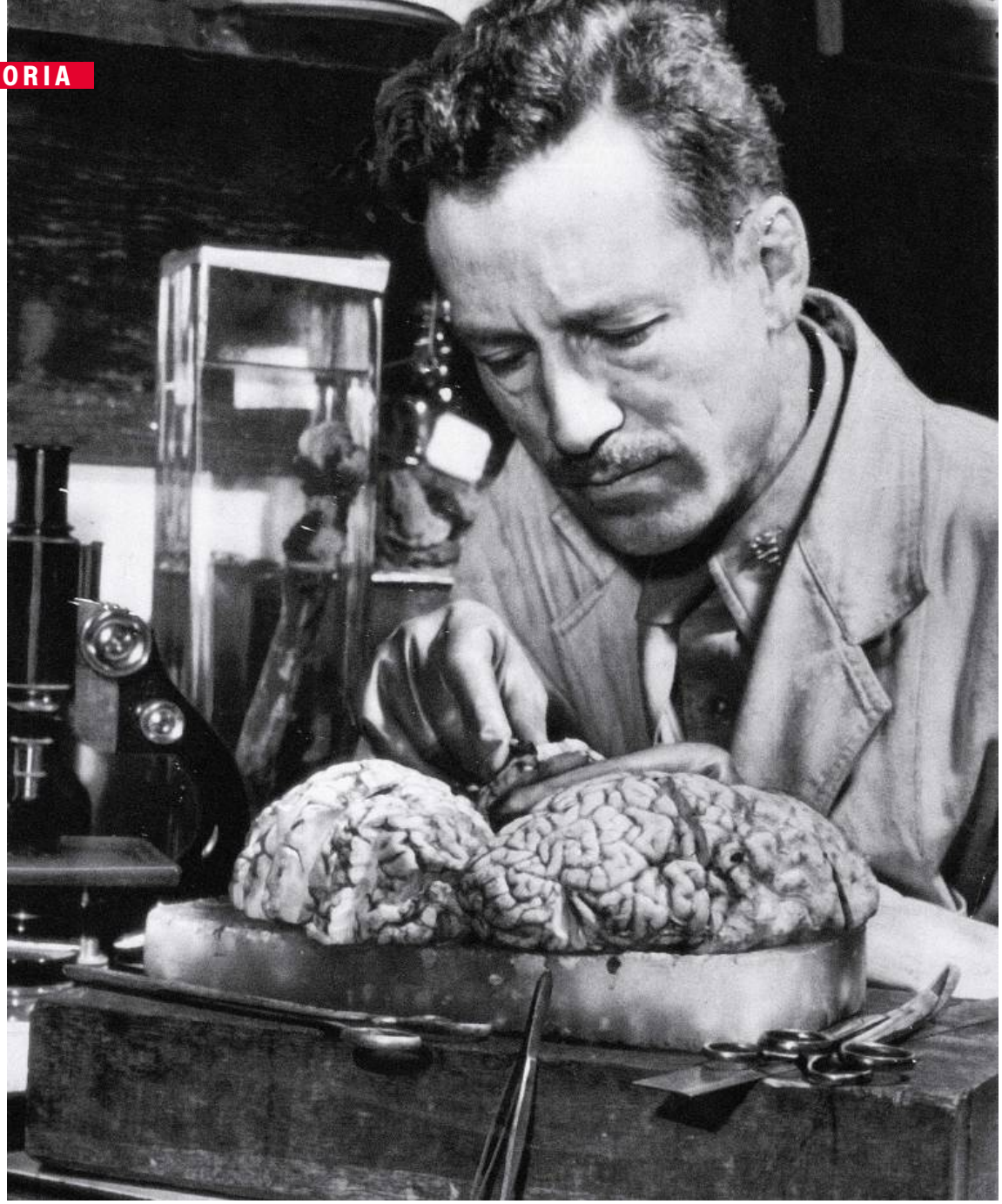

Neuropatolog Webb Haymaker z Wojskowego Instytutu Patologii bada mózg Roberta Leya, nazisty, który popełnił samobójstwo

Rozmowy z katami

TOMASZ TARGAŃSKI

Hollywoodzki film „Norymberga", który właśnie wchodzi na ekrany polskich kin, śledzi relacje między nazistami i badającymi ich psychiatrami. Lekarze, którzy chcieli odkryć naturę zła, doszli do niepokojących wniosków.

eprasa.pl f001f96e29

W jednej z prywatnych rozmów prezydent USA Franklin D. Roosevelt nazwał Hitlera czubkiem. Z kolei premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill lubił przyrównywać przywódców III Rzeszy do gangsterów. Fascynacja nazistami, ich motywami, pytanie, dlaczego robili to, co robili, nie dawało spokoju aliantom nawet po zakończeniu wojny. Dlatego kiedy w 1945 r. nazistowscy przywódcy zasiedli na ławie oskarżonych w Norymberdze, poddano ich serii długotrwałych testów i badań, aby sprawdzić, czy są zdrowi na umyśle i mogą odpowiadać za swoje czyny.

Göring na odwyku

Dr Douglas M. Kelley (w filmie gra go Rami Malek), psychiatra armii amerykańskiej, przyjechał do Norymbergi kilka tygodni przed procesem. Jako główny psychiatra więzienia, gdzie przebywali nazistowscy przywódcy, prowadził z nimi obszerne wywiady, analizował próbki pisma, poddawał ich testom na inteligencję oraz testom plam atramentowych (tzw. test Rorschacha). Współpracował z nim inny psycholog, Gustave Gilbert, którego zadaniem było nadzorować samopoczucie więźniów, tak aby mogli zasiadać na ławie oskarżonych i aby nic nie zakłóciło przebiegu procesu.

Gilbert zapisał w swoim dzienniku, że jego metoda „polegała na swobodnej rozmowie". O ile dla samotnych i znudzonych nazistów te rozmowy były często miłym oderwaniem od więziennej monotonii, o tyle ambicje psychologów były o wiele większe. Dr Kelley miał nadzieję, że podróż w głąb „nazistowskiego umysłu" będzie przełomem w badaniach nad motywacjami kryminalistów. Liczył, że jeśli naukowcy zrozumieją, dlaczego naziści odnieśli sukces, to być może uda się zapobiec powtórzeniu takiego zła w przyszłości.

W centrum uwagi – zarówno śledczych, jak i lekarzy – znajdował się oczywiście Hermann Göring (w tej roli Russell Crowe). Po śmierci Hitlera i Himmlera był on najwyżej postawionym przedstawicielem III Rzeszy. Kiedy alianci schwytali go latem 1945 r. i przewieźli do więzienia w Mondorf-les-Bains w Luksemburgu, były marszałek III Rzeszy miał ze sobą walizkę zawierającą ok. 20 tys. dawek parakodeiny, silnego leku przeciwbólowego, od którego był uzależniony (zażywał nawet 40 tabletek dziennie). Gdy trafił do Norymbergi, lekarze zauważyli, że jego paznokcie u dłoni i stóp zabarwione są na intensywnie czerwony kolor. Pierwotnie przypuszczali, że była to reakcja organizmu na uzależnienie, ale później okazało się, że Göring malował sobie paznokcie, kiedy przebierał się za Nerona.

W październiku 1945 r. uwięzionym nazistom wręczono akt oskarżenia. Dokument osobiście przekazywali im Gilbert oraz Kelley, którzy prosili o podpis oraz krótkie oświadczenie na jego temat, po czym skrupulatnie notowali ich reakcje. Göring nie wydawał się zdziwiony. Na marginesie kartki z aktem oskarżenia zapisał jedynie cyniczną formułę: „Zwycięzca zawsze będzie sędzią, a zwyciężony oskarżonym". Joachim von Ribbentrop, minister spraw zagranicznych III Rzeszy, napisał wymijająco: „Akt oskarżenia jest skierowany przeciwko niewłaściwym ludziom". Ernst Kaltenbrunner, szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA), stwierdził, że „nie czuje się winny żadnych zbrodni wojennych" i „wykonywał tylko swoje obowiązki". Wilhelm Keitel, feldmarszałek, szef Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu, zareagował w spodziewany dla oficera sposób: „Dla żołnierza rozkazy są rozkazami!".

Kelley nie mówił po niemiecku, ale angielski Göringa był na tyle dobry, że mogli swobodnie rozmawiać. Amerykański psychiatra zapisał w swoich notatkach: „Każdego dnia, kiedy przychodziłem do jego celi podczas obchodu, zrywał się z krzesła, witał mnie szerokim uśmiechem i wyciągniętą ręką, odprowadzał do swojej pryczy, klepał ją pośrodku swoją wielką dłonią, mówiąc: cieszę się, że pan do mnie przyszedł. Proszę usiąść, doktorze. Proszę usiąść". Göring był serdeczny i przyjazny. Lubił chwalić się osobistymi pamiątkami, które pozwolono mu zatrzymać w więzieniu. Z entuzjazmem pokazywał Kelleyowi swoje drogocenne pierścienie. Amerykanin postanowił, że wyleczy Göringa z narkotykowego nałogu, zanim ten stanie przed trybunałem. Dzięki stopniowemu ograniczeniu dawek parakodeiny oraz diecie były marszałek zrzucił ok. 40 kg i odzyskał charakterystyczny dla siebie wigor.

Naturalna jowialność oraz skłonność do teatralnych gestów i wygłaszania mów sprawiły, że Göring stał się nieformalnym liderem uwięzionych nazistów. Zabiegał o sympatię i uwagę psychologów. Był próżny i bardzo czuły na punkcie swojego miejsca w historii. Zarówno w celi, jak i na ławie oskarżonych grał wymyśloną przez siebie rolę honorowego żołnierza, który wiernie służył swojemu krajowi. Zapierał się, że nigdy nie był antysemitą, a antyżydowski program NSDAP był jedynie „wyborczą sztuczką".

Uszkodzony mózg

Zupełnym przeciwieństwem jowialnego Göringa był Julius Streicher, propagandzista i wydawca pisma „Der Stürmer". Jego obsesja na punkcie Żydów dawała o sobie znać przy każdym





Psycholog Gustave Gilbert (w mundurze z lewej) podczas procesu rozmawia z Hermannem Göringiem. Po prawej: **Douglas M. Kelley, psychiatra armii amerykańskiej.**

spotkaniu. Wciąż wygłaszał antysemickie tyrady, pouczając wszystkich, że poświęcił 25 lat na studiowanie „kwestii żydowskiej" i wie na ten temat więcej niż ktokolwiek inny. Streicher został przebadany przez komisję psychiatryczną złożoną z doktora Jewgienija Krasnuszkina z Moskwy, pułkownika Paula L. Schroedera z Chicago i doktora Delaya z Paryża. Wyniki testów na inteligencję (106) były najniższe spośród wszystkich oskarżonych (najwyższy wynik mieli Hjalmar Schacht – 143 oraz Göring i Karl Dönitz – 138). Psychiatrzy orzekli, że choć Streicher cierpi na obsesję neurotyczną, nie jest chory psychicznie.

Inny więzienny psychiatra Leon Goldensohn uznał go za „lubieżnika pozującego na mędrca". Faktycznie Streicher zasypywał naczelnika więzienia prośbami, by pozwolił mu sprowadzać ▶

© KEYSTONE/ALAMY/FORUM, INTERFOTO/FORUM, AN

eprasa.pl f001f96e29

▶ do celi kobiety. Kiedy Erika Mann (córka Thomasa Manna), dziennikarka, przyjechała do Norymbergi, by relacjonować proces, odwiedziła Streichera w jego celi, a ten ściągnął przed nią spodnie. Na Erice, która była lesbijką, nie zrobiło to wrażenia.

Ciekawym przypadkiem był Robert Ley, przywódca Niemieckiego Frontu Pracy. Kelley ocenił go jako niezdolnego do logicznego rozumowania i niestabilnego emocjonalnie, prawdopodobnie z powodu urazów płata czołowego mózgu. Najpierw podczas pierwszej wojny światowej Ley został poważnie ranny, kiedy jego samolot się rozbił, a później, w 1937 r., uległ wypadkowi, kiedy pod wpływem alkoholu obwoził po Monachium księcia Windsoru, byłego króla Anglii Edwarda VIII. Podczas badań nie mógł usiedzieć w miejscu i nie był w stanie zbudować spójnego zdania (miał wadę wymowy).

W napisanym w celi „Testamencie politycznym" Ley usprawiedliwiał antysemityzm jako obronę przed „zalaniem" Niemiec przez Żydów. Gilbert zanotował, że podczas jednego ze spotkań wygłosił tyradę na temat aktu oskarżenia, po czym „ustawił się pod ścianą z rozłożonymi ramionami, jak ukrzyżowany, i oświadczył: postawcie nas pod murem i rozstrzelajcie. Jesteście zwycięzcami". Popełnił samobójstwo 25 października 1945 r. Powiesił się na ręczniku przytwierdzonym do rury kanalizacyjnej. Gdy mózg Leya wysłano do Waszyngtonu do Instytutu Patologii, neurolog dr Webb Haymaker stwierdził atrofię płatów czołowych i przewlekłą encefalopatię (uszkodzenie mózgowia).

Wszystkich oskarżonych poddano testom Rorschacha. Göring świetnie się bawił. Na widok kolejnych tablic śmiał się i klaskał w dłonie, żałując, że takie testy nie były robione na pilotach Luftwaffe. W atramentowych plamach Rudolf Hess, były zastępca Hitlera, dojrzał „mikroskopijny przekrój owada z plamami krwi i maską". Z kolei Streicher wydał się psychologom „zafiksowany na punkcie rewolucji", ponieważ stwierdził, że czarne i czerwone plamy to „dwie damy rewolucji francuskiej w czerwonych czapkach Klubu Jakobinów". Dziś testy Rorschacha – ze względu na brak standaryzacji oraz fakt, że ich wyniki są zależne od interpretacji badającego – uważa się za nieweryfikowalne oraz nie zaleca się ich stosowania przez psychologów sądowych czy klinicznych.

Fanatycy i oportuniści

Im dłużej trwał proces, im głębiej Kelley, Gilbert i inni zanurzali się w świat nazistów, tym bardziej ich oryginalna hipoteza, że oskarżeni byli chorzy psychicznie, chwiała się w posadach. Każdy z osadzonych miał jakieś zaburzenia, ale nie odbiegały one od normy w tym sensie, że podobne zaburzenia można rozpoznać u ludzi na całym świecie. Byli cyniczni, wyrachowani, skłonni do przemocy i okrucieństwa, a jednocześnie niepewni siebie i pełni kompleksów. Bez wątpienia byli fanatykami i antysemitami, ale logicznie odpowiadali na pytania, powoływali się na prawa III Rzeszy, niektórzy wzbudzali nawet współczucie. Spodziewając się konfrontacji z wyjątkowymi patologiami i dewiacjami, lekarze z przerażeniem odkrywali, że patrzą na ludzi, którzy łączyli w sobie zupełnie normalne skłonności i emocje z bezprzykładnym egocentryzmem i brakiem współczucia.

Już pod koniec procesu Göring zagadnął Gilberta, co o jego osobowości mówiły psychologiczne testy, szczególnie test Rorschacha. W odpowiedzi usłyszał, że zdradził go mały gest – reakcja na czerwoną plamę. „Patologiczni neurotycy – tłumaczył mu Gilbert – często wzdragali się przed tą kartą, mówiąc, że była na niej krew. Pan spróbował strzepnąć ją palcem, myśląc, że można usunąć krew małym gestem. Podczas procesu zdejmował pan słuchawki w sali sądowej, gdy dowody pańskiej winy stawały się niemożliwe do zniesienia. To samo robił pan podczas wojny, wypierając zbrodnie z umysłu narkotykami. Nie miał pan odwagi stawić im czoła. To jest pańska wina".

O ile Gilbert i inni psychologowie zachowali zdrowy dystans w kontaktach z nazistami, o tyle Kelley znalazł się pod wpływem Göringa. Zaczął mylić pracę lekarza z rolą osobistego powiernika. W pewnym momencie stał się posłańcem między Göringiem a jego żoną i córką, dostarczając im jego listy. Jego zapiski pokazują, że nie mógł pogodzić obrazu czułego i troskliwego ojca rodziny z wizerunkiem bezdusznego nazisty. Kelley doświadczył dysonansu typowego dla specjalistów, który pracują z przestępcami: pomimo odrazy do czynów Göringa zaczął postrzegać go jako fascynującego – miejscami nawet sympatycznego – człowieka.

Podczas jednej z rozmów w cztery oczy Göring wyjawił Kelleyowi, że spodziewa się usłyszeć wyrok śmierci. Jeśli tak się stanie, poprosił go o adopcję jego siedmioletniej córki Eddy i wychowanie jej w Ameryce. Nie wiadomo, jakiej Kelley udzielił odpowiedzi. Jack El-Hai, autor książki o pracy amerykańskiego psychiatry w Norymberdze, który miał dostęp do jego osobistych notatek, napisał, że ta zdumiewająca prośba poruszyła Kelleya, ponieważ zdawał sobie sprawę, jak wiele Edda znaczyła dla ojca.

Kapsułka z cyjankiem

Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze ogłosił wyrok 1 października 1946 r. Na śmierć skazano 12 oskarżonych nazistów – wyrok wykonano na 10 (Göring popełnił samobójstwo w celi dzień przed, a w przypadku oskarżonego Martina Bormanna był to wyrok zaoczny). Siedmiu skazano na więzienie (wyroki od dożywocia do 10 lat), a trzech uniewinniono, ponieważ nie udowodniono im, by bezpośrednio uczestniczyli w organizowaniu aktów ludobójstwa bądź zbrodni wojennych.

Po wydarzeniach w Norymberdze Kelley całkowicie porzucił psychiatrię. Dziedzina nauki, w którą głęboko wierzył, nie dała mu odpowiedzi na pytanie, jak ludzie będący w pełni władz umysłowych mogli się dopuścić okrucieństw. Pracował jako policyjny konsultant i kryminolog. W wydanej w 1947 r. książce poświęconej Norymberdze stwierdził, że naziści nie byli wyjątkowymi osobowościami, tylko dominującymi, agresywnymi egocentrykami, którym dano szansę na przejęcie władzy.

Sam Kelley zaczął nadużywać alkoholu i stał się agresywny. W Nowy Rok 1958 r. w trakcie głośnej kłótni z żoną na oczach swoich dzieci rozgryzł ampułkę z cyjankiem. Umarł w ten sam sposób, jak w swojej celi zrobił to Hermann Göring.

TOMASZ TARGAŃSKI

Bibliografia: Jack El-Hai „The Nazi and the Psychiatrist"; Gustave Gilbert „Dziennik norymberski"; Leon Goldensohn „Rozmowy norymberskie"



KUP TERAZ

O zbrodniach państwa hitlerowskiego czytaj także w Pomocniku Historycznym **„TRZECIA RZESZA 1933-1945"**. Dostępny na **sklep.polityka.pl**

eprasa.pl f001f96e29

Pogromca luksusu

Liczył świece na ołtarzu, ubierał księży w tanie ornaty z wołowej skóry i zaproponował poddanym trumny wielokrotnego użytku. Jak wyglądały reformy kościelne cesarza Józefa II Habsburga.

PIOTR SZLANTA



© ALAMY/BE&W

Ten cesarz zasłynął dzięki muzycznej anegdocie. Po premierze „Wesela Figara" miał powiedzieć kompozytorowi: „Za dużo nut, panie Mozart". Chociaż jest to legenda, trafnie oddaje jego niechęć do nadmiaru, przepychu i luksusu.

W Europie XVIII w. monarchie absolutne starały się podporządkować sobie cały system państwowy wraz z instytucjami kościelnymi i miały w tym niemałe sukcesy. W tej polityce właśnie cesarz Józef II Habsburg posunął się najdalej. Ten syn Marii Teresy panujący najpierw wspólnie z matką, a samodzielnie w latach 1780–90, starał się ujednolić i zmodernizować podległe mu terytoria.

W swoim zapale szczególną uwagę poświęcał relacjom państwo–kościół – wydał ponad 6 tys. aktów prawnych dotyczących kwestii religijnych. Od jego imienia ukuto termin józefinizm, określający reformy zmierzające do całkowitego podporządkowania Kościoła katolickiego państwu (czytaj monarsze) bez formalnego zrywania z papiestwem i bez tworzenia struktur kościoła narodowego.

Kościół bez wież

W październiku 1781 r. cesarz wydał patent tolerancyjny gwarantujący luteranom, kalwinistom i prawosławnym wolność religijną. Zezwolono na wznoszenie ewangelickich świątyń. Nie mogły one jednak mieć wież i z zewnątrz przypominać budynków sakralnych. Główne wejście znajdowało się nie od ulicy, lecz z boku. Ewangelików zrównano z katolikami w prawach publicznych, dopuszczono do urzędów i na studia. Część protestantów, wyznających wiarę w ukryciu, obawiało się, że gdy się ujawnią, zostaną przesiedleni na Węgry. Tak bywało za rządów Marii Teresy. Nic takiego się jednak nie stało. Ostatecznie do obu wyznań ewangelickich przyznało się 50 tys. wiernych, którzy stworzyli na terenie monarchii 46 parafii.

Do wydania tego patentu skłoniły cesarza – poza oświeceniową ideą tolerancji – względy czysto praktyczne. Chciał zahamować migrację tysięcy protestanckich poddanych, zwłaszcza z terenów Czech i Moraw, do sąsiednich Prus. Zniósł także część restrykcji ▶

Cesarz Józef II na portrecie Johanna Nikolausa Grootha, XVIII w.

eprasa.pl f001f96e29

▶ wobec Żydów. Nie wszystkim się taka polityka podobała, gdyż w krajach habsburskich od ponad 200 lat prowadzono politykę rekatolicyzacji i kształtowania mas w duchu wrogim innowiercom.

Od początku panowania cesarz starał się podporządkować sobie Kościół, odbierając mu jego wewnętrzną autonomię. Wprowadził nakaz zatwierdzenia przez władze wszelkich pism papieskich i biskupich przed ich publikacją i ogłoszeniem wiernym. Narzucono biskupom nową formułę lojalności: nie jak dotąd wierności wyłącznie papieżowi, ale – a jakże – cesarzowi. Od 1783 r. Józef II zaczął sam mianować biskupów, nie oglądając się na Stolicę Apostolską. Tworzył też nowe diecezje. Nuncjusza w Wiedniu po prostu ignorował. Biskupom zakazano odwoływania się do papieża w jakichkolwiek sprawach.

Równocześnie monarcha starał się dostosować organizację terytorialną Kościoła do granic państwa. Najważniejszą z tych zmian było wyzwolenie się spod wpływów archidiecezji pasawskiej (do XV w. należał do niej nawet Wiedeń), znajdującej się na terenie księstwa Wittelsbachów. W tym celu w 1785 r. powołano do życia nowe diecezje: w Linzu obejmującą swym zasięgiem Górną Austrię i w Sankt Pölten obejmującą części dzisiejszej Dolnej Austrii.

Stolicę Apostolską skłonił do uznania tych zmian, grożąc wstrzymaniem płatności dla niej. Kancelariom biskupim władze narzuciły strukturę kancelarii państwowych. Zniesiono wiele kolegiat i zmniejszono liczbę członków kapituł biskupich. Scentralizowano i poddano kontroli państwa cały proces kształcenia księży. Spod jurysdykcji Kościoła wyjęto cenzurę druków i nadzór nad uniwersytetem wiedeńskim.

Aby odwieść cesarza od dalszych reform, papież Pius VI w 1782 r. postanowił udać się do Wiednia na rozmowy z cesarzem. Ten starał się ograniczyć kontakty głowy Kościoła z wiernymi podczas podróży i m.in. zakazał bicia w dzwony na trasie przejazdu papieskiego orszaku do Wiednia i organizowania ku czci Piusa VI procesji. Aby uniknąć uroczystego powitania papieża w stolicy, cesarz wyjechał mu naprzeciw i powitał go na drodze w szczerym polu.

Biskupom surowo zabroniono przyjazdu do Wiednia na spotkanie z papieżem. Rozmowy cesarza z biskupem Rzymu, w których zawsze uczestniczył kanclerz Wenzel Anton von Kaunitz, przyniosły niewiele (nie licząc drobiazgów w postaci m.in. możliwości odwoływania się przez biskupów do Rzymu w sprawie dyspens małżeńskich). Upokorzony gość wrócił do Rzymu. W kolejnym roku monarcha niespodziewanie złożył mu rewizytę – podczas podróży do brata, księcia Toskanii. I tym razem nie było mowy o ustępstwach ze strony cesarza.

Urzędnicy w czarnych sukienkach

W krajach podlegających władzy Habsburgów istniała gęsta sieć klasztorów, nieraz o kilkusetletniej tradycji. Stanowiły one ważne ośrodki życia społecznego i gospodarczego lokalnych społeczności. Wzmożenie życia monastycznego nastąpiło w okresie kontrreformacji. Jednak dla Józefa II mnisi, którzy nie zajmowali się szkolnictwem lub opieką nad chorymi, byli bezużyteczni. Dotyczyło to zwłaszcza zakonów kontemplacyjnych. Trzeba było z tym zrobić porządek. Już w 1781 r. zakazano klasztorom kontaktowania się z przełożonymi zakonów za granicami państwa. Rok później podporządkowano klasztory biskupom diecezjalnym. Ograniczono liczbę mnichów mogących przebywać w klasztorach, wprowadzając w 1784 r. *numerus clausus*. Podniesiono do 24 lat wiek, w jakim można było do zakonów wstępować.



Złoty medalion z wizerunkiem cesarza

Zlikwidowano wiele klasztorów – tylko w latach 1783–87 zniknęło 700 z nich. Byłym mnichom – naliczono ich 36 tys. – opłacono powrót do domu. Po święceniach kapłańskich mogli objąć posady w nowo tworzonych parafiach. W budynkach poklasztornych lokowano magazyny, koszary i więzienia. Na rok 1791 zaplanowano zamknięcie kolejnych 450 klasztorów, jednak realizację tych planów przerwała śmierć cesarza.

Z majątku skonfiskowanego klasztorom utworzono fundusz religijny, mający służyć czasowemu utrzymaniu byłych mnichów, finansowaniu nowo powołanych parafii i diecezji, kształceniu duchownych i wyrównywaniu dochodów gorzej uposażonego duchowieństwa.

Budowa sieci parafii pokrywającej regularną siatką całe państwo była dla władcy szczególnie ważna, gdyż dzięki pracującemu tam duchowieństwu, które cesarz traktował jako część administracji państwowej (mówiono o nich „urzędnicy w czarnych sukienkach"), mógł wpływać na swoich poddanych. Kościoły i ambony były wówczas jedynym kanałem masowej komunikacji społecznej, sposobem, w jakim masy niepiśmiennych chłopów mogły dowiedzieć się, czego od nich oczekuje monarcha. Do kościoła raz w tygodniu w niedzielę chodzili wówczas prawie wszyscy.

Przygotowywani w specjalnych seminariach poddanych kontroli urzędników duchowni mieli za zadanie wpajać wiernym moralność właściwą stanowi, do którego należeli, zaszczepiać w nich cnoty posłuszeństwa i wierności monarsze, piętnować pijaństwo i kradzieże. Z ambon odczytywano i tłumaczono ludności decyzje cesarskie. Na wsiach chłopom przekazywano podstawowe informacje dotyczące kultury rolnej czy higieny. Na proboszczów spadł obowiązek nadzoru szkolnego i tworzenia szkół tam, gdzie ich nie było. Pełnili oni również funkcje urzędników stanu cywilnego, a działalność duszpasterską mogli prowadzić tylko w zakresie ściśle określonym przez państwo.

Zgodnie z dekretem regulującym zasady powstawania parafii wydanym we wrześniu 1782 r. każdy wierny miał mieć do kościoła nie dłużej niż godzinę pieszo. Nowe parafie miały powstawać także tam, gdzie z powodu wysokich gór, groźby powodzi, lawin czy złego stanu dróg dotarcie do dotychczasowej parafii wiązało się z dużym wysiłkiem i niebezpieczeństwami. W ramach tej akcji utworzono 562 nowe parafie, 1095 tzw. kapelanii lokalnych (parafii gorzej uposażonych)

eprasa.pl f001f96e29

oraz 509 wikariatów. W 1783 r. w samym Wiedniu zorganizowano 42 nowe parafie, po czym dokonano restrukturyzacji sieci parafii w Pradze i Brnie.

Cesarz nie zapomniał o ujednoliceniu wysokości dochodów duchownych. Proboszcz miał otrzymywać rocznie 600 guldenów, a wikary 350.

Koniec kultu relikwii

Na tym nie koniec. Cesarz nazwany złośliwe przez króla Prus Fryderyka II „zakrystianinem" głęboko ingerował w życie religijne i kult. Chciał walczyć ze zbytkiem i przesądami. Szczegółowe przepisy regulowały m.in. porządek nabożeństw. Zakazano różnych przejawów religijności ludowej, m.in. kultu relikwii czy wznoszenia w Wielkim Tygodniu grobów Pańskich. Z obrazów usuwano barokowe sukienki z metali szlachetnych i drogocennych kamieni, a ze ścian świątyń wota. Te ostatnie sugerowały, że doszło do rzekomych cudów, których nikt nie był w stanie zweryfikować. Podczas procesji (można je było organizować na Wniebowstąpienie i Boże Ciało) zakazano noszenia figur. Zamknięto wszystkie bractwa kościelne, a w ich miejsce stworzono jedno ogólnopaństwowe Bractwo Czynnej Miłości Bliźniego.

Cesarz drastycznie ograniczył liczbę pielgrzymek. Mogły trwać nie dłużej niż dzień. Zakazano pielgrzymowania za granicę. Wierni boleśnie odczuli zakaz pielgrzymek do sanktuarium maryjnego z Mariazell w Styrii, czyli austriackiego odpowiednika naszej Jasnej Góry.

Poza wyjątkami podczas nabożeństw na ołtarzu nie mogło się palić więcej niż sześć świec. Ołtarze boczne miały pozostawać nieoświetlone. Jeśli chodzi o oprawę muzyczną nabożeństw – dopuszczone były jedynie organy. Józef II decydował nawet o szatach liturgicznych. Z niewielkim powodzeniem usiłował wprowadzić ornaty z... wyprawionej skóry wołowej, ozdobione malunkami, w miejsce tradycyjnych haftów i zdobień z kamieni szlachetnych. Te ostatnie uznawał za zbytek. Co z tego, że wołowe wyglądały straszliwie (można je obejrzeć m.in. w muzeum w klasztorze w Melku), skoro były tanie.

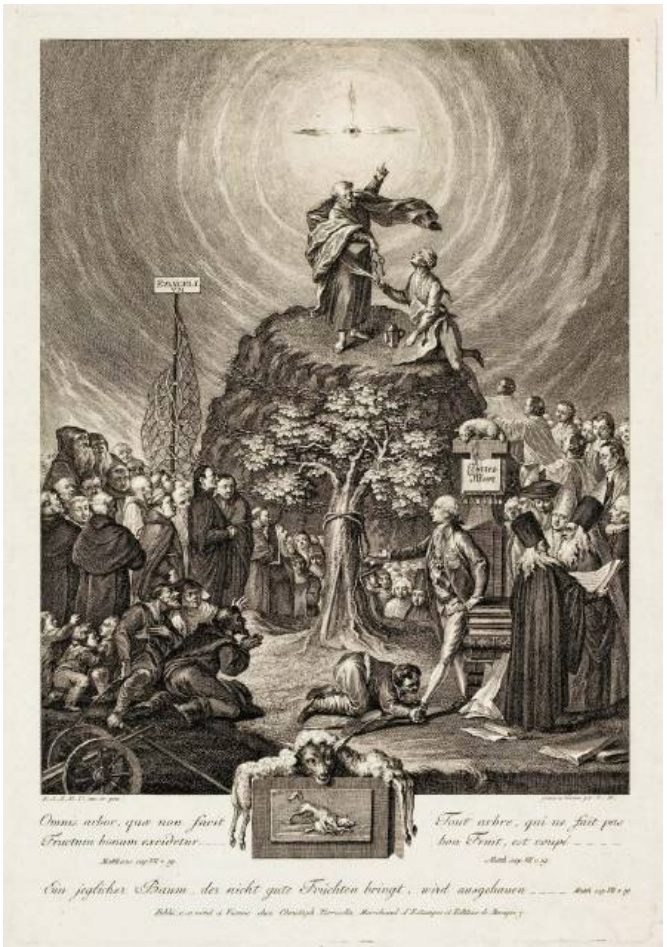

Alegoria reform józefińskich, rycina z XVIII w.

W obawie przed epidemią chorób zakaźnych Józef II nakazał likwidację cmentarzy i krypt w miastach i wokół kościołów. Odtąd nowe cmentarze lokowano poza granicami miast. Szczególny opór wywołał edykt cesarski regulujący pochówek. Zgodnie z nim nagie ciało miało być pochowane w lnianym worku. Do grobu miało być co prawda spuszczane w trumnie, ale trumnie wielokrotnego użytku. Miała bowiem uchylne dno i po złożeniu ciała do grobu miała być wyciągana na powierzchnię. Ciało w grobie miało być posypane niegaszonym wapnem i zasypane ziemią. Oburzenie społeczne wobec tych pomysłów było tak duże, że przepis obowiązywał niecałe osiem miesięcy.

Zawiedziony reformator

Cesarz oburzenia zupełnie nie rozumiał. Jak pisał rozgoryczony w prywatnym liście, nie mógł pojąć, dlaczego poddani bardziej troszczyli się o zmarłych niż o żywych i woleli, aby ich ciała po śmierci dłużej gniły i pozostawały cuchnącą padliną.

Sam Józef II zmarł bezpotomnie po ciężkiej chorobie, w poczuciu porażki życiowej i ze świadomością klęski swojej polityki. Musiał pogodzić się z przegraną w wojnie z Turcją, obserwował antyhabsburskie powstanie na terenie dzisiejszej Belgii. Tajna policja informowała go o grożących otwartym wybuchem nastrojach społecznych. Na łożu śmierci odwołał wiele z kontrowersyjnych decyzji. A na wieść o zgonie cesarza liczni poddani odetchnęli z ulgą, widząc w nim raczej antychrysta niż kościelnego reformatora.

Przekonania, jakim hołdował Józef II, widoczne są po dziś dzień w formie jego własnego pochówku. Ciało monarchy złożono w prostej metalowej trumnie, która stoi na podłodze w wiedeńskiej krypcie kapucynów tuż obok pompatycznego, kilkupoziomowego, rzeźbionego sarkofagu matki. Ta rażąca odmienność w sposobie upamiętnienia sprawia wrażenie, jakby trumna kryła doczesnego szczątki sługi cesarzowej, a nie jej następcy. Oświeconego monarchy, który czuł się sługą państwa i jego wyznawcą.

PIOTR SZLANTA

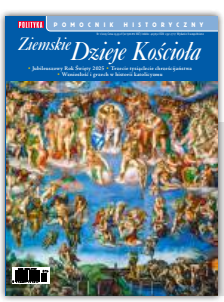

KUP TERAZ

O historii kościoła rzymskiego od jego zarania po czasy współczesne czytaj więcej w Pomocniku Historycznym **„ZIEMSKIE DZIEJE KOŚCIOŁA"**. Dostępny na **sklep.polityka.pl**

© BE&W (2), ALAMY/BE&W

eprasa.pl f001f96e29

Honor i rozum

Mirosław Maciorowski, **Powstańcy. Marzyciele i realiści. Historia na nowo opowiedziana**, Agora, Warszawa 2025, s. 632

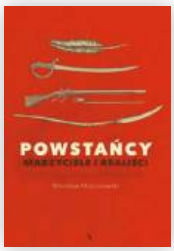

Po „Władcach Polski" (wydanych razem z Beatą Maciejowską) Mirosław Maciorowski prezentuje nam równie znakomite wywiady z historykami na temat polskiej specjalności, czyli zrywów narodowych. O powstaniach opowiada blisko 30 historyczek i historyków – najlepszych w Polsce – ale nie ma wątpliwości, że „Powstańcy" to dzieło przede wszystkim Maciorowskiego. Historia to dyscyplina wiedzy, w której umiejętność zadawania trafnych pytań jest kluczowa, a tę sztukę Maciorowski opanował do perfekcji. Śledzimy losy polskich zrywów od insurekcji kościuszkowskiej po Solidarność. Całość podsumowuje historiozoficzna rozmowa z Adamem Michnikiem. Spotykamy więc niepoprawnych marzycieli pchających naród w coraz większe kłopoty oraz racjonalnych krakowskich stańczyków, którzy rozumieli, że mądrą polityką można zyskać więcej niż walką. Poznajemy patriotów gotowych zginąć za Polskę i ludzi, dla których własny dobrostan był ważniejszy niż losy narodowej wspólnoty. Między marzeniami i realizmem rozpostarte jest ponad 200 lat historii. Jak pokazuje Maciorowski, to powstania, te nieudane i te zakończone sukcesem, zdefiniowały naszą tożsamość. „Powstańcy" to więc rzecz nie tylko o historii, ale i o nas, a cała sztuka polega na tym, aby – jak mówi Michnik – zachować jednocześnie i honor, i rozum.

ANDRZEJ BRZEZIECKI

Kroniki na glinie

Moudhy Al-Rashid, **Między dwiema rzekami. Starożytna Mezopotamia i narodziny historii**, przeł. Fabian Tryl, Wydawnictwo Poznańskie 2025, s. 334



Kiedy asyriolożka z Oksfordu opisuje gliniany cylinder z Ur, opowiada o ludziach pragnących utrwalić własną przeszłość. Jej książka to podróż przez świat, w którym historia dopiero się rodzi – dosłownie, bo z odcisków trzcinowych rysików na glinie. Autorka zaczyna od tajemniczej komnaty księżniczki Ennigaldi-Nanny żyjącej w VI w. p.n.e. Odkryto tam przedmioty z różnych epok – najstarsze sprzed 4 tys. lat. Archeolog Leonard Woolley uznał, że to pierwsze muzeum w dziejach, a Al-Rashid wykorzystuje ten motyw, by opowiedzieć historię Mezopotamii poprzez dziewięć artefaktów: od cegły i tabliczki szkolnej po cylinder króla Nabonida. Każdy z nich to pretekst do rozważań o pamięci, wiedzy, religii i władzy – ale też o zwyczajnych ludziach mieszkających między Tygrysem a Eufratem. Al-Rashid pisze lekko, a zarazem z erudycją. Pokazuje, że z glinianych tabliczek wyłania się codzienne życie – dzieci uczące się klinów, kobiety śpiewające kołysanki, urzędnicy oszukujący w rachunkach. Autorka sięga po anegdoty, porównania i współczesne odniesienia, dzięki czemu Mezopotamia przestaje być odległym mitem, a staje się miejscem bliskim emocjonalnie. To książka o początkach pisma i o sensie opowiadania dziejów – o tym, jak przeszłość staje się muzeum, a my jej kustoszami. Uczy patrzeć wstecz ze świadomością, że historię tworzą też zwykli ludzie i zwykłe wydarzenia.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Socjalistyczni kapitaliści

Jerzy Kochanowski, Lars Fredrik Stöcker (red.), **Wyłom w systemie? Firmy polonijne w PRL**, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2025, s. 245

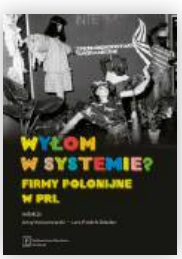

To pierwsza tak szeroka, interdyscyplinarna próba opisania fenomenu, który w PRL był zarazem marginalny statystycznie i kluczowy symbolicznie. Zaledwie kropla produkcji, ale ocean emocji: od zachwytu nad „oknem na Zachód" po oskarżenia o przywileje i spekulację. Redaktorzy tomu – Jerzy Kochanowski i Lars Fredrik Stöcker – proponują nową mapę tego zjawiska. Od jego genezy w dekadzie Edwarda Gierka, przez czas stanu wojennego, kiedy firmy polonijne paradoksalnie zyskały na znaczeniu, aż po transformacyjne biografie ludzi, którzy w realnym socjalizmie nauczyli się przedsiębiorczości. Autorzy analizują uwarunkowania strukturalne (deficyt dewiz, reglamentację, napięty stosunek państwa do prywatnej inicjatywy) i legendy narosłe wokół takich postaci jak Ignacy Soszyński – „czerwony miliarder", producent kosmetyków w schyłkowym PRL. Tom pokazuje niejednoznaczność transformacyjnego doświadczenia. Firmy polonijne były protokapitalistycznym eksperymentem, narzędziem polityki wobec emigracji i laboratorium nowych stylów zarządzania. A przy tym – jak dowodzi część książki oparta na historii mówionej – miejscem, w którym rodziły się kariery przyszłej elity biznesu III RP. To pasjonująca lektura dla wszystkich zainteresowanych realiami późnego PRL, narodzinami polskiego kapitalizmu i szarą strefą pomiędzy systemem a rynkiem.

MICHAŁ PRZEPERSKI

III Rzesza na kozetce

Laurence Rees, **Umysł nazisty. 12 ostrzeżeń z historii**, przeł. Jan Dzierzgowski, wydawnictwo Wielka Litera, Warszawa 2025, s. 437



Brytyjski historyk szuka odpowiedzi na pytanie o motywacje i mentalność architektów III Rzeszy oraz ich zwolenników. Korzysta z ustaleń z różnych dziedzin psychologii (od psychologii ewolucyjnej po neuropsychologię), co zasługuje na uwagę, ponieważ historycy rzadko odwołują się do tych dyscyplin. Badania prowadzone przez psychologów pomagają np. zrozumieć, dlaczego radykalna retoryka nazistów tak mocno rezonowała wśród młodych Niemców. Hitler i jego ludzie instynktownie rozumieli to, co kilka dekad później wykazały badania, że ludzie przed 25. rokiem życia nie mają w pełni rozwiniętej kory czołowej, odpowiedzialnej za regulację emocji i krytyczne myślenie, co czyni ich bardziej podatnymi na nacechowany emocjonalnie przekaz. Innym zjawiskiem opisanym przez Reesa jest dysonans poznawczy. Po pierwszej wojnie światowej Niemcy żyli w przekonaniu, że choć nie zostali pokonani militarnie, podstępem zmuszono ich do zaakceptowania haniebnego pokoju. Zderzony z sytuacją, gdy rzeczywistość przestaje zgadzać się z wyobrażeniem na jej temat, ludzki mózg tworzy rzeczywistość alternatywną. Tak właśnie narodził się mit „ciosu w plecy", który wyniósł nazistów do władzy. XX wiek dowiódł, że dysonans ma wielką – często dewastującą – moc polityczną. A ponieważ żyjemy w czasach gwałtownych zmian, warto o tej lekcji pamiętać.

TOMASZ TARGAŃSKI

eprasa.pl f001f96e29

aelia
DUTYFREE

BUY

Prosto z lotniska



ZESKANUJ MNIE

-21% na wszystkie nieprzecenione perfumy i kosmetyki przy zakupach za min 299 zł.

Kod: 21AELIA

Ważny do 31.01.2026 r.

Rabat na produkty nieprzecenione przy zakupach za min. 299 zł.

Rabat nie łączy się z innymi promocjami i programami benefitowymi.

eprasa.pl f001f96e29

Skala ocen: 1(dno)–6(wybitne)



film

Fascynacja złem 4/6

Norymberga (Nuremberg), reż. James Vanderbilt, prod. USA, 148 min

Friedrich Nietzsche przestrzegał, by ci, co walczą z demonami, uważali, by samemu nie stać się jednym z nich. Bardziej poetycka wersja tego aforyzmu głosi, by nie spoglądać w otchłań, bo ona również patrzy na nas. „Norymberga" jest ciekawym rozwinięciem tej myśli. Tym bardziej interesującym, że z fikcją niewiele ma wspólnego, chociaż skojarzenia z pojedynkiem Clarice Starling i Hannibala Lectera z „Milczenia owiec" wydają się nieuchronne. Film opisuje historycznie prawdziwą, lecz moralnie dwuznaczną relację lekarza i zbrodniarza. Tłem są kulisy przygotowań do historycznego procesu wytoczonego nazistowskim dowódcom w 1945 r. Kilka miesięcy przed procesem Douglas Kelley, szanowany dyrektor szpitala psychiatrycznego w San Francisco w stopniu majora (Rami Malek), zostaje poproszony przez dowództwo armii amerykańskiej, by przebadać pod kątem zdrowia psychicznego 22 największych nazistowskich oprawców. Aby ponad wszelką wątpliwość wykluczyć, że są oni chorzy psychicznie lub cierpią na zaburzenia umysłowe, co uniemożliwiałoby ich skazanie przez międzynarodowy trybunał. Szczególną atencję Kelleya zyskuje Hermann Göring, naczelny dowódca sił powietrznych Trzeciej Rzeszy, którego Hitler oficjalnie wyznaczył na swojego następcę (**Russell Crowe**). Otyły, z gładko zaczesanymi do tyłu włosami, niezwykle inteligentny i uroczy narcyz – jak komentują jego zachowanie Amerykanie – wyraźnie górował osobowościowo nad przesłuchującym go psychiatrą, co umożliwiło mu prowadzenie gry w kotka i myszkę, której stawką było nie tyle uniewinnienie, ile dowiedzenie, że nic o Holokauście nie wiedział. Próbując wymusić na Göringu refleksję na temat winy i udziału w ludobójstwie, łudząc się zaufaniem, jakim ten go obdarza, Kelley stara się przy okazji naukowo dowieść, że jeśli coś takiego jak natura zła istnieje, to jest ona wspólna wszystkim ludziom. „Norymberga" nie ma w sobie napięcia i perwersyjnej przewrotności oscarowego thrillera Jonathana Demmego, niemniej warto ją obejrzeć dla brawurowych kreacji aktorskich Maleka i Crowe'a.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

O psychiatrach z Norymbergi s. 70.

serial

Aktorskie bestie 4/6

Bestia we mnie (The Beast In Me), twórcy serii: Gabe Rotter i Howard Gordon, 8 odc., Netflix



Morderca żony i psychopata, a może tylko bucowaty, nieuznający „nie" jako odpowiedzi potentat w branży budowniczej, pomawiany o najgorsze z powodu wpływów i bogactwa? Aggie Wiggs (**Claire Danes**), autorka jednego bestsellera, obecnie zmagająca się z blokadą twórczą, traumą rodzinną i długami, od początku skłania się ku pierwszej opcji, ale im bliżej poznaje Nile'a Jarvisa (**Matthew Rhys**), swojego nowego sąsiada i bohatera nowej książki, tym więcej ma wątpliwości: co do niego, ale też co do siebie. A potem akcja się zagęszcza, gra w kotka i myszkę staje się coraz bardziej niebezpieczna aż do pospiesznego i wszystko wykładającego w stylu kawa na ławę końca. „Bestia we mnie", luźno inspirowana głośną sprawą Roberta Dursta (pokazaną m.in. w dokumencie „Przeklęty"), to thriller psychologiczny sprawnie operujący gatunkowymi schematami. Ogląda się go świetnie przede wszystkim dzięki aktorom: charyzma i urok osobisty Danes i Rhysa są silniejsze niż klisze, w które wrzuca ich scenariusz. Nie mają tu rzecz jasna takiego pola do popisu jak w serialach, które wyniosły ich na szczyt, odpowiednio „Homeland" i „Zawód: Amerykanin", ale nie brakuje scen, które zapadają w pamięć. Jak ta podczas dwójkowej imprezy u Aggie, gdy Nile śpiewa i tańczy do „Psycho Killera" Talking Heads. Na uwagę gospodyni, że to jak przyznanie się do winy, odpowiada, że przecież to jej płyta.

ANETA KYZIOŁ

© SCOTT GARFIELD, CHRIS SAUNDERS/NETFLIX, DISNEY, „SYMPHONY IN C"/SCHOOL OF AMERICAN BALLET/EWA KRASUCKA, MUZEUM OKRĘGOWE W SUWAŁKACH

eprasa.pl f001f96e29



Błyszcząca pustka 2/6

Wszystko dozwolone (All's Fair), twórcy serii: Ryan Murphy, Jon Robin Baitz i Joe Baken, 9 odc., Disney+

Serial okrzyknięty „najgorszym" – co najmniej w tym roku, ale może i w całej współczesnej, streamingowej telewizji. Czy słusznie? Wypakowany gwiazdami – z influencerką **Kim Kardashian** na czele, której towarzyszą Naomi Watts, **Sarah Paulson**, Glenn Close i **Niecy Nash-Betts** na pierwszym planie, a w epizodach jest równie na bogato – wygląda i brzmi, jakby wygenerował go ChatGPT. Według prompta w stylu: przełóż Instagram Kardashianek na ośmiogodzinny serial. Efektem jest ociekający sztucznością świat luksusu i blichtru ery Donalda Trumpa ozłacającego Gabinet Owalny i dobudowującego sale balowe do każdego budynku, w którym rezyduje. Olbrzymie rezydencje, urządzone z przepychem biura, prywatne odrzutowce, drogie i kiczowate stroje, krzykliwe samochody i biżuteria są głównymi bohaterami produkcji. Akcja jest tylko pretekstem do sprzedaży luksusu jako stylu życia i – trochę jak w filmach porno – nie ma większego znaczenia. Tu ma się kręcić wokół kobiecej kancelarii prawniczej, scen w sądzie jednak nie zobaczymy, bo twórcom szkoda ekranowego czasu na publiczne, nudne przestrzenie. Za tę wypełnioną przedmiotami pustkę najbardziej obrywa się Ryanowi Murphy'emu, niegdyś twórcy umiejętnie grającego kiczem i kampem w opowieściach-lustrach o współczesnej Ameryce. We „Wszystko dozwolone" poszedł zgodnie z tytułem na całość. I może właśnie tak tworzy się prawdziwy portret dzisiejszej Ameryki?

AK



Dwie symfonie, pięć nokturnów 5/6

Symfonia tańca, chor. Toer van Schayk, Edward Clug, George Balanchine, Teatr Wielki – Opera Narodowa

Od czasu do czasu Polski Balet Narodowy przypomina historyczne choreografie i jest w tym znakomity, tak jak i w bardziej współczesnych. Najnowsza premiera składa się z trzech części, każda opracowana przez innego choreografa. „Siódma symfonia" do muzyki Ludwiga van Beethovena, z choreografią nestora niderlandzkiego baletu Toera van Schayka, jest na naszej scenie wznowieniem – wchodziła dwa lata temu w skład spektaklu „Beethoven i szkoła holenderska". Nawiązuje do baletu klasycznego, z tym że składa się wyłącznie z ansambli. Tajemniczy tytuł drugiej, „Ssss...", zrealizowanej przez Edwarda Cluga (niedawno pokazał w Warszawie swojego „Peer Gynta"), nie jest sykiem węża, lecz odgłosem uciszania. Kameralny, tańczony przez cztery pary, oparty na pięciu nokturnach Chopina (granych na żywo przez Marka Brachę; w pozostałych realizacjach towarzyszy im orkiestra TWON pod batutą Patricka Fournilliera), swoją bardziej nowoczesną ekspresją kontrastuje zarówno z muzyką, jak i z sąsiadującymi częściami. Główne danie to jednak finał. „Symphony in C" do młodzieńczej symfonii Georges'a Bizeta to paryska choreografia George'a Balanchine'a z 1947 r. Publiczność już w pierwszej chwili, widząc na scenie tancerki w charakterystycznych spódniczkach, tzw. paczkach, daje aplauz, ale to dopiero początek. Dzieło Balanchine'a jest piękne w swojej symetrii i elegancji gestu odtwarzanej z precyzją i gracją przez PBN.

DOROTA SZWARCMAN

Banda Brandta 5/6

Monachijczycy, Muzeum Narodowe w Lublinie, do 8 marca 2026 r.

Zanim stolicą światowej sztuki stał się Paryż, na europejskiej mapie artystycznej edukacji najjaśniejszym blaskiem świeciło Monachium. Badaczka tego środowiska Halina Stępień doliczyła się aż 322 rodaków studiujących do 1913 r. malarstwo w stolicy Bawarii. Ciekawostką jest fakt, że pierwszym z nich był… rzeźbiarz i sztukator Karol Ceptowski w 1828 r. Główna fala żaków popłynęła jednak po upadku powstania styczniowego i ów historyczny moment otwiera też symbolicznie wystawę. Ekspozycję przygotowano z rozmachem. Zebrano aż 250 dzieł (częściowo wypożyczonych z Muzeum Polskiego w Rapperswilu)



Alfred Wierusz-Kowalski, „Pocztarek"

autorstwa 67 twórców. To kwiat polskiego malarstwa końca XIX i początków XX w., na czele z braćmi Gierymskimi, trzema generacjami Kossaków, Leonem Wyczółkowskim, Józefem Chełmońskim i przecierającą szlaki sztuki dla kobiet Olgą Boznańską. Ale też twórcy, których dorobek jest niejako symbolem i kwintesencją monachijskiej szkoły: guru polskiej kolonii artystycznej Józef Brandt, Alfred Wierusz-Kowalski czy Władysław Czachórski. Niewątpliwą atrakcją wystawy jest częściowa rekonstrukcja pracowni artystycznych dwóch ostatnich z wymienionych oraz Romana Kochanowskiego. A całość prowadzi widza przez charakterystyczne dla realizmu monachijczyków nastrojowe pejzaże, świetne portrety, emocjonalne sceny batalistyczne i historyczno-patriotyczne narracje, sentymentalne sceny rodzajowe rodem z polskich wsi i dworków.

PIOTR SARZYŃSKI

eprasa.pl f001f96e29

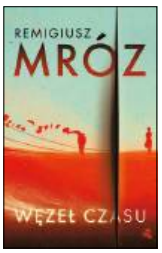

To się nie dzieje 4/6

Remigiusz Mróz, **Węzeł czasu**, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2025, s. 480



Remigiusz Mróz zmienił niedawno wydawcę – w bańce literackiej to było wydarzenie – ale tempa nie wytracił. Autor ma w dorobku koło setki książek, jeśli liczyć te opublikowane pod pseudonimami, więc szuka najwyraźniej nowych impulsów. Chyba również w warstwie fabularnej. „Węzeł czasu" to istne szaleństwo. Czego tu nie ma? Agnieszka, bohaterka tej kryminalnej opowieści, przenosi się ze współczesności w lata 30., teraz nosi imię Agnes. Po drodze zapomina, z jaką misją się tu wybrała i w jaki właściwie sposób, ale ma przy sobie skrawki gazet i… iPhone'a. Budzi się oszołomiona w lesie i jest świadkiem strasznych scen. W niemieckim Opolu (Oppeln) powoli próbuje ustalić, czego lub kogo szuka. Poznaje działających w konspiracji Polaków, Adolf Hitler dopiero rozkochuje w sobie Rzeszę, wojny jeszcze nikt nie przeczuwa. Żeby rozwikłać zagadkę tej wyprawy w przeszłość, Aga/Agnes wstępuje nawet do NSDAP. Mróz miesza konwencje z ewidentną przyjemnością i zaprasza czytelnika do eksperymentu: w jakie czasy chciałby się przenieść i po co? Aga szuka zaginionej siostry, ale pokusa, by zmienić bieg dziejów, też jest silna. Pierwsza wersja książki, jak wyjaśnia Mróz w posłowiu, powstała w 2013 r. Dziś jest koniunktura na badanie przeszłości swoich przodków i małych ojczyzn, Mróz się w nią przewrotnie wpisuje. Nie byłoby dziwne, gdyby za jakiś czas powstał z tego serial. Jest już „Breslau", może będzie i „Oppeln".

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA



Po dwu stronach 5/6

Joanna Rudniańska, **Obudziła się zimną nocą**, Nisza, Warszawa 2025, s. 124

Niewielka proza Joanny Rudniańskiej ma dużą siłę rażenia. Jak koszmar senny, z którego nie możemy się obudzić. Jesteśmy w świecie przyszłości, ale to wszystko dzieje się dzisiaj. W tle pojawia się „Droga" Cormaca McCarthy'ego, która zaczyna się zdaniem: „Obudził się zimną nocą w lesie, wyciągnął rękę i dotknął śpiącego obok dziecka". To zdanie powtarza się jako refren w tej historii dwóch kobiet z dziećmi po dwu stronach muru. Jedna z bohaterek mieszka w domu przy granicy w strefie, gdzie przechodzą uchodźcy. Ma swój własny mur, e-ścianę, która odgradza od świata. W lesie jest druga kobieta, która dopiero co urodziła dziecko, kiedyś nauczycielka, teraz zwierzyna łowna. Pomysł tej książki polega na tym, że to my jesteśmy jedną i drugą kobietą. Ta, która patrzy, za chwilę może stać się tą, która ucieka i porzuca w lesie suszarkę i inne niepotrzebne rzeczy. Są takie same. Świetnie Rudniańska odtwarza słynną scenę ze zdjęcia z fotoreporterami, którzy pochylają się nad ofiarami. Tutaj uciekająca kobieta czuje, że gra rolę uchodźczyni, kiedy obiektywy kierują się w jej stronę. Ta opowieść, której narrację tworzą też zdjęcia, zbudowana jest z samych najmocniejszych akcentów. Książka okazuje się trudna do zniesienia, ale jednocześnie nie możemy jej odłożyć. Jak we śnie, kiedy obraz dziewczynki w czerwonym kombinezonie w lesie powraca i dręczy. Przyciąga i odpycha, ale też czyta się ją w wielu miejscach jak porywający poemat o rzeczach i śmierci.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



Banką z bańki 4/6

Zbigniew Rokita, **Aglo. Banką po Śląsku**, Znak Literanova, Kraków 2025, s. 317

Wygląda na to, że Kolumb odkrył Amerykę, a Zbigniew Rokita – Śląsk. Tyle że sprawa to nienowa, bo odkrył go już w książce „Kajś", za co w 2021 r. dostał nawet stosowne nagrody, z Nike na czele. Czytając „Aglo", można odnieść wrażenie, że Rokita w tym odkrywaniu Śląska tak się rozsmakował, że nie może się zatrzymać. I tym razem bierze nas w podróż banką, czyli tramwajem. Konkretnie linią nr 7, bo to królowa śląskich banek. I trzeba od razu przyznać, że w tym pomyśle jest świeży i oryginalny. Tyle że siódemka to taki tramwaj, że w życiu by się państwo nie domyślili, że oferuje taką wspaniałą podróż. Podobnie jak w życiu by się państwo nie domyślili, ile oferuje katowicki rynek. Mnie najczęściej oferował mieszaninę przypadkowych przechodniów, z domieszką bezdomnych i poczuciem pustki. Ale tu Rokita ma przewagę, bo na Śląsk patrzy przez okulary, w których czasy się ze sobą mieszają, a historie nakładają, jak warstwy w smacznym cieście. Słowem, Rokita widzi to, czego inni zobaczyć nie potrafią. Tylko czy z samego czytania katowicki rynek nabiera wspaniałości? Autor obiecuje reportaż, a daje esej i teksty już publikowane, co razem sprawia wrażenie, że ożywia nie tylko Śląsk, ale również własną twórczość. Jakkolwiek by jednak narzekać, jest w tej książce wiele zdań, w których Rokita potrafi dać porządnie z bańki polskiemu zadęciu. Jest również wiele ciekawych pytań. Szkoda, że sam autor nie na wszystkie potrafi odpowiedzieć i ucieka w dywagacje i gry słowne. Rokita, nawet w nieco słabszej formie, to jednak książka warta przeczytania. W sumie dobrych zdań w literaturze nie jest wcale aż tak wiele.

JULIUSZ ĆWIELUCH

© MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS, MP (8)

eprasa.pl f001f96e29

muzyka

Skazana na bal 2/6

Maryla Rodowicz, Niech żyje bal, Warner



Okazję, jaką jest 80-lecie Maryli Rodowicz, wykonawczyni zestawu najczęściej coverowanych piosenek w polskiej rozrywce postanowiła uczcić, śpiewając je raz jeszcze. Pierwszą z nich, wykonywane w duecie z Mrozu „Sing-Sing", znamy od półtora roku. Kolejne duety – z Roxie Węgiel, Lanberry, Krzysztofem Zalewskim i innymi – przynosiły różne efekty (najbardziej mizerny przynosi „Ale to już było" w wersji Tribbsa). Zebrane dziś na jednej płycie – pod mało zaskakującym tytułem „Niech żyje bal" – brzmią zachowawczo i mało spójnie. Pozytywnie zaskakuje kabaretowe „Nie ma jak pompa" z udziałem Ralpha Kaminskiego, także dlatego, że ten utwór z 1977 r. należy do rzadziej wykonywanych. Całość jest, owszem, dowodem szacunku, jaki ma dla bohaterki młodsze pokolenie polskiej estrady. Tyle że zarazem potwierdza brak pomysłu na Rodowicz, co skazuje ją na nieustanne repertuarowe powtórki. Zbigniew Wodecki (współpraca z formacją Mitch & Mitch) czy Krzysztof Krawczyk („...Bo marzę i śnię" w produkcji Smolika) doczekali się odświeżenia wizerunku. Na tle ich przykładów pozbawione jednolitego pomysłu powtarzanie starych hitów rozczarowuje. A fakt, że żaden producent nie wykorzystał umiejętności Rodowicz i fal powrotów folku, by pokazać ją w bardziej surowych, prostszych aranżacjach, zakrawa wręcz na zbrodnię.

BARTEK CHACIŃSKI

festiwal

Krytyczne oko

25. MFF Watch Docs, Warszawa, 5–14 grudnia

Najnowszy dokument Laury Poitras „Cover-Up", portret dziennikarza Seymoura Hersha, otworzy 25. edycję festiwalu Watch Docs. Hersh to legenda dziennikarstwa śledczego, a zarazem postać budząca liczne kontrowersje. Sławę przyniosły mu m.in. reportaże poświęcone wojnie w Wietnamie, wśród nich teksty o masakrze w My Lai, gdzie amerykańscy żołnierze zamordowali kilkuset nieuzbrojonych cywilów. Dla Poitras, nagrodzonej Oscarem za film „Citizenfour", Hersh jest idealną postacią, by przypomnieć, że „zawsze należy być krytycznym wobec ośrodków władzy, czy to rządu, czy instytucji, dla której sam pracujesz", jak mówiła w rozmowie z „Los Angeles Times". W programie warszawskiego festiwalu znalazło się jednak znacznie więcej ciekawych propozycji, m.in. nagrodzony w Locarno film „Gaza. List z przeszłości" Kamala Aljafariego, zmontowany z archiwalnych materiałów, do tego najciekawsze polskie dokumenty tego roku, czyli „Silver" Natalii Koniarz i „Dziecko z pyłu" Weroniki Mliczewskiej, a także krótkie dokumenty Rubena Östlunda (trzykrotnie nominowanego do Oscara) oraz zmarłego kilka tygodni temu Jørgena Letha. JD



komiks

Labirynty i podróże



Oto karkołomne zadanie: przełożyć **„Trylogię nowojorską" (przeł. Przemysław Wojcieszek, Nagle! Comics, 5/6)**, cykl postmodernistycznych kryminałów Paula Austera, na język komiksu. Ostatecznie zajęło ponad 30 lat (pierwsza część, „Miasto ze szkła", ukazała się w 1994 r., kolejne dwie krótko przed śmiercią pisarza), ale efekt jest w najwyższym stopniu satysfakcjonujący. Nadzorujący całość **Paul Karasik**, współpracując z utalentowanymi grafikami **Davidem Mazzucchellim** i **Lorenzem Mattottim**, zdołał uchwycić sedno prozy Austera, wciągając czytelników w skomplikowany labirynt literackich tropów, ukrytych znaczeń, kulturowych cytatów. Znakomity album o języku, prawdzie, zmyśleniach, a w wersji komiksowej także o tym, że nie zawsze możemy ufać własnym oczom.



„Hej Djo!" (scenariusz: Marzena Sowa, rysunki: Geoffrey Delinte, przeł. Ernest Kacperski, Story House Egmont, 4/6) zabiera czytelników na wyprawę po Europie. Tytułowy bohater, 13-letni Belg, spędza wakacje u boku ojca w szoferce tira. Ich wspólna podróż stanie się okazją do wzmocnienia nadszarpniętych rodzinnych więzi, a chłopcu przyniesie też kilka cennych lekcji przyspieszonego dorastania. Scenariusz oparty jest na dobrze rozpoznanym wzorcu, lecz Marzena Sowa na szczęście potrafi wzbogacić go kilkoma trafnymi obserwacjami na temat współczesnej Europy: podzielonej ekonomicznymi nierównościami, niechętnej uchodźcom. Najważniejsze, że to opowieść pisana z wielką empatią i wiarą w prawdziwą siłę łączących ludzi uczuć.

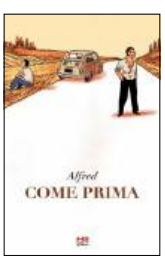

W podróż wyruszają także bracia Fabio i Giovanni w **„Come Prima" (przeł. Julia Szustak, Kultura Gniewu, 5/6)** francuskiego artysty publikującego pod pseudonimem **Alfred**. Nie widzieli się od lat, nie ma między nimi zgody, jednak wspólna droga do rodzinnego domu (muszą podzielić spadek po ojcu) staje się dla nich okazją do rozliczenia z błędami przeszłości, a dla każdego z osobna – do pogodzenia się z życiowymi rolami. Pięknie narysowany (zwłaszcza oniryczne sceny retrospekcji) album to nie tylko poruszająca i dowcipna opowieść, lecz także sentymentalna wyprawa w przeszłość: akcja osadzona jest u schyłku lat 50., Alfred zaś mistrzowsko przenosi wdzięk włoskiej prowincji na obrazy.

JAKUB DEMIAŃCZUK

eprasa.pl f001f96e29

Odznaki szczególne

11 stycznia już po raz 33. wręczymy Paszporty POLITYKI. Tymczasem ogłaszamy nominacje: na początek w dwóch z siedmiu kategorii.



ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

BARTEK CHACIŃSKI

W polu „znaki szczególne" Paszportu POLITYKI wpisujemy, wzorem twórcy tej nagrody Zdzisława Pietrasika, słowo „talent". Pole „obywatelstwo" się tu nie pojawia. O ile te zwykłe urzędowe dokumenty oddają pochodzenie i narodowość, o tyle kultura – a przynależność do jej świata premiują Paszporty POLITYKI – nie zna granic i prezentuje ludzi w całej ich złożoności. A jak pisał Edward Said: „Dziś nikt nie jest wyłącznie czymś jednym".

Tylko czy aby na pewno jest tak dopiero dziś? Nie bylibyśmy tu, gdzie jesteśmy, gdyby nie poeta urodzony w dzisiejszej Białorusi, wykształcony w dzisiejszej Litwie, później wieloletni emigrant i obieżyświat, swoje najwybitniejsze utwory publikujący poza Polską (pisujący też po francusku). I gdyby nie kompozytor urodzony w polsko-francuskiej rodzinie, który również na emigracji pisał najsłynniejsze utwory. Nominowany w kategorii scena Mikita Iłyńczyk urodził się, jak kiedyś Mickiewicz, w Nowogródku. Zresztą gdyby miejsce urodzenia decydowało o czymkolwiek, cała kategoria znalazłaby się w tarapatach: Katarzyna Minkowska przyszła na świat w Nowym Jorku, a Ramona Nagabczyńska w Toronto. Ważna jest tu jednak tożsamość i wybór polskich scen.

Najbliżej Chopina spośród prezentowanych dziś nominowanych z dwóch pierwszych paszportowych kategorii znalazł się rzecz jasna Eryk Kulm (kategoria film), który trafił do elitarnego grona odtwórców roli wielkiego kompozytora wśród polskich aktorów. Nie zdradzimy jednak wielkiej tajemnicy, uprzedzając, że to nie ostatni chopinowski akcent w tegorocznych nominacjach. Kolejne przedstawimy w dwóch odsłonach: 2 grudnia w kategoriach muzyka popularna i sztuki wizualne, a 9 grudnia – książka, muzyka poważna i kultura cyfrowa. Wszystkie pomogli nam zebrać reprezentanci polskiej krytyki, łącznie 52 osoby. Listę tych świetnie zorientowanych w poszczególnych dziedzinach fachowców znaleźć można poniżej.

Wręczenie naszych dorocznych nagród kulturalnych już w niedzielę 11 stycznia 2026 r. o godz. 20, podczas gali transmitowanej przez TVP2 (do TVP wracamy po 10 latach) oraz w naszych kanałach na YouTube i Facebooku. Wtedy też przekonamy się, kto otrzyma nagrodę specjalną Kreatora Kultury oraz Paszport Czytelników. O tym ostatnim nie decyduje kapituła Paszportów: 9 grudnia, wraz z ujawnieniem ostatnich nominacji, ruszy głosowanie na naszej stronie internetowej – nagrody dla głosujących to subskrypcja POLITYKI oraz zaproszenie na galę. Najlepsze uzasadnienie nagrody zostanie wpisane jako laudacja w Paszporcie. Wszystkie te laury są szczególne, ale ten pozostaje wyjątkowy wśród szczególnych.

Więcej o nominacjach: polityka.pl/paszporty
Materiały do pobrania dla mediów: paszportypolityki.pl

Lista nominujących: Jan Błaszczak (dwutygodnik.com, „Tygodnik Powszechny"), Katarzyna Borowiecka (Polskie Radio Trójka), Rafał Bryndal („ZAiKS Wiadomości"), Jacek Cieślak („Rzeczpospolita"), Anna S. Dębowska („Gazeta Wyborcza"), Gabi Drzewiecka (Chillizet, TVP, „Glamour"), Mirosław Filiciak (Uniwersytet SWPS), Jacek Hawryluk (Polskie Radio Trójka), Barbara Hollender („Rzeczpospolita"), Alek Hudzik (mintmagazine.pl), Katarzyna Janowska (onet.pl, „Newsweek"), Rafał Kamecki (artinfo.pl), Eliza Kącka (UW), Jakub Knera (Nowe Idzie Od Morza, The Quietus), Piotr Kofta (krytyk niezależny), Piotr Kosiewski („Tygodnik Powszechny"), Dariusz Kosiński („Tygodnik Powszechny", UJ), Zofia Król (dwutygodnik.com), Monika Kwaśniewska-Mikuła („Didaskalia", UJ), Łukasz Maciejewski (Szkoła Filmowa w Łodzi, interia.pl), Paulina Małochleb (UJ, blog „Książki na ostro"), Jacek Marczyński („Rzeczpospolita", „Ruch Muzyczny"), Alicja Müller („Didaskalia"), Katarzyna Niedurny (Podcast o Teatrze), Michał Nogaś (Polskie Radio Trójka), Michał Oleszczyk (UW, podkast Spoilermaster), Marta Perchuć-Burzyńska (Tok FM), Anita Piotrowska („Tygodnik Powszechny"), Tomasz Plata („Teatr", AT), Karolina Plinta (Magazyn Szum), Iza Pogiernicka (twitch.tv/9kier, „CD-Action"), Adriana Prodeus („Kino", „Vogue"), Piotr Sadzik (UW), Anna Sańczuk /Maciej Ulewicz (Kultura do Kwadratu), Paweł Schreiber (UKW), Barnaba Siegel („CD-Action"), Karol Sienkiewicz („Gazeta Wyborcza"), Jędrzej Słodkowski („Gazeta Wyborcza"), Krzysztof Stefański („Ruch Muzyczny"), Rafał Syska (Narodowe Centrum Kultury Filmowej), Wojciech Szot („Gazeta Wyborcza", blog „Zdaniem Szota"), Jarek Szubrycht („Gazeta Wyborcza"), Agnieszka Szydłowska (Polskie Radio Trójka), Bogna Świątkowska („Notes na 6 Tygodni"), Wiktoria Tabak (culture.pl, UJ), Jan Topolski (krytyk niezależny), Grażyna Torbicka (niezależna krytyczka, dyrektorka festiwalu Dwa Brzegi), Michał Walkiewicz (krytyk niezależny), Marlena Wieczorek (meakultura.pl), Michał Radomił Wiśniewski (dwutygodnik.com, polityka.pl), Elwira Wojtunik (Fundacja Photon, Patchlab Digital Art Festival) oraz dziennikarze działu kultury POLITYKI.

eprasa.pl f001f96e29

Paszporty
Polityki
2025

Nominacje w kategoriach:
FILM | SCENA

3.12
Sztuki Wizualne | Muzyka Popularna
10.12
Muzyka Poważna | Książka
Kultura Cyfrowa

polityka.pl/paszporty

#kulturajutra

Współorganizator Gali

Partnerzy Główni

Partner Oficjalny

Warszawa

Partnerzy Kategorii

Książka

Scena

Film

Sztuki wizualne

Muzyka poważna

Partner Medialny

eprasa.pl f001f96e29

PASZPORTY POLITYKI 2025

Nominacje: film



© LESZEK ZYCH (3)

Emi Buchwald

Reżyserka i scenarzystka. Urodziła się 15 listopada 1991 r. w Skierniewicach, wychowała w Dąbrowicach. Jest absolwentką Wydziału Reżyserii Filmowej i Telewizyjnej PWSFTViT w Łodzi. Wywodzi się z rodziny wielodzietnej, ma pięcioro rodzeństwa (sama jest środkową siostrą). To doświadczenie wywarło kluczowy wpływ na tematykę jej twórczości, zwłaszcza debiutu, w którym chciała opowiedzieć o „splątaniu wieloosobowym". Jej artystyczna droga rozpoczęła się od form krótkometrażowych, w tym dokumentów, często nagradzanych na festiwalach. Poetycka forma kontrastuje w jej filmach z prozą życia. Subtelnie i z humorem potrafi rozbrajać dramatyczne, pełne napięcia sytuacje. Interesuje się koncepcją „miejsca rodzinnego" (temat eksplorowany m.in. w „Heimat"). Studencką etiudę „Nauka" poświęciła procesowi uczenia się przez dzieci wiersza Juliana Tuwima. W „Echu" podjęła problem terapii jąkania. Debiut pełnometrażowy Emi Buchwald „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej" to naturalna konsekwencja jej dotychczasowych wyborów artystycznych. Koncentruje się na bliskości, czułości i ciekawości relacji rodzinnych. Siłą filmu jest realistyczna, niemal dokumentalna uważność, otwarta na metafizykę. „Od dziecka słuchałam historii o naszych przodkach. Wiele z nich, a może nawet większość, miała w sobie wątki duchologiczne i metafizyczne. Mój dziadek spisywał nadprzyrodzone historie naszej rodziny. Zawarł je w zbiorze opowiadań »Opowieści Dąbrowickie«" – tłumaczyła w jednym z wywiadów.

Film opowiada o czwórce rodzeństwa mieszkającego w Warszawie, które łączą toksyczne więzi, uzależnienie, stany lękowe, odrzucenie i potrzeba znalezienia bezpiecznego miejsca. Na 50. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni jej debiut uznano za objawienie. Zdobył m.in. Złotego Pazura przyznawanego za „odwagę formy i treści", nagrodę za najlepszą reżyserię i drugoplanową rolę kobiecą. Dziennikarze wybrali „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej" na najlepszy film festiwalu. Zwracano uwagę na czułość i empatię, zachwycające aktorstwo, naturalnie brzmiące dialogi. Podkreślano, że film niesie pozytywny wydźwięk, a historia jest mądrze wsłuchana w ludzki lęk i wyrozumiała wobec cierpienia wieku dojrzewania.

Ponadto zgłoszeni zostali:

Kasper Bajon (scenarzysta, „Heweliusz"),
Michał Dymek (operator, „Dziewczyna z igłą"),
Matylda Giegżno (aktorka, „Światłoczuła"),
Lena Góra (aktorka, „Przesmyk"),
Natalia Koniarz (reżyserka, „Silver"),
Iga Lis (reżyserka, „Bałtyk"),
Marek Modzelewski (scenarzysta, „Teściowie 3"),
Jakub Rużyłło (scenarzysta, „1670"),
Tomasz Schuchardt (aktor, „Dom dobry"),
Justyna Wasilewska (aktorka, „Heweliusz"),
Filip Zaręba (aktor, „LARP. Miłość, trolle i inne questy")

PARTNER KATEGORII

KUJAWY POMORZE

FUNDUSZ FILMOWY KUJAWY POMORZE

eprasa.pl f001f96e29



Kordian Kądziela

Reżyser i scenarzysta znany z charakterystycznego stylu łączącego elementy surrealizmu, absurdu i ironii z trafną obserwacją współczesnej rzeczywistości. Urodził się 4 lipca 1987 r. w Kędzierzynie-Koźlu. Wychował w Głogówku, skąd pochodzi jego rodzina. Od najmłodszych lat interesował się kinem i sztuką filmową. W 2019 r. ukończył studia z reżyserii filmowej i telewizyjnej na Wydziale Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Jego filmy krótkometrażowe, takie jak „Muka!", „Tiwi", „Szczękościsk", „Fusy", wyróżniają bezpretensjonalność, lekkość dialogu, niewymuszony humor i młodzieńcza energia. Doceniano je m.in. na festiwalach w Gdyni, Krakowie, Petersburgu, Barcelonie i Breście. Największym jak dotąd sukcesem Kądzieli jest bijący rekordy popularności serial „1670" (właśnie powstaje trzeci sezon), współreżyserowany z Maciejem Buchwaldem. Opowieścią o szlachcicu Janie Pawle, właścicielu połowy wsi Adamczycha, zachwycali się niemal wszyscy, natomiast prawica wytykała autorom uprawianie pedagogiki wstydu, wpisanej w rewizjonistyczny nurt ludowej historii Polski. Pełnometrażowy debiut fabularny Kądzieli „LARP. Miłość, trolle i inne questy" stanowi rozwinięcie jego etiudy „Larp" z 2014 r. LARP to terenowa wersja gier RPG, której uczestnicy wspólnie tworzą i przeżywają opowieści, zwykle spod znaku magii i miecza, wcielając się w wybrane przez siebie role. Światowa premiera filmu odbyła się na Międzynarodowym Festiwalu w Montrealu. Jego twórcy zostali uhonorowani nagrodą za najlepszy scenariusz. W tym niesamowitym, wymyślonym świecie nastoletni bohater jest prawdziwym herosem – męskim, dzielnym, niepokonanym. W świecie rzeczywistym – już niekoniecznie. Andrzej Konopka, grający despotycznego ojca nieśmiałego chłopaka słabo radzącego sobie w życiu, otrzymał w Gdyni wyróżnienie za najlepszą kreację drugoplanową. Kordian Kądziela kręci także spoty reklamowe i teledyski. Jest miłośnikiem Śląska, Polski, małych i średnich miast, starych ośrodków wczasowych, angielskiej Premier League i okręgowych rozgrywek piłkarskich.



Eryk Kulm

Aktor filmowy i teatralny, kompozytor. Urodził się 19 października 1990 r. w rodzinie artystycznej. Jego matka była malarką, ojciec Eryk Kulm senior – jednym z najwybitniejszych perkusistów w historii polskiego jazzu, a dziadek przez ponad trzy dekady pełnił funkcję oficera „rozrywkowego" na transatlantyku MS „Batory" (wystąpił nawet w filmowym „Kochaj albo rzuć" Sylwestra Chęcińskiego). Jako dziecko Eryk Kulm uczył się grać na fortepianie, doskonalił swoje zdolności w szkole muzycznej, ale ostatecznie wybrał aktorstwo, kończąc Akademię Teatralną w Warszawie w 2016 r. Debiutował na dużym ekranie w roli ucznia w głośnym dramacie psychologicznym Magdaleny Piekorz „Pręgi". Grywał w serialach, m.in. „Na Wspólnej", w „Barwach szczęścia", „Bodo", „Wojennych dziewczynach", „Kuchni", „Kiedy ślub?". Przełomem okazała się tytułowa rola w dramacie wojennym „Filip" na podstawie prozy Tyrmanda. Kręcenie tego filmu zbiegło się ze śmiercią jego rodziców. Grając polskiego Żyda, który stracił w warszawskim getcie całą swoją rodzinę, aktor odreagowywał żałobę po nich. Przytył do tej roli siedem kilogramów, nauczył się tańczyć, stepować, boksować i płynnie mówić po francusku. Krytycy zachwycali się jego wszechstronnością, łączeniem powagi z ironią, umiejętnością kamuflażu. Otrzymał za nią m.in. Nagrodę im. Zbyszka Cybulskiego oraz Orła za najlepszą główną rolę męską. Powtórzył sukces, występując ponownie u Michała Kwiecińskiego w największej superprodukcji ostatnich dekad i jednym z najdroższych filmów w historii polskiej kinematografii „Chopin, Chopin!" (kosztował 72 mln zł). Kreacja Kulma łamie stereotypy i buduje wywrotowy wizerunek polskiego kompozytora, stojący w sprzeczności z narodowym mitem melancholika, a jednocześnie uzależnionego od życia towarzyskiego, sławy, podziwu kobiet dandysa i lwa salonowego. Filmowy wizerunek Chopina przypomina bardziej współczesną gwiazdę rocka niż poddającego się śmiertelnej chorobie gruźlika. Aktor przyznaje w wywiadach, że całe życie marzył, by zagrać genialnego muzycznego autystyka, co zmotywowało Kwiecińskiego do napisania tej roli specjalnie dla niego.

eprasa.pl f001f96e29

PASZPORTY POLITYKI 2025

Nominacje: scena

Mikita Iłyńczyk

„Przyglądam się, jak rodzą się nowi bohaterowie i kim są: migranci, hybrydy. Hybrydyczność jest też soczewką, przez którą można patrzeć na społeczeństwo" – opisywał przed rokiem w POLITYCE swoją strategię twórczą, przedstawiając się jako „hybrydowy Polak". Urodził się w 1995 r. w białoruskim Nowogródku, jest dramatopisarzem, dramaturgiem i reżyserem o polskich korz e niach. Gdy w ramach represji za udział w antyreżimowej demonstracji nie dostał się na studia w Mińsku, wyjechał do Moskwy, gdzie skończył Akademię Sztuk Teatralnych GITIS. Jako reżyser zadebiutował własną adaptacją „Łaskawych" Jonathana Littella w Teatrze na Małej Bronnej. Drugiego spektaklu – „Wiśniowego sadu" Czechowa z transseksualną aktorką w roli Raniewskiej – nie dokończył, próby przerwała rozkręcona przez nacjonalistów nagonka. Po pełnoskalowej napaści Rosji na Ukrainę po raz drugi spakował plecak i udał się na emigrację. W Teatrze Polskim w Bydgoszczy wystawił w 2022 r. własny tekst „F***ing in Brussels", o odrzuconym przez Unię Europejską i obmyślającym perwersyjną zemstę migrancie ze Wschodu. Jego dramaty „Dark Room" i „Say Hi to Abdo" zwyciężały w międzynarodowym konkursie Aurora – Nagroda Dramaturgiczna Miasta Bydgoszczy. Ten drugi, wystawiony pt. „2049: Witaj, Abdo" w warszawskim Teatrze Studio przez Piotra Pacześniaka, to inspirowana „Uległością" Houellebecqa prowokacyjna satyra z elementami dokumentalnymi, w której upadłą Unię Europejską zastąpiła Unia Euro-Islamska, powołany przez rządzącą europejskimi kalifatami partię Fem-Dżihad Instytut Ludobójstwa Narodów Arabskich sądzi odpowiedzialnych za kryzys humanitarny na granicy polsko-białoruskiej. Połączeniem political fiction i gorzkiej satyry jest też „Pigmalion", inspirowany komedią Shawa oraz wzbierającymi nastrojami antyimigranckimi, zrealizowany w poznańskim Teatrze Polskim: w Polsce trwają łapanki i wywózki migrantów, żeby przetrwać, bohaterka musi się pozbyć wschodniego akcentu. Najnowszy spektakl z jego dramaturgią, „Un-packing" (reż. Katarzyna Kalwat, Teatr Dramatyczny w Warszawie i Wrocławski Teatr Współczesny), jest oparty m.in. na reportażowej książce „Kamienie musiały polecieć: wymazywana przeszłość Podlasia" Anety Prymaki-Oniszk.



© LESZEK ZYCH (3)

Ponadto zgłoszeni zostali:

Kamil Białaszek (reżyser, dramaturg),
Michał Buszewicz (dramatopisarz, reżyser),
Anna Ilczuk (aktorka),
Fabien Lédé (artysta wizualny i scenograf),
Pamela Leończyk (reżyserka),
Marianna Linde (aktorka),
Anna Obszańska (reżyserka, choreografka),
Jędrzej Piaskowski i **Hubert Sulima** (duet reżysersko-dramaturgiczny),
Paweł Sakowicz (tancerz i choreograf),
Agata Siniarska (choreografka, performerka, dramaturżka),
Magda Szpecht (reżyserka),
Marta Szypulska (kostiumografka),
Łukasz Twarkowski (reżyser),
Dominik Więcek (choreograf, tancerz, performer),
Marta Ziółek (choreografka, performerka)

PARTNER KATEGORII
Białystok

eprasa.pl f001f96e29



Katarzyna Minkowska

„Biorąc pod uwagę jej dorobek i pozycję w polskim teatrze, trudno uwierzyć, że zadebiutowała raptem kilka lat temu" – pisaliśmy przed rokiem, gdy była nominowana do Paszportu po raz pierwszy. Od tego czasu urodzona w 1992 r. w Nowym Jorku reżyserka, współautorka scenografii i scenariuszy do swoich spektakli, jeszcze wzmocniła swój wpływ. Do już docenionych, zarówno przez krytyków, jak i widzów, spektakli, jak „Cudzoziemka" (Teatr Polski w Poznaniu), „Mój rok relaksu i odpoczynku" (Teatr Dramatyczny w Warszawie) czy „Kiedy stopnieje śnieg" (TR Warszawa; za scenariusz otrzymali z Tomaszem Walesiakiem Gdyńską Nagrodę Dramaturgiczną), dołożyła mozaikową „Jesień" według Ali Smith (wrocławski Teatr Polski w Podziemiu), familijne przedstawienie „Człowiek jaki jest, każdy widzi" według książki Marzeny Matuszak (Nowy Teatr w Warszawie, Teatr im. Żeromskiego w Kielcach i Teatr TV), „Sceny z życia małżeńskiego" według Bergmana (krakowski Stary Teatr) oraz reżyserię... pożegnalnych koncertów Quebonafide na Stadionie Narodowym. Wkrótce zaś odbędzie się premiera „Wszyscy jesteśmy Belén" (olsztyński Teatr im. Jaracza), spektaklu opartego na reportażu Any Eleny Correi o dramatycznej i zwycięskiej walce argentyńskich kobiet o prawo do aborcji.

Zawodową drogę utorowała reżyserce otrzymana na krakowskim Forum Młodej Reżyserii nagroda Debiut TR. W jej ramach powstał spektakl „Stream" (TR Warszawa, 2020 r.), łączący greckie mity z prawdziwym, transmitowanym w sieci morderstwem nastolatki. Nowoczesny formalnie, a jednocześnie narracyjny i wciągający, skupiony na śledzeniu stanów psychicznych bohaterów, a przy tym niepozbawiony dystansu i ironii, był zapowiedzią przyszłej twórczości Minkowskiej. Reżyserkę interesuje przede wszystkim sztuka z pogranicza realizmu i psychoterapii, temat przepracowywania rodzinnych traum, straty i żałoby. Tworzy teatr z oddechem i realizacyjnym rozmachem, często zakorzeniony w literaturze (klasycznej, jak Kuncewiczowa, i współczesnej, jak Smith czy Ottessa Moshfegh), ale też przyglądający się samej sztuce i teatrowi. Jest absolwentką reżyserii w Akademii Teatralnej w Warszawie, studiowała też scenografię na stołecznej ASP.



Ramona Nagabczyńska

Urodzona w 1984 r. w Toronto tancerka, choreografka, performerka i pedagożka ukończyła Ogólnokształcącą Szkołę Baletową w Warszawie, a następnie studiowała taniec współczesny w Hochschule für Musik und Darstellende Kunst we Frankfurcie nad Menem i w London Contemporary Dance School. Była związana z europejskimi sieciami apap Network i Aerowaves, współzakładała Centrum w Ruchu, przez ponad dekadę wspierające rozwój sztuki choreografii w Warszawie.

Jako choreografka zadebiutowała w 2009 r. pracą „Man's Best Friend", zrealizowaną w ramach programu „Solo Projekt" Starego Browaru w Poznaniu. Współpracowała z reżyserami, choreografami i artystami wizualnymi, m.in. z Clod Ensemble, Davidem Wampachem, Rebeccą Lazier, Martą Ziółek, Pawłem Sakowiczem, Małgorzatą Wdowik, Eweliną Marciniak, Pauliną Ołowską czy Pawłem Althamerem. W choreografiach lubi zaglądać pod podszewkę schematycznych i konwencjonalnych wyobrażeń kobiecości. W solowych performansach obnaża – jak pisała krytyczka – „mięsność istnienia" („Części ciała", 2019 r.), analizuje ciążę i poród („Błogo", zrealizowane w ramach wystawy „Witkacy. Sejsmograf epoki przyspieszenia" w warszawskim Muzeum Narodowym). W „Silenzio!" (Nowy Teatr w Warszawie i Art Stations Foundation, 2021 r.) wraz z trzema performerkami brawurowo wykorzystują operę do wyrażenia buntu przeciw odcieleśniającym konwencjom, w jakich funkcjonują kobiety. Za ten spektakl otrzymała nagrodę reżyserską na Międzynarodowym Festiwalu Boska Komedia. „Hate Haus", stworzony z grupą Hertz Haus (2024 r.), „wydobywał partykularny głos kolektywu", a „Anonimowi performerzy" z warszawskiego Studia z tego samego roku to przewrotna analiza mechanizmów uzależnienia od występowania na scenie. Hitem jest zrealizowany w Komunie Warszawa najnowszy spektakl Nagabczyńskiej „Kocham balet", kameralny i widowiskowy jednocześnie. Razem z Aleksandrą Borys, Karoliną Kraczkowską i Izą Szostak, które przeszły podobną drogę co choreografka – od szkoły baletowej do tańca współczesnego – przyglądają się swemu dzisiejszemu stosunkowi do klasyki. Nic, z odwołaniami do „Jeziora łabędziego" włącznie, nie jest tu jednoznaczne, a efekt zachwyca.

eprasa.pl f001f96e29

Lista Polskiego Dziedzictwa Filmowego nie jest próbą stworzenia nowego kanonu, zresztą żyjemy w czasach, w których kanony się raczej kwestionuje – mówi Tomasz Kolankiewicz, dyrektor Filmoteki Narodowej – Instytutu Audiowizualnego.

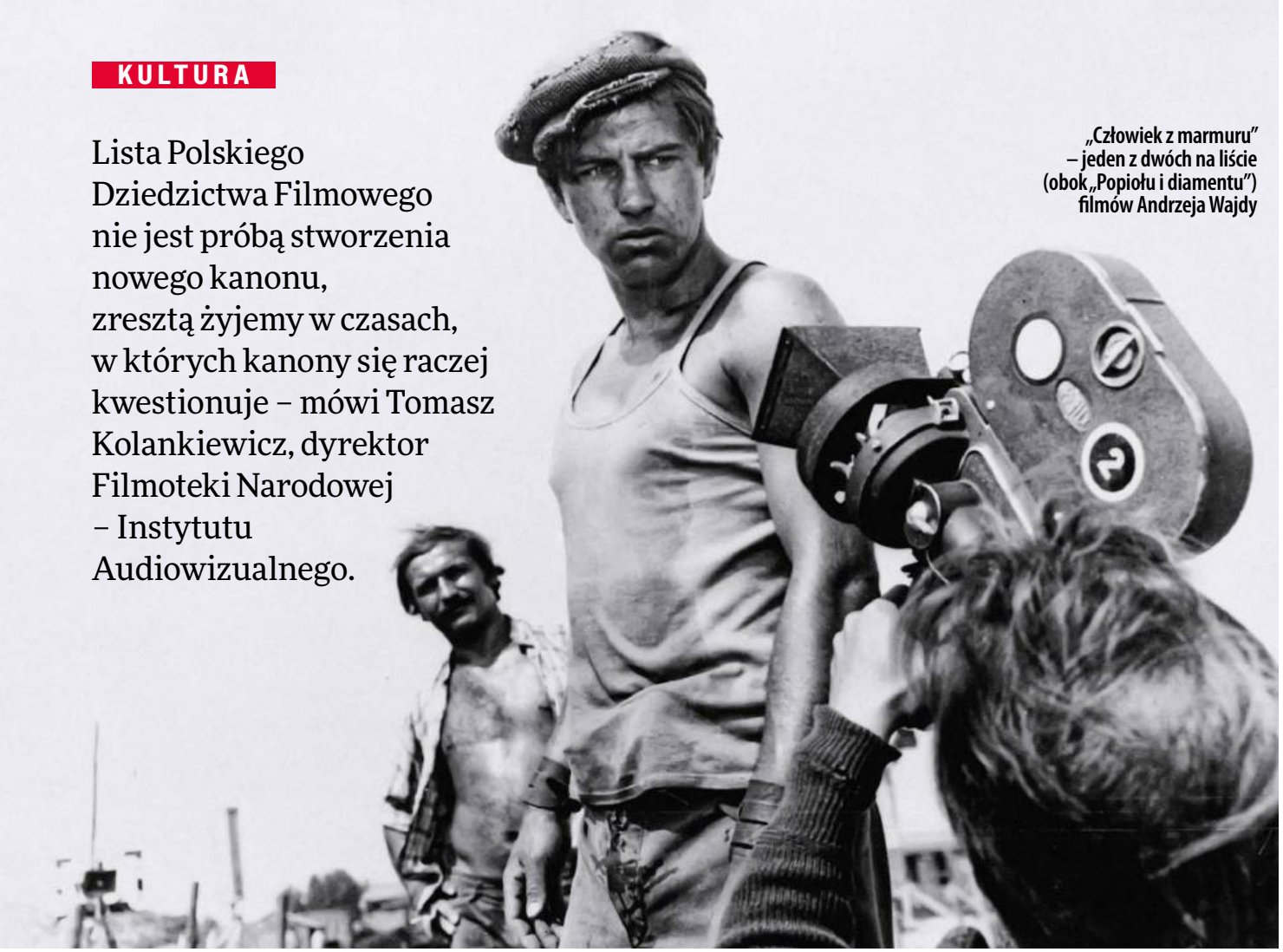

„Człowiek z marmuru" – jeden z dwóch na liście (obok „Popiołu i diamentu") filmów Andrzeja Wajdy

© RENATA PAJCHEL / EAST NEWS, RAFAŁ GUZ/PAP

Birkut otwierał drzwi

JAKUB DEMIAŃCZUK: **– Skąd wzięła się potrzeba stworzenia Listy Polskiego Dziedzictwa Filmowego?**

TOMASZ KOLANKIEWICZ: – Z tym pomysłem wyszła dr Monika Supruniuk, moja zastępczyni, konserwatorka taśmy filmowej, badaczka życia i osiągnięć Kazimierza Prószyńskiego, polskiego wynalazcy i konstruktora filmowego. Bezpośrednią inspiracją do stworzenia listy był rejestr filmów prowadzony przez Bibliotekę Kongresu Stanów Zjednoczonych – stamtąd pożyczyliśmy też pomysł, żeby lista była co roku uzupełniana o kolejne tytuły. A podstawowe założenie Listy Polskiego Dziedzictwa Filmowego było takie, że chcemy pokazać to, co najważniejsze w polskim dorobku audiowizualnym. I nie chodziło wyłącznie o pole estetyczne – to tylko jeden z elementów, które braliśmy pod uwagę, wcale nie kluczowy.

Potrzebny nam kolejny kanon filmowy?

Ale to nie jest żaden kanon ani ranking najlepszych polskich filmów. Kontrowersje, jakie budzi lista, biorą się najczęściej z niezrozumienia założeń. Kluczem jest tutaj perspektywa Filmoteki Narodowej jako archiwum. Dla nas, tak jak dla wszystkich widzów, jest oczywiście istotne, czy film jest spełniony artystycznie. Lecz równie ważne jest to, na jakim nośniku został zapisany, jak ma być prezentowany, jakie miał w momencie premiery znaczenie nie tylko dla teoretyków, ale też dla polskiego społeczeństwa. Nie każdy film spełniony artystycznie jest ważny, z drugiej strony filmy mniej udane często stają się z jakiegoś powodu istotne albo kultowe. Przy układaniu listy znaczące było też to, co wynikało z ewolucji formy filmowej. Historia kina jest przecież zespolona z historią rozwoju sprzętu filmowego. Zależało nam na tym, żeby ewolucja technologiczna znalazła odzwierciedlenie na naszej liście, to znaczy, że są tutaj filmy, które pod takim czy innym względem były pionierskie. To oczywiście



Tomasz Kolankiewicz (ur. 1984 r.) – filmoznawca, historyk filmu. Pracował m.in. w redakcji filmowej TVP Kultura, w latach 2020–23 pełnił funkcję dyrektora artystycznego Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Od 2024 r. jest dyrektorem Filmoteki Narodowej – Instytutu Audiowizualnego.

eprasa.pl f001f96e29

też się zmienia. Historia filmu nie jest wyryta w kamieniu, jest płynna. Przez lata uważaliśmy „Mocnego człowieka" Henryka Szary za film zaginiony, a jednak zachował się do naszych czasów i dziś uznajemy go za jedno z najważniejszych arcydzieł kina przedwojennego. Zmienia się także recepcja kina. Dlatego zależało nam na pokazaniu jak najszerszego spektrum i uchwyceniu tych różnych elementów.

Wybraliście 70 filmów na 70-lecie Filmoteki Narodowej. Jakie były inne kryteria selekcji tytułów?

70 filmów to baza, która, jak powiedziałem, będzie rozbudowywana o kolejne tytuły, po dziesięć rocznie. Jest fundamentem. Przyjęliśmy bardzo konkretne założenia. Wiadomo, że chcieliśmy mieć film najstarszy, stąd na liście „Pruska kultura" z 1908 r., najstarszy film fabularny związany tematycznie z Polską i uznawany za najstarszy zachowany polski film fabularny. Z drugiej strony chcieliśmy, żeby w zestawieniu znalazły się filmy, które mają minimum 20 lat, bo z perspektywy badaczy taki margines czasowy jest bezpieczny, żeby obiektywnie ocenić kulturowe i społeczne znaczenie filmu. Kolejny wyznacznik był taki, że staraliśmy się zachować reprezentację dzieł powstających w różnych dekadach i w każdej z nich – o ile to tylko możliwe – miały znaleźć się różne formy wypowiedzi artystycznej. Filmy fabularne, dokumentalne, animowane, eksperymentalne, oświatowe, etiudy studenckie, nawet kroniki filmowe, a także wideo-art, stąd na liście prace Józefa Robakowskiego, Natalii LL czy Wilhelma Sasnala. „Concorde" Sasnala jest zresztą bardzo dobrym przykładem tego, jakie braliśmy pod uwagę założenia, bo to praca pokazywana w szczególny sposób: taśma, przechodząc przez projektor, przechodzi jednocześnie przez papier ścierny, więc się po prostu niszczy. Dzieło ulega destrukcji podczas projekcji. Z archiwistycznego punktu widzenia to bardzo ciekawe zagadnienie: jak konserwować, jak pokazywać takie dzieło, żeby publiczność mogła je oglądać zgodnie z założeniami artysty. To nie jest raczej film, który da się oglądać w serwisach streamingowych...

To niejedyna ciekawostka na liście.

Mamy w zestawieniu film, który jest ewenementem: domowe, można powiedzieć „amatorskie" nagrania Kazimierza Prószyńskiego, które realizował skonstruowaną przez siebie kamerą, będącą jednocześnie projektorem, na autorskiej 12-centymetrowej taśmie. To był rewolucyjny pomysł i my mamy zachowany zarówno aparat Oko, jak i oryginalne taśmy z lat 20. I choć sam film nie przedstawia wielkiej wartości artystycznej (to nagranie z Gdyni, gdzie Prószyński kręcił swoją rodzinę), niemniej jest to jeden z największych skarbów filmowych, jakie mamy w Polsce. Po 1989 r. zaczęły pojawiać się filmy niezależne i też chcieliśmy to uwzględnić. Nawet na festiwalu w Gdyni powstała wtedy dla nich specjalna sekcja. Czy to znaczy, że są lepsze niż „Ziemia obiecana", która się na liście – na razie – nie znalazła? Nie, ale my w ogóle nie chcieliśmy robić takiego zestawienia porównawczego. Po prostu na listę musiały trafić filmy, które reprezentowały pewne nurty: od socrealizmu proklamowanego na zjeździe filmowym w Wiśle w 1949 r., poprzez czarną serię polskiego dokumentu, po kino ▶

REKLAMA

WE WTOREK, 2 GRUDNIA W „WYBORCZEJ"

wyjątkowy kalendarz astronomiczny na 2026 rok



- Zorze polarne, zaćmienie Księżyca, Droga Mleczna, komety...
- Kalendarium obserwacji nieba
- Niezwykłe zjawiska i kosmiczne zdjęcia

GAZETA wyborcza

eprasa.pl f001f96e29

▶ moralnego niepokoju. Socrealizm na przykład reprezentuje „Przygoda na Mariensztacie" Leonarda Buczkowskiego. Czy to lepszy film niż „Pociąg" Kawalerowicza? Na pewno nie, lecz z punktu widzenia historii polskiego kina jest szczególnie istotny: to pierwszy barwny film polski.

Wasz wybór wzbudził mimo wszystko spore kontrowersje.

Oczywiście nasza lista była robiona w przewrotny sposób. Miała wzbudzić dyskusję i być też pewnego rodzaju zabawą, od początku zachęcaliśmy widzów do udziału. Oczekujemy kontrowersji, chcemy rozmawiać o tym, czym jest nasze dziedzictwo filmowe i jak można na nie patrzeć wieloaspektowo. Przy czym, jak mówiłem, my nie tworzymy nowego kanonu ani listy najważniejszych filmów fabularnych wielkich mistrzów. Zresztą żyjemy w czasach, w których kanony się raczej kwestionuje – tak było przy okazji chyba najbardziej znanego rankingu ogłaszanego co dziesięć lat przez magazyn „Sight and Sound". Gdy Chantal Akerman z filmem „Jeanne Dielman, Bulwar Handlowy, 1080 Bruksela" zdetronizowała na szczycie zestawienia „Obywatela Kane'a", to też wzbudziło wielkie kontrowersje. Właśnie dlatego, że była to de facto próba zakwestionowania dotychczasowego kanonu, a może raczej pokazania, że kanon także podlega redefinicji, reinterpretacji, w tym przypadku w świetle kina kobiet. Taka dyskusja wzbogaca nasze rozumienie kina.

Nie mieliście pokusy, żeby te kryteria nagiąć? Nie trzeba czekać 20 lat, by dostrzec znaczenie „Idy" czy „Kleru".

Nie. I podejrzewam, że te filmy trafią w odpowiednim momencie na listę. Jeden jako laureat Oscara, drugi jako fenomen społeczny i film, który zabrał istotny głos w debacie publicznej. Czasem od razu widać, jaki oddźwięk społeczny ma dany film: „Dom dobry" Wojciecha Smarzowskiego to doskonały przykład. Bez nagród na festiwalu w Gdyni, sporo bardzo krytycznych głosów ze strony dziennikarzy, a tu nagle się okazuje, że to pierwszy po pandemii film polski na ważny społecznie temat, który naprawdę zainteresował publiczność. Jednocześnie ta karencja ma znaczenie, czasem trzeba spojrzeć na dzieło z dystansu. I widać to choćby po „Psach" Władysława Pasikowskiego. Pamiętamy, po premierze mocno krytykowany za schlebianie niskim gustom, Andrzej Wajda wychodził z kina oburzony sceną z ubekami śpiewającymi piosenkę o Janku Wiśniewskim. Z czasem zmienił zdanie. My teraz wiemy, jak ważny, nie tylko dla widzów, był to film.

Dlaczego na liście znalazły się tylko dwa filmy Andrzeja Wajdy?

Jako założenie przyjęliśmy ograniczenia. Jak w grupie literackiej OuLiPo – to miało nam utrudnić pracę i równocześnie ułatwić ucieczkę od utartych schematów. Jednym z nich było na tym pierwszym etapie ograniczenie każdego twórcy do dwóch filmów. Brakuje tu więc bardzo wielu tytułów także dlatego, że nie chcieliśmy, by wielcy mistrzowie zdominowali listę. To także rodzaj wyzwania – jeśli mamy tylko dwa filmy Wajdy, musimy zdecydować które. Na pewno chcieliśmy tytułu z okresu szkoły polskiej, najważniejszego nurtu artystycznego w historii naszego kina, a jednocześnie czasu, kiedy kształtuje się postać Andrzeja Wajdy także jako lidera formacji intelektualnej. I tu mieliśmy burzliwe spory, czy to powinien być „Kanał", czy „Popiół i diament". Postawiliśmy na ten drugi także dlatego, że to najważniejszy polski film z perspektywy międzynarodowej. A jeśli chodzi o późniejszy okres w dorobku Wajdy, to też było tu wielu kandydatów. Mógł być „Człowiek z żelaza" nagrodzony w Cannes. Mogła być „Ziemia obiecana" nominowana do Oscara czy wybitne „Panny z Wilka". Wybraliśmy „Człowieka z marmuru" dlatego, że otwierał drzwi całemu kinu moralnego niepokoju i był dziełem przełomowym także w szerszym kontekście. Spowodował duże zmiany w polskim kinie, doprowadził do odwołania ministra kultury: na czele kinematografii Józefa Tejchmę zastąpił Janusz Wilhelmi, który m.in. zatrzymał produkcję „Na srebrnym globie" Żuławskiego. Całe szczęście te ograniczenia w kolejnych latach nie będą już obowiązywały. Lista będzie się zapełniać.

Jak wyglądały dyskusje przy układaniu listy?

Były prowadzone w szerokim gronie filmoznawców i pracowników Filmoteki Narodowej o różnych specjalizacjach. Na początku każdy stworzył swoją listę, zrobiliśmy tabelaryczne zestawienie liczbowe, a potem zaczęły się rozmowy. Pierwszy wybór to było sporo ponad 200 tytułów, więc o niektóre toczyliśmy bardzo burzliwe spory.

Przy takim zestawieniu zawsze ktoś będzie niezadowolony. Dlaczego nie ma „Seksmisji"? Bo uznaliśmy, że w przypadku polskiego kina science fiction, także jako nośnika innych niż rozrywkowe treści, ważniejszym punktem odniesienia jest „O-bi, O-ba. Koniec cywilizacji" Piotra Szulkina. Ale film Juliusza Machulskiego, jednego z najważniejszych twórców tamtej dekady, też chcieliśmy mieć na liście, więc wybraliśmy „Vabank". Każdego tytułu na tej liście można się czepiać, lecz również każdego można bronić, a kontrowersje często wynikają z zestawiania rzeczy, których nie da się porównać.

Jeśli czegoś mi na waszej liście brakuje, to zdecydowanie realizacji telewizyjnych. Nie myśleliście o serialach czy spektaklach Teatru Telewizji? Także jako o innej formie zapisu audiowizualnego?

Długo się zastanawialiśmy nad formatami telewizyjnymi. Dyskutowaliśmy o „Dekalogu", o „Kabarecie Starszych Panów", o „Stawce większej niż życie", o tym czy innym tytule ze „Złotej setki Teatru Telewizji". Braliśmy pod uwagę filmy telewizyjne takie jak „Hydrozagadka" czy „Dziewczyny do wzięcia". Na razie nie zdecydowaliśmy się na umieszczenie produkcji telewizyjnych na liście, ale sądzę, że wkrótce się na niej pojawią. Zwłaszcza że jest na niej Polska Kronika Filmowa, która nam w jakimś stopniu zagospodarowuje tę formę cykliczną.

Czy stworzenie listy przełoży się jakoś na dostępność filmów? Wiele z nich jest oczywiście w streamingu, lecz znalazły się na niej także pozycje trudno dostępne.

Wiele z tych żelaznych klasyków jest w katalogu Ninateki czy serwisu 35mm.online. Z filmami nakręconymi po 1989 r. jest trudniej, bo prawa są często przy producentach. Zgromadzenie ich w jednym miejscu byłoby możliwe, lecz bardzo kosztowne, a w wielu przypadkach oznaczałoby dublowanie tytułów, do których można łatwo dotrzeć. Planujemy w związku z tym inne działania, związane z zabezpieczeniem dzieł, ich dogłębnym opracowaniem filmoznawczym, ale także produkcję nowych printów na taśmie filmowej. To jest trend, który powraca na całym świecie i jest reakcją na cyfrową, streamingową rewolucję: ludzie po prostu chcą prawdziwego doświadczenia kinowego, projekcji z taśmy, seansu w towarzystwie innych widzów. Chcemy, by polska klasyka znów trafiła do kinowego obiegu.

ROZMAWIAŁ JAKUB DEMIAŃCZUK

eprasa.pl f001f96e29

Trzy książki do czytania z przedszkolakiem, z których dorośli też sporo się dowiedzą

W pracy jesteś jak Dzik Tadzik czy Jaszczurka Grażynka? Jak by to było mieć pomocnika, który we wszystkim wyręczy? I czy naprawdę tak trudno dogadać się z koniem? Przedstawiamy trzy tytuły przekazywane przedszkolakom przez Instytut Książki w ramach programu „Mała książka – wielki człowiek".



***Przywitanie lata*, Maria Dek**
(wyd. Bernardinum)
Ilustracje w tej książce spodobają się zwłaszcza młodszym czytelnikom. Za to stworzeni przez Marię Dek bohaterowie rozbawią i maluchy, i dorosłych – to prawdziwa plejada ludzkich charakterów w zwierzęcych kostiumach. Fabuła jest jasna: oto pewnego dnia mieszkańców Małego Lasu budzi ciepły wiatr. „To znak – zbliża się LATO". Wszystkie zwierzęta udają się w stronę polany, aby je przywitać. Jak to w przypadku dużych i ważnych projektów bywa, każdy ma własną wizję, w jaki sposób to zrobić. Dzik Tadzik stawia na relacje, wszystkowiedząca Mysz Teodora przoduje w pouczaniu, Jaszczurka Grażynka piętrzy problemy, przecież tyle rzeczy może pójść źle. Spontaniczna Gąsienica Róża nie ma zaś żadnego planu, za to bardzo wierzy w siebie.

Dek daje dzieciom przestrzeń do interpretacji i poznania różnych osobowości, a dorosłym pomaga natychmiastowo wyciszyć układ nerwowy. Dzięki tej lekturze maluchom na pewno łatwiej będzie zrozumieć zachowanie trudnego kolegi w przedszkolu.

***Rita i koń*, Marta Kopyt**
(wyd. Muchomor)
Rita ma kilka lat i często prosi rodziców o psa lub siostrę, niestety ci wciąż odmawiają. Dlatego dziewczynka bardzo się cieszy, gdy pewnego dnia w porze śniadaniowej w drzwiach mieszkania staje Koń. Koń chce spędzić jeden dzień z dziećmi, więc Rita zabiera go do swojego przedszkola. Koń – co tu dużo mówić – jest dość nieokrzesany: herbatę dla wszystkich dzieci wypija prosto z garnka i chce sikać bezpośrednio tam, gdzie stoi. W dodatku nie zna cyferek. Rita musi wziąć za niego odpowiedzialność i objaśnić mu świat, który jest przecież zupełnie „niekoniowy". Kopytny i dziewczynka krążą wokół siebie z ciekawością, okazują sobie akceptację, a ich nieprzesłodzona bliskość rodzi się z prawdziwego partnerstwa.

Marta Kopyt za pomocą prostej kreski oraz wizualnych i słownych żartów sytuacyjnych stwarza świat zarazem znajomy i niewyobrażalny: świat, w którym trudność i zdziwienie nie skutkują złością i dystansem, lecz naturalną potrzebą poznania Innego i znalezienia rozwiązań napotykanych problemów.

***Bobuś*, Martyna Skibińska, z ilustracjami Jacka Ambrożewskiego**
(wyd. Dwie Siostry)
Jest tu wszystko, co mogą pokochać dzieci: weekend u Babci, pies o imieniu Parówek, burza i tajemniczy garaż pełen rzeczy, które kiedyś się przydadzą. Tytułowy Bobuś to robot, którego Babcia i jej wnuczek Lucio konstruują z garażowych skarbów, gdy dochodzą do wniosku, że potrzebują pomocnika. Kogoś, kto wróci z plaży do domu po zapomniany sok i rękawki, wyprowadzi Parówka na długi spacer w czasie deszczu i pomoże odkurzyć żyrandol. Bobuś nadaje się do tego wszystkiego idealnie, dlaczego więc Babcia i Lucio stale dyskretnie mu towarzyszą…?

Publikacja Martyny Skibińskiej z ilustracjami Jacka Ambrożewskiego to książka, która eksploduje humorem i pomysłowością. Jej siłą są tempo i lekkość, ale przede wszystkim przesłanie: nawet najbardziej zaawansowana technologia nie zastąpi relacji, zwłaszcza z rezolutną Babcią i rodzicami, którzy już niczemu się nie dziwią. Skibińska pisze z cudowną dziecięcą logiką: coś jest możliwe nie dlatego, że ma sens, tylko dlatego, że ktoś bardzo chce, by go miało.

Książki są przekazywane przedszkolakom w prezencie w ramach programu bookstartowego „Mała książka – wielki człowiek". Tytuły czekają na małe czytelniczki i małych czytelników w niemal wszystkich bibliotekach publicznych w całej Polsce. Wystarczy odwiedzić z dzieckiem najbliższy oddział objęty programem. Więcej informacji znajduje się na stronie www.wielki-czlowiek.pl w zakładce „O projekcie".

Instytut Książki Poland · Mała książka Wielki człowiek · Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego · WWW.WIELKI-CZLOWIEK.PL

eprasa.pl f001f96e29

Muzyka i swastyka

Jak wielu idoli rocka, heavy metalu i popu szokowało nazistowską symboliką? Z trudem mieści się to w głowie, ale autor najnowszej publikacji spróbował to zmieścić w książce.



David Bowie na koncercie w Brukseli, 1976 r.



Iggy Pop i jego performans „Murder of the Virgin" w Los Angeles, z tyłu Ron Asheton, 1974 r.

© GIE KNAEPS/GETTY IMAGES, MICHAEL OCHS ARCHIVES/GETTY IMAGES

BARTEK CHACIŃSKI

Niewygodna prawda dla miłośników Davida Bowiego? O ile jego legendarny warszawski spacer po Żoliborzu pozostaje słabo udokumentowany, o tyle świetnie opisany jest przystanek na granicy w Brześciu, w kwietniu 1976 r. Ze względu na zmianę szerokości torów Bowie i jadący z nim Iggy Pop musieli się wtedy przesiadać do innego wagonu. Przy okazji zatrzymał ich oficer KGB. „Przetrząśnięto wielką kolekcję książek Bowiego; niektóre z nich zostały podobno skonfiskowane ze względu na swą wątpliwą wymowę – dotyczyły bowiem Trzeciej Rzeszy" – opisywał biograf Paul Trynka.

To był szczyt fascynacji Bowiego nazistami, która wymknęła się spod kontroli jeszcze w tym samym miesiącu, po koncercie w Sztokholmie. Tam artysta – wystylizowany wtedy na postać Thin White Duke'a – wypowiedział jedne z bardziej kontrowersyjnych zdań w karierze: „Wierzę, że przydałby się Brytanii faszystowski przywódca". Ile w tym było pozy, a ile szczerości? Już wcześniej, w wywiadzie dla „Playboya", artysta mówił o Hitlerze jako o „jednej z pierwszych gwiazd rocka". „Obejrzyjcie filmy i zobaczcie, jak się ruszał, był w tym dobry jak Mick Jagger" – dodawał Bowie.

Przypomina dziś te słowa Daniel Rachel, autor wydanej właśnie książki „This Ain't Rock'n'Roll. Pop Music, the Swastika and the Third Reich" („To nie rock'n'roll. Muzyka pop, swastyka i Trzecia Rzesza"). Przygląda się w niej obsesji gwiazd rocka – i nie tylko – na punkcie nazistowskiej symboliki.

Przypadek Bowiego jest znamienny. W pewnym momencie sam o sobie mówił, że byłby z niego świetny Hitler. A kiedy po dwóch latach nieobecności – spędzonych w znacznej mierze w Berlinie – w tym samym 1976 r. wrócił triumfalnie do Anglii, już na dworcu pozdrawiał publiczność gestem, który prasa skojarzyła jednoznacznie. Zareagowała wtedy brytyjska Unia Muzyków. Zarządzono głosowanie nad usunięciem Bowiego z szeregów organizacji. Pierwsze skończyło się wynikiem 12:12, więc kompozytor Cornelius Cardew – jak opisuje Rachel – wystąpił z płomiennym przemówieniem, ostrzegając przed wpływem na młodą widownię, jaki mają gwiazdy pop. Ostatecznie przegłosowano uchwałę stosunkiem 15:2.

Był to już moment pewnego przełomu, reakcji na dotychczasowe wybryki gwiazd rocka. W sierpniu 1976 r. podczas koncertu w Birmingham Odeon Eric Clapton zapytał, czy są na sali cudzoziemcy, a potem doprecyzował, że chodzi o *wogs* (angielski odpowiednik „ciapatych") i kazał im się wynosić: „Nie tylko z tej sali, opuśćcie nasz kraj!". W połączeniu z prasowymi doniesieniami o tym, że Clapton nosił pod

eprasa.pl f001f96e29

koszulą niemiecki krzyż żelazny, zainspirowało to fotografa i twórcę teatralnego Reda Saundersa do założenia ruchu Rock Against Racism. Obrona przed rasizmem stała się tematem w środowisku muzycznym uznawanym przecież za lewicujące, otwarte i wolnościowe.

Kto zasłonił führera

„John Lennon urodził się podczas II wojny światowej, jak prawie wszystkie wielkie brytyjskie gwiazdy pop lat 60." – zauważa we wstępie do nowej książki muzyk i aktywista Billy Bragg, dodając, że naturalną reakcją młodych ludzi na zagrożenie są kpiny i żarty. A cała ta generacja wyrastała w poczuciu zagrożenia.

Trudno jednak wyrokować, ile było kpiny, a ile fascynacji w młodzieńczym autoportrecie, na którym John Lennon – urodzony pomiędzy bombardowaniami Liverpoolu – narysował się z ręką uniesioną w rzymskim salucie i okrzykami „Heil John". Później sprzedany został na aukcji za 54 tys. dol. Beatles miał też w kolekcji odznaki i medale z epoki – jego fascynację postacią Hitlera potwierdzała pierwsza żona Cynthia. A scenę z rysunku Lennon próbował powtórzyć w realu: wyraźnie rozbawiony, salutował z balkonu ratusza w rodzinnym mieście do wielotysięcznego tłumu, gdy Beatlesi wrócili ze światowej trasy.

Później wywoływał kontrowersje figurą Adolfa Hitlera, którą zamówił na sesję okładkową „Sgt. Pepper's Lonely Hearts Club Band". Ostatecznie führera na płycie nie widać – jest w kadrze, tylko zasłonięty postaciami muzyków. Ale kolejne kontrowersje się pojawiały – czasem trudne do przewidzenia, jak ta, gdy w promocji singla „Hey Jude" Paul McCartney wpadł na pomysł wydrapania tytułu piosenki na zamalowanej białą farbą szybie butiku Beatlesów, a to rozzłościło żydowskiego sklepikarza z sąsiedztwa, który wydzwaniał, żeby przypomnieć zespołowi, co znaczyło wypisywane na witrynach „Jude".

Rachel nie odkrywa tu wielu białych plam, ale kolosalne wrażenie robi samo zebranie i nagromadzenie przykładów. Cała Brytyjska Inwazja – ekspansja popkultury opisywana przecież terminem wojennym – okazuje się składać z przypadków ryzykownego grania nazistowską symboliką. Skandal wywołał Brian Jones z The Rolling Stones, kiedy w 1966 r. zapozował do zdjęć w pełnym mundurze oficera SS. Później prasa brytyjska złośliwie przypomniała te fotografie, gdy Jones zmarł we własnym basenie – w dość niejasnych okolicznościach. Ale ta sama prasa z chęcią drukowała sesję Micka Jaggera i jego żony Bianki, wykonaną przez Leni Riefenstahl. Film tej ostatniej, propagandowy „Triumf woli", zarówno Jagger, jak i Bowie, największe gwiazdy epoki, oglądali ponoć po kilkanaście razy.

Keith Moon, perkusista trzeciej ważnej brytyjskiej grupy lat 60., The Who, też miał słabość do Trzeciej Rzeszy. W 1970 r. nagrał wspólnie z Vivianem Stanshallem piosenkę „Suspicion". „A podczas jej promocji przebrali się za nazistów: Moon za Hitlera, a Stanshall za Reinharda Heydricha, szefa Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy i jednego z architektów Holokaustu" – przypomina Rachel. Nie skończyło się zresztą na sesji. W pełnym hitlerowskim rynsztunku panowie weszli na londyńskiej Margaret Street do baru, którego roztrzęsiona właścicielka okazała się wdową po ofierze obozu koncentracyjnego. A podczas swojego rajdu po Londynie ▶

REKLAMA

Poranna rozmowa w RMF

poniedziałek-piątek
po godz. 8.00

Dołącz do rozmowy - zadaj pytanie!



Tomasz Terlikowski

eprasa.pl f001[illegible]6e29

▶ heilowali, jeżdżąc otwartym Mercedesem po znanej z żydowskiej populacji północnej części miasta. „Parę godzin później zauważono ich uciekających przed rozwścieczonym właścicielem sklepu, biegnącym z naostrzonym tasakiem", notował dziennikarz „New Musical Express".

Mroczna otoczka

W opinii Daniela Rachela lata 70. to już więcej naśladownictwa i parodiowania faszystowskich Niemiec, a mniej poważnej refleksji czy oskarżeń. Świat muzyki popularnej trochę się znieczulił na szokujące symbole związane z nazizmem, a te stworzyły stałą otoczkę wizerunkową gwiazdom cięższych odmian rocka.

Tu zasłużył się Ron Asheton, gitarzysta pionierskiej dla punka grupy The Stooges, który pasję do pamiątek po nazistach przejął po ojcu, alianckim żołnierzu, i doprowadził do poziomu szaleństwa. Pozwalała mu – jak tłumaczył – obrażać publiczność, co gwarantowało np. wychodzenie na scenę w pełnym stroju hitlerowca, ze swastyką na ramieniu, i zapowiadanie utworu „Search and Destroy" po niemiecku. W pewnym momencie cudem uratowano Ashetona przed zaplanowaną odwetową akcją Jewish Defence League.

Po rozpadzie The Stooges Asheton poszedł dalej tą ścieżką – założył grupę The New Order (Nowy Porządek, skojarzenia z czasami faszyzmu oczywiste) i nagrał płytę „Declaration of War". W tytułowym utworze słychać szum myśliwców i okrzyki „Sieg Heil", a na koncertach za zespołem pojawiała się flaga ze swastyką. Asheton konsekwentnie powtarzał przy tym, że cały ten spektakl nie ma nic wspólnego z nazizmem, on sam zaś ma żydowską dziewczynę i czarnych przyjaciół.

O szokującą otoczkę chodziło też grupie Kiss. Jak utrzymuje Rachel, z rozmysłem wywoływała kontrowersje logotypem, w którym kształt dwóch „S" kojarzył się z emblematami formacji Heinricha Himmlera. Świadczą o tym słowa Seana Delaneya, frontmana (w tym kontekście słowo „frontman" brzmi złowieszczo) grupy. I zainteresowania Ace'a Frehleya, który je zaprojektował. A miał wśród przodków również Niemców, no i sam kolekcjonował hitlerowskie pamiątki. W rodzinnym kraju babki gitarzysty Kiss logo zespołu było jednak oficjalnie zakazane – w ramach walki z nazistowską symboliką. By uniknąć skojarzeń, litery „S" na końcu zapisywano tam jak odwrócone w lustrze litery „Z". „Litery K-I w nazwie odnoszą się do dwóch żydków w zespole (w oryginale pojawia się obraźliwe angielskie słowo *kikes* – przyp. red.), a S-S to już moje dziedzictwo" – miał powiedzieć Frehley, za co ponoć w pierwszej chwili został uderzony przez kolegę z grupy, Gene'a Simmonsa (Żyda urodzonego w Izraelu). Po czym doszli do wniosku, że emocje się sprzedają.

Podobnym tropem podążał Ian „Lemmy" Kilmister, kolejna gwiazda ciężkiego rocka i zarazem jeszcze jeden kolekcjoner memorabiliów. Jeśli Bowiego opisalibyśmy jako pasjonata w tej dziedzinie, Lemmy byłby maniakiem. On też zwracał uwagę na aspekty estetyczne („Byli gwiazdami rocka swoich czasów. Po prostu dobrze wyglądali" – mówił o esesmanach), „naiwnie odmawiając łączenia ideologii i wizerunku", jak notuje Rachel. Ba, utrzymywał, że jego kolekcja przypomina tylko o złu, które się wydarzyło. Popisywał się swoim zbiorem, gdy tylko mógł. Kiedy Keith Emerson wykorzystywał noże, by blokować klawisze w organach Hammonda, Kilmister zwrócił mu uwagę: „Mógłbyś przynajmniej używać prawdziwych noży" – i zamachał ostrzami Hitler Jugend.

Założywszy zespół Motörhead, Lemmy uznał, że najlepszą ścieżką dźwiękową używaną jako intro na koncertach będzie stukot obcasów maszerujących wojsk niemieckich i okrzyki „Sieg Hail". Pierwsza płyta miała zresztą na okładce niewielkich rozmiarów (nabywcy winyli dostrzegą więcej niż posiadacze CD) swastykę, oczywiście dyskretnie usuniętą w niemieckim wydaniu.

Zadyma i oburzenie

Daniel Rachel – opisując kolejno menedżera Malcolma McLarena (o żydowskich korzeniach), który za sprawą Sex Pistols wprowadzał do mody akcesoria nazistowskie, wpływ estetyki „Nocnego portiera" na wizerunek Siouxsie Sioux i innych, a wreszcie niezdrowo zafascynowanych obozami zagłady członków Joy Division – kreśli pewien klimat przyzwolenia unoszący się wokół tematu w kulturze anglosaskiej. Sam jest Brytyjczykiem żydowskiego pochodzenia, który niegdysiejsze ekscesy swoich ulubionych artystów chce pogodzić z pamięcią o ofiarach drugiej wojny światowej.

Trudniej byłoby mu taką książkę napisać o polskiej scenie muzycznej. Bo choć i u nas na marginesie sceny pojawiały się wypowiedzi skrajne (nieistniejąca już grupa Konkwista 88), to atmosfera powojenna w mniejszym stopniu zachęcała tu do żartów. Do tego praktycznie przez cały okres powojenny obowiązywały u nas przepisy zabraniające promocji symboli nazistowskich. Spory skandal wywołał trzy lata temu niewielki znaczek ze swastyką na stroju jednego z muzyków grupy Hunter, który zauważono na Dniach i Nocach Szczytna. Ostatnio, gdy lidera tej formacji uhonorowano odznaczeniem „Zasłużony dla Kultury Polskiej", stało się to przedmiotem interpelacji sejmowej. A sama ekspozycja nazistowskich portretów w galerii sztuki stała się ćwierć wieku temu powodem interwencji zbrojnej (z szablą w ręku) Daniela Olbrychskiego.

Bohaterami ostatniego rozdziału książki autor czyni jednak polską formację, i to zupełnie współczesną: Trupę Trupa, której wokalista i gitarzysta Grzegorz Kwiatkowski pisuje teksty antyfaszystowskie (jak cytowane „Never Forget"), a łączy to z aktywizmem i działalnością akademicką o antywojennym charakterze. To ta druga strona medalu, o której także w tej monografii można poczytać – stałym elementem muzyki popularnej jest też walka o zachowanie pamięci o wydarzeniach drugiej wojny światowej.

To oczywiście nie dziwi. Dziwne jest raczej to, że nie poświęcono dotąd obszernej publikacji zbiorowej obsesji, która tkwi tak głęboko w muzyce rockowej. W końcu, jak zauważa Rachel, „grupy rockowe nie nazywają się na cześć pomników niewolnictwa, za to na cześć pamiątek i miejsc związanych z Trzecią Rzeszą – już tak".

Książka Rachela wpisuje się w całą serię publikacji naświetlających rewolucję obyczajową świata popkultury z nowej perspektywy. Bo po latach nazistowska symbolika nie wydaje się już tak buntownicza, nie robi też wrażenia jako narzędzie artystycznej wolności. Nawet jako żart źle się takie sytuacje zestarzały. Tłumaczenia, że nazistowskie tematy zwracają uwagę na problem wojny, nie spinają się z narracją o atrakcyjności estetycznej Trzeciej Rzeszy. Do tego zostają jak kolec w świadomości fanów. Bo z muzykami szokującymi nieustannie postawą nazistów jest trochę jak z aktorami wiecznie odgrywającymi role pijaków – na końcu trudno uwierzyć, że prywatnie kiedykolwiek byli trzeźwi.

BARTEK CHACIŃSKI

Daniel Rachel, „This Ain't Rock'nRoll. Pop Music, the Swastika and the Third Reich", White Rabbit, Londyn 2025 r.

eprasa.pl f001f96e29



Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Polska wymęczyła 3:2 z Maltą. Piękno futbolu najlepiej oddadzą słowa komentatorów: „Nieważne jak, ważne, że piłka wpada do siatki" oraz „Już bym chciał, żeby się skończyło".

●

Cykl byłego prezydenta Andrzeja Dudy na Kanale Zero nie jest hitem. Odcinek z 29 października obejrzało 18 tys. widzów. Cytując autora: „Jak nie umiesz, to znaczy, że się nie nadajesz".

●

„Robert Kozyra przez lata milczał o tym, co spotkało go po »Mam talent«", krzyczą media. Okazuje się, że Robert miał stalkera, który go prześladował. Czyli jednak był ktoś, na kim Robert zrobił wrażenie.

●

„Karolina Gilon ujawniła, ile wydaje miesięcznie. Padły zaskakujące kwoty", donoszą dziennikarze. Kiedyś, żeby o tobie napisali, należało wydać coś z siebie. Teraz wystarczy wydać na siebie.

●

Muniek Staszczyk wyznaje: „Ja sobie nie ufam. Nie ufam sobie jak burej suce. Nie, nie, nie ni chu...a". Ładne. Z tego ostatniego bym zrobił refren.

●

W zeszłym kwartale o 18 proc. spadła sprzedaż tygodnika „Sieci", a o 13 proc. „Gazety Polskiej" i „Do Rzeczy". Oto efekt Nawrockiego. On wie, że to słaby towar.

●

24-letni Mikołaj „Bagi" Bagiński wygrał 30. edycję programu „Taniec z gwiazdami". „Nie wygrał taniec" – zdemaskowała Agata Młynarska. 30 edycji to wystarczający materiał do tego przełomowego odkrycia.

●

Agnieszka Woźniak-Starak po 13 latach pracy w TVN wraca do porannego programu TVP „Pytanie na śniadanie". Tak kończą ci, którzy odpadają z „Mam talent".

●

Koniec związku kajakarki Julii Walczak z wioślarką Katarzyną Zillmann. Media spekulują obecnie o związku wioślarki z Janją Lesar. Rodzaj łodzi oraz napędu nieznany.

●

Dominika Serowska, znana z faktu bycia partnerką Marcina Hakiela, ujawniła, czym zajmuje się zawodowo. Otóż Dominika wzięła udział w trzech programach telewizyjnych. Czyli praca fizyczna.



© WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

●

Anna Maria Sieklucka nareszcie pojawiła się w nowym filmie bez „365" w tytule. To brytyjski thriller „Pokuszenie", będący próbą ucieczki od kina erotycznego. Udało się. Nagi facet pojawia się dopiero w drugiej minucie.

●

„Tylko u nas. Maciej Pela wyjawił przepis na placki ziemniaczane. Tylko nam zdradził, jak je robi". Ładne. To chyba najlepszy przepis na to, jak nie robić kariery.

●

Warner Bros. Discovery, właściciel TVN, może zostać kupiony przez fundusz inwestycyjny PIF z Arabii Saudyjskiej. Dobry ruch biznesowy. Znając tamtejszy *dress code*, wiele pracownic zaoszczędzi na liftingu.

●

Przy okazji premiery filmu „Jay Kelly" Weronika Rosati zrobiła sobie zdjęcie z George'em Clooneyem, co uznała za dowód spełnionej kariery. To prawda. Podczas pobytu w Łodzi Clooney zrobił sobie zdjęcie z pracownikami lotniska.

●

„Pamiętał, że strzeliłem bramkę Lechii Gdańsk i spadła z ligi" – tak podpisał swoje zdjęcie z prezydentem Nawrockim Tomasz Hajto. Gratulacje. W tym przypadku też trudno powiedzieć o awansie.

●

„24-letni milioner wygrał »Taniec z gwiazdami«" – piszą o Mikołaju Bagińskim zawodowcy od money.pl po Strefę Biznesu. Ciekawie to koresponduje z amatorskim wyznaniem Bagiego, że nigdy nie miał miliona na koncie.

68-letnia Ewa Kasprzyk potwierdziła, że jej związek z Michałem Kozerskim po 10 latach przeszedł do historii. Brawo. Wiek nie istnieje. Moja ostatnia definicja starości jest prosta: to wówczas, kiedy zamawiasz dziewczynę na telefon, a ona przyjeżdża ambulansem.

eprasa.pl f001f96e29

FELIETON

Chutnik Plebanek



Wieś sielska i walcząca

„Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś zaciszna, byle polska wieś spokojna” – wzdychał Stanisław Wyspiański. Zwrot ludowy w literaturze jest nadal żywo dyskutowany. Zainteresowanie „Chłopkami” Joanny Kuciel-Frydryszak, a także wieloma innymi publikacjami o życiu mieszkanek i mieszkańców wsi pokazuje, jak ważne dla naszej tożsamości jest odkrywanie wiejskiego pochodzenia. Trend ten zresztą przetacza się przez całą Europę. Każdy z nas miał przecież przodków. I nawet jeśli stali po dwóch stronach barykady, dziś jest to ważne już tylko dla prawicowych polityków, którzy na podziałach budują kapitał polityczny. Jednak trzecie i czwarte powojenne pokolenie myśli inaczej. Ludzie tropią indywidualne historie, bez żółci, za to z ciekawością i dociekliwie. Pojedyncze losy zwykłych kobiet i mężczyzn stają się ważniejsze od pomników.

„Przepraszam za brzydkie pismo. Pamiętniki wiejskich kobiet” Antoniny Tosiek to książka, która wywołała kolejną falę dyskusji o naszym ludowym przebudzeniu. I o tym, jak bardzo jest ono obciążone uprzedzeniami i dyskryminacją. Każdy chciałby mieć szlacheckich przodków, a jeśli już wieśniak, to tylko na naszych zasadach. W lnianej koszulinie, lecz z wyłączonym disco polo. Na polu z kosą, na pewno nie na traktorze za miliony.

> Jeśli koła gospodyń wiejskich kojarzą się komuś z darciem pierza, to chyba nie widział ich w działaniu!

Rządzą nami wyobrażenia literackie przefiltrowane przez obrazy filmowe. Wydaje się nam, że Jagna z „Chłopów” to dziewucha fest, bo zagrała ją (znakomicie!) Emilia Krakowska. A przecież kobiety żyjące na wsiach pod koniec XIX w. bywały notorycznie niedożywione, wystarczy się przyjrzeć gorsetom, jakie zachowały się po nich w muzeach wsi. Jeśli już dopuszczamy do siebie opowieści z małych miejscowości, z reguły muszą być one okraszone współczuciem, no i usiane ofiarami. Ach, ta prowincjonalna nieświadomość, to ona wpędzała ich w kłopoty!

Babcia Grażyny, Apolonia Machczyńska-Świątek, za ratowanie Żydów w czasie wojny została rozstrzelana przez Niemców. Osierociła troje dzieci. W Kocku, gdzie mieszkała, niektórzy wspominają jej odwagę. Jednak w utworach, które powstały inspirowane jej historią, przedstawiana jest jako postać pozbawiona głosu i woli. Studentka Uniwersytetu Warszawskiego, energiczna właścicielka jednego z większych majątków w okolicy, żona i matka, pośmiertnie zmaga się z łatką ofiary. Tej, która się poświęciła, tej, którą poświęcono. Uprzedmiotowienie staje się upupieniem.

O tym, że współczesna wieś nie jest skansenem i cepeliowskim światem rozgrywanym na potrzeby miastowych, piszą Sylwia Urbańska i Katarzyna Dębska w raporcie „Mieszkanki wsi w działaniu: lokalne rewolucje” powstałym na zlecenie Funduszu Feministycznego (można przeczytać go na stronie organizacji). Wynika z niego, że mieszkanki wsi zmieniają lokalne społeczności i mają wielki wpływ na to, co się tam dzieje. Raport pokazuje, z jakimi barierami się mierzą, czego oczekują. Jeśli koła gospodyń wiejskich kojarzą się komuś z darciem pierza i pieczeniem chleba, to chyba nie widział ich w działaniu!

Pierwsze Towarzystwo Gospodyń powstało w 1866 r., a koła szybko stały się ważnym ośrodkiem aktywności. Przed wojną działało w nich aktywnie ponad 52 tys. kobiet. Dziś w Polsce istnieje prawie 10 tys. organizacji, działają w każdym województwie. Raport Funduszu Feministycznego zwraca uwagę, że siłą tych grup jest skupianie się na potrzebach małych społeczności i konkretne działanie.

No dobrze, a co z tym gotowaniem i innymi „wiejskimi” pracami, tradycyjnie wykonywanymi przez kobiety? To właśnie one stają się często elementem zaangażowania społecznego. Przygotowane posiłki sprzedaje się, by zdobyć pieniądze na cele charytatywne, a jedzenie gotuje się ze zdrowych, ekologicznych i lokalnych upraw, co jest też sposobem na podkreślenie wartości własnych wytworów.

Zaangażowanie kół w sprawy wsi jest nie do przecenienia. Jak dawniej, tak i teraz bywają kuźnią przyszłych działaczek samorządowych i ogarniaczek projektów unijnych, dzięki czemu wzmacnia się sama wieś – od remontu biblioteki po budowę nowej drogi. Co ważne, spotykają się tu osoby o różnych poglądach. To sprzyja integracji, zachęca do wyjścia z domu i spędzania razem czasu, niezależnie od wieku – 20-latka siedzi obok 80-latki, wspólnie przygotowując kiermasz świąteczny.

Wiadomo, że gdy spotka się kilka energicznych kobiet, powstanie coś ciekawego. Gospodynie z kół podejmują różne aktywności, choć niestety czasem spotykają się z niezrozumieniem tak ze strony władz lokalnych, jak i „miastowych”. Wciąż żywe stereotypy zamykają progresywną wieś w szufladce z napisem „zacofanie”.

Tak to już jest, że na mniejsze skupiska ludzi zwraca się uwagę dopiero przed wyborami. Politycy łaszą się o głosy gospodyń, choć wcześniej nie zwracali na nie uwagi. Bo mało spektakularne? Tymczasem to właśnie aktywność dzień po dniu jest ważnym elementem zmian systemowych. „Dobra gospodyni z wody mleko uczyni”. A nawet projekt unijny.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

eprasa.pl f001f96e29

FELIETON

Hartman



Do czego służy przedsiębiorca?

Odpowiedź jest jedna: do dojenia! Zgodnie z uniwersalnym dogmatem lewicy racją bytu prywatnych spółek jest ich sprawność w generowaniu zysków, które można następnie opodatkować. Prawdziwym dobrem jest budżet i proces redystrybucji, a kura, które te złote jaja znosi, warta jest tyle tylko, ile można z niej tych jaj wycisnąć. Inaczej mówiąc, lewica traktuje tzw. kapitalistów w taki sam sposób, w jaki dawni kapitaliści traktowali robotników.

Taka lewica jest niemoralna i krótkowzroczna. Prawdziwy człowiek lewicy szanuje ludzką pracę i ludzkie osiągnięcia, a w tym również pracę i osiągnięcia przedsiębiorcy. Polityk nie umie wyprodukować i sprzedać pary gaci, nie mówiąc już o milionie par. Państwo naprawdę nie jest dobre w produkcji ani w handlu. Całe szczęście, nie ma żadnej potrzeby, żeby się tym zajmowało.

Współczesna lewica odeszła od Marksa, który cenił i szanował fabrykantów, jeśli byli ludźmi uczciwymi i postępowymi. W socjalizmie nie chodzi o to, żeby było jak najmniej prywatnych spółek, lecz o to, by ludzie korzystali z owoców swej pracy i za pośrednictwem rządu kontrolowali wielkie kapitały oraz znaczną część środków produkcji. Czyli o równowagę między różnymi formami własności i gospodarowania oraz o posiadanie przez państwo narzędzi kontroli pozwalających na interwencję, gdy wolna gra rynkowa prowadzi do monopolu, wyzysku albo bankructw. Dla dobra wszystkich, przedsiębiorców nie wyłączając. Dzięki zrównoważonej gospodarce z państwem jako kluczowym kapitalistą (a nie producentem!), dzięki dobremu prawu pracy i zabezpieczeniom socjalnym, dzięki rozumnej redystrybucji rozwijającej edukację, infrastrukturę i ogólną modernizację, możliwe jest tworzenie zasobnego i sprawiedliwego społeczeństwa, w którym nikt nie jest traktowany jak tania siła robocza, a za to każdy jest szanowany i zauważany.

> Potrzebujemy lewicy mądrej. Takiej, która widzi człowieka nie tylko w pracowniku, lecz również w milionerze.

Współczesna lewica nie musi być na wojnie z kapitalizmem i wolnym rynkiem. Zresztą w takiej wojnie nie ma szans. Nie ma dość żołnierzy, bo kto pracuje w firmie, ten raczej nie zechce oddać jej w ręce biurokratów z komunistycznej partii. Kapitalizm jest zły, gdy ogranicza się do zysku, bez względu na interes pracowników, dobro publiczne czy dobrostan środowiska. Tyle że kapitalizm współczesnego Zachodu najczęściej wcale taki nie jest. Przedsiębiorcy to ludzie, a ludzie mają potrzeby, ambicje i marzenia nie tylko materialne. I jeśli władza traktuje ich jak ludzi, to znaczy szanuje i nie podejrzewa o złe zamiary, to z chęcią angażują się w różne formy budowania dobra wspólnego.

Niestety, tego (zła) lewica nie może ścierpieć. Bo politycy lewicy najczęściej chcieliby po dojściu do władzy mieć monopol na przedsięwzięcia służące dobru publicznemu. Niby to nienawidzą monopolu, a sami go w sferze redystrybucji pragną. To błąd. Przedsiębiorca chętniej sam wybuduje przedszkole, niż zapłaci dodatkowy milion podatków. Od udziału w budowaniu pomyślności swojego regionu i kraju nie uchyli się, jeśli zostanie doceniony. A od płacenia wysokich podatków uchyli się jak najbardziej. Bo „optymalizacja podatkowa" to część normalnego biznesu, a budowanie przedszkoli to realizowanie osobistych ambicji i droga do paru rzeczy, których nie można kupić za pieniądze, na czele z szacunkiem i prestiżem.

Przedsiębiorca to wytwórca „wartości dodanej" poprzez bardzo wysoko wykwalifikowaną pracę organizacyjną, której w dodatku towarzyszy duże ryzyko niepowodzenia. Tej pracy nie wykona za niego państwo, nie mówiąc już o ponoszeniu ryzyka. Polityk ani urzędnik nie produkuje i nie ryzykuje, a jeśli będzie szkodził przedsiębiorcy, to nic na tym nie zyska. Przecież i tak nadal niczego nie będzie produkował ani ryzykował. Tymczasem lewica u władzy – także ta nacjonalistyczna i populistyczna, jak PiS – traktuje przedsiębiorców, jak gdyby byli konkurentami. A przecież wcale nie są.

Nieufność, jaką zła lewica przejawia w stosunku do przedsiębiorców, wynika nie z solidarności z pracownikami, lecz z zawiści o to, że ten, kto ma dużo pieniędzy, siłą rzeczy ma też nieco władzy. A dzielenia się władzą lewica nienawidzi. Dlatego jednych biznesmenów tępi, a innych korumpuje, każąc sobie płacić za państwowe zlecenia albo za pozostawienie ich w spokoju.

Potrzebujemy lewicy mądrej. Takiej, która widzi człowieka nie tylko w pracowniku, lecz również w milionerze. Takiej, która broni pracowników przed wyzyskiem, lecz broni też przedsiębiorę przed związkowym szantażem. Takiej, która dba o równowagę w gospodarce i łagodzi różnego rodzaju antagonizmy rodzące się w życiu gospodarczym. Lewicowa polityka to polityka równowagi, interwencjonizmu i modernizacji, wrażliwa na wyzysk, nierówności i ludzką krzywdę. Wyrównywanie życiowych szans młodych ludzi, troska o najsłabszych, sprawiedliwa i służąca rozwojowi redystrybucja oraz równomierna, bezpieczna dla przyrody modernizacja – oto roztropna lewicowość. W tym programie nie ma miejsca na dojenie nikogo.

JAN HARTMAN

eprasa.pl f001f96e29



Lem znów miał rację

W 1983 r. Stanisław Lem napisał tekst zatytułowany „WEAPON SYSTEMS OF THE TWENTY FIRST CENTURY OR THE UPSIDE-DOWN EVOLUTION". Należał do gatunku „apokryfów", jak nazwano serię utworów Lema traktujących o fikcyjnych książkach. Ten był już ostatni z tego cyklu i wyjątkowo dziwny, nawet na tle poprzednich. Lem uczynił samego siebie bohaterem literackim, który uzyskał dostęp („sposobem, którego nie wolno mu ujawnić") do tytułowej książki mającej się ukazać dopiero na początku XXII w. Jako powiernik tak cennego sekretu bał się o swoje życie, postanowił więc ujawnić swoją wiedzę, publikując ją dla niepoznaki jako fantastykę, zaczynając od powieści „Głos Pana", w której umieścił wzmiankę o doktrynie *indirect economic attrition* („pośrednie wyniszczenie gospodarcze").

Nasze stulecie wprawdzie dopiero się rozkręca, ale wygląda na to, że książka poświęcona jego wojennej historii rzeczywiście będzie zawierać takie hasło. Przecież o tym właśnie piszemy w kontekście wojny w Ukrainie. Obie strony swoje nadzieje wiążą głównie właśnie z wyniszczeniem gospodarczym przeciwnika. Do ponownego sięgnięcia po ten tekst skłoniły mnie nowiny o testowanej już w Ukrainie technologii roju dronów kierowanego przez sztuczną inteligencję. Decydujące rozkazy nadal wydaje ludzki operator, ale są tu dwie istotne nowości: ilościowa i jakościowa.

> Streszczam tekst z 1983 r., a jakbym opisywał współczesność. Z tą tylko różnicą, że my nazywamy to wojną hybrydową.

Pierwsza jest oczywista. Do niedawna każdy dron wymagał swojego operatora. Teraz jeden może kierować choćby i setką. Jakościowa sprawia z kolei, że ten operator już nie musi mieć żadnych kwalifikacji – w „Forbesie" wyczytałem, że Pentagon właśnie zamówił w firmie XTEND Reality Inc. roje dronów, którymi sterować może nieprzeszkolona osoba w ciągu 15 minut od wyjęcia ich z pudełka.

To pomysły prosto z Lema. Pozwolę sobie streścić słowa Mistrza po swojemu. Według Lema (a raczej autora tajemniczej książki z przyszłości) na początku XXI w. nastąpił zasadniczy przełom w dziedzinie AI. Zamiast *artificial intelligence* uczeni zaczną symulować *artificial instinct* (sztuczny instynkt). Ich „prawdziwie zaślepieni" poprzednicy „komponowali programy umożliwiające komputerom prowadzenie głupawych rozmów z niezbyt rozgarniętymi ludźmi". A „specjaliści środka XXI wieku" osiągnąć mają „wspaniałe rezultaty", symulując algorytm działania „zupełnie bezmózgich owadów".

W 2050 r. będzie można ocenić trafność prognozy Lema, ale już teraz wygląda imponująco trafnie. Przypominam, że to utwór z czasów, kiedy nawet ChatGPT był czystą fantastyką. Znaczna część tekstu to zachwyt nad możliwościami owadów pozbawionych tego przereklamowanego narządu, jakim jest mózg. Osa potrafi np. wyszukać konika polnego, wstrzyknąć mu w odpowiednie miejsce truciznę, która go paraliżuje, ale nie zabija, wykopać norkę i upewnić się, czy nie ma w niej wilgoci albo mrówek, wciągnąć do niej świerszcza i złożyć w nim jaja, żeby larwy mogły się żywić świeżym mięsem. To wystarczająca inteligencja do zadań bojowych typu „zdobycie nieprzyjacielskiego bunkra". A co dopiero zdziałać mógłby cały rój takich os!

Działo się to w czasach, w których utrzymanie konwencjonalnej armii zrobiło się za drogie nawet dla supermocarstw. Samoloty bojowe kosztowały tyle, że najbogatsze kraje mogły sobie pozwolić na kilkadziesiąt sztuk, podobnie było z czołgami i flotą. A wszystko to dawało się zniszczyć tanim autonomicznym pociskiem!

„Lecz i państwom bogatym nie żyło się w nowych czasach miło" – pisał Lem. Już XX w. zatarł rytuał formalnego „wypowiadania wojny". XXI wiek to stulecie „wojny, co była pokojem, i pokoju, który stał się wojną" (...) „Rozrosła się bowiem dywersja kryptomilitarna". Streszczam tekst z 1983 r., a jakbym opisywał współczesność – z tym że wymyśliliśmy inne określenie, jak zwykle brzydsze od lemowskiego: nazywamy to wojną hybrydową. Wobec niej tradycyjne armie mają być bezradne – i chyba już odczuwamy przedsmak spełnienia prognozy.

Naszego nieba zaczynają pilnować najnowocześniejsze samoloty świata, F-35 Husarz. Godzina lotu takowego kosztuje 30 tys. dol. Rosyjskie drony wabiki kosztują 10 razy mniej. Hasło „powinniśmy zestrzeliwać wszystko, co do nas wlatuje", brzmi więc słusznie, ale w praktyce oznacza, że Rosjanie niskim kosztem poddadzą nas „pośredniemu wyniszczaniu gospodarczemu". Według Lema w dalszej części stulecia tradycyjne armie zostaną więc rozwiązane, a wszystkie państwa postawią na roje coraz bardziej autonomicznych cyberowadów. Te będą toczyć ze sobą własne wojny, coraz mniej zrozumiałe dla ludzi, którzy staną się bezbronni wobec tego, co sami stworzyli.

Ta ostatnia prognoza wydawała mi się nieprzekonująca, gdy to czytałem po raz pierwszy. Decyzje podejmują politycy: czy dobrowolnie zrezygnowaliby z władzy? Skoro jednak na razie tekst Lema się sprawdza, zdradzę jego wyjaśnienie: politycy zrobią to nieświadomie, bo „jak to politycy, nie znali się na niczym". Sam już nie wiem. Może Lem naprawdę miał dostęp do książek z następnych stuleci?

WOJCIECH ORLIŃSKI

eprasa.pl f001f96e29

FELIETON

Sulej



Poza skalą Beauforta

Włączałam serial „Heweliusz” w reżyserii Jana Holoubka ze ściśniętym gardłem. Bo płynęłam w huraganie i się topiłam. Przypominały mi się zapisane pod powiekami obrazy: białe morze i niebo, jakby łódź nagle została zamknięta w śnieżnej kuli, wiatromierz, który się psuje, bo brakuje skali, cisnące się na usta przekleństwa na zmianę z pacierzem. Ale po kolei. Mój mąż jest kapitanem jachtowym, żegluje po całym świecie, pływam z nim czasem. Pewnego dnia wyznałam mu, że chciałabym kiedyś popłynąć w prawdziwym sztormie. Śmiał się ze mnie. Moje życzenie się spełniło – i nie był to prawdziwy sztorm, lecz pełnoprawny huragan, z prędkością wiatru sięgającą 100 węzłów, całkowicie poza skalą Beauforta. Zima, południowy Atlantyk, kilka osób załogi, samiuteńcy na olbrzymiej połaci wody. Miałam wrażenie, jakbym znalazła się poza czasem i przestrzenią.

Tuż przed moją turą za sterem byłam sparaliżowana strachem. A jeśli popełnię błąd? Co się z nami stanie? Jestem zbyt niedoświadczona! Co mnie podkusiło, żeby wypłynąć na takie wody? Po cholerę ludzie w ogóle pływają, przecież to nienaturalne! Ale musiałam się zebrać w sobie, ten okrutny system pogodowy trzymał nas długo i tylko sterowanie na zmianę dawało załodze szansę na odrobinę regeneracji. Kiedy wzięłam ster w ręce, czas jakby przestał istnieć. Myślałam, że minęło tylko kilka minut, gdy powiedzieli mi, żebym poszła odpocząć – jak się okazało, sterowałam godzinami. Moje ubrania były przesiąknięte słoną wodą, ręce mi drżały.

> Czułam, że tonę, ale strach nie przyszedł. Zamiast tego poczułam spokój, niemal pogodę ducha. Więc to była śmierć?

Lęk przed wodą jest powszechny i głęboki – to nie tylko lęk przed żywiołem, który odbiera nam oddech, lecz i przed tym, czym woda jest na poziomie archetypu: nieświadomością, odpuszczeniem, tajemnicą, śmiercią i życiem zarazem. W wodzie toniemy, ale w wodzie też się rodzimy. Wody nie można pokonać ani zdobywać, można z nią tylko współgrać i poddać się jej decyzjom. Jest ostatnią prawdziwą dzikością.

Nigdy nie kochałam morza tak bardzo jak wtedy, kiedy huragan zelżał i surfowaliśmy łodzią w pełnym słońcu po wielkich falach. Euforia po wielkim strachu to najmocniejszy narkotyk. Chciałam nieustannie wracać na morze. Jak niektórzy z uratowanych z „Heweliusza”. Podczas jednego z powrotów zapragnęłam nauczyć się nurkowania sprzętowego.

Już podczas pierwszego zanurzenia dostałam ataku paniki. Nacisnęłam guzik, żeby wypuścić powietrze z kamizelki, ale zrobiłam to zbyt mocno. Znalazłam się na dnie, kilkanaście metrów niżej, i zdałam sobie sprawę, że się topię. Czekałam na strach, ale nie przyszedł. Zamiast tego poczułam spokój, niemal pogodę ducha. Więc to było to? To była śmierć? Wydawało mi się, że minęły wieki, zanim instynkt zadziałał i wypłynęłam. Dopiero gdy powietrze uderzyło mnie w twarz, zrozumiałam, co się stało. Woda znów mnie przepuściła.

Zaczęłam rozwijać głęboką fascynację nurkowaniem swobodnym. Nie chciałam już sprzętu. Chciałam poczuć wodę tylko ciałem. Zamiast skupiać się na lęku, znów wybrałam szukanie euforii. Znalazłam w Dahab świetną instruktorkę freedivingu, Kasię. Skupiłam się całkowicie na jej instrukcjach, pozwoliłam ciału się rozluźnić, wszystko puściłam. Zdumiona, poczułam, jak moje ciało wślizguje się, schodzi w dół jak włócznia.

Z tamtego czasu szczególnie pamiętam jeden dzień. Nurkowałyśmy w słynnej Blue Hole niedaleko Dahab, w samym jej środku. Żadnych ryb, żadnego koralu, żadnego poczucia przestrzeni. Tylko elektryczny błękit. Nurkujesz w kolor. To wydaje się surrealistyczne i święte. Pamiętam, że po kilku takich nurkowaniach usiadłam na plaży zmęczona. Miałam intensywne uczucie bycia żywą. Płakałam. Tak mocno, że inni ludzie pytali, czy wszystko w porządku.

Fascynują nas morskie katastrofy, jak ta „Jana Heweliusza” czy „Titanica” – jest to inna fascynacja niż w przypadku katastrof lotniczych czy kosmicznych. Woda jest przecież tak blisko, tak zapraszająca i zarazem tak niedostępna, jednocześnie swojska i tajemnicza. Żyjemy na Niebieskiej Planecie, ale nie znamy oceanów co najmniej tak bardzo, jak nie znamy Marsa. Woda to żywioł, jak inne, ale ma swój ciężar kulturowy, który dodaje jej filozoficznego wymiaru, przydaje jej iluzji sprawczości. Woda łączy w sobie nasze sny, koszmary, jest naszą towarzyszką i potencjalną zabójczynią.

Nie chciałabym, żeby serial „Heweliusz” obudził w nas nowe pokłady lęku przed morzem. W wodzie możemy zatonąć, ale możemy też wziąć z niej siłę, bo wszyscy z niej wyszliśmy. To nie była nasza trumna – to był nasz dom.

Nie pisałabym tego felietonu, gdyby nie nasi przodkowie z Polinezji, którzy wiele tysięcy lat temu postanowili zbudować niewielkie łódeczki, wsiąść do nich i pożeglować za horyzont. Kto przeżył? Czemu popłynęli w nieznane? Czy byli szaleni, czy może zakochani? Wciąż nimi jesteśmy.

KAROLINA SULEJ

eprasa.pl f001f96e29

Wybitny pulsar



Trzeba wejść do budynku, przejść przez hol, ruchomymi schodami wjechać na piętro. I spojrzeć przed siebie. W takim właśnie miejscu podczas Śląskiego Festiwalu Nauki Katowice ma swoją scenę pulsar – nasz portal popularnonaukowy. Scenariusz odbywających się na niej wydarzeń był przez trzy poprzednie lata taki sam. W tym roku postanowiliśmy go rozszerzyć.

Zapraszamy, oczywiście, na rozmowy: w sobotę 6 grudnia w godz. 12–18, w niedzielę 7 grudnia w godz. 11–18. Czułość neandertalczyka, Marzenie o dyktaturze, Tajemnica wielkiego kliknięcia, Kres wyobraźni, Prawo do orgazmu – to tylko niektóre z tematów, które poruszać będziemy z naszymi gośćmi. A będą nimi m.in. archeolożka prof. Małgorzata Kot, wirusolog prof. Krzysztof Pyrć, fizyk prof. Wodzisław Duch, astronomka dr Agata Karska, historyk techniki prof. Sławomir Łotysz i psycholożka moralności prof. Mariola Paruzel-Czachura, laureatka tegorocznej Nagrody Naukowej POLITYKI w kategorii Nauki społeczne.

Nowością będzie kino pulsara. Pokażemy w nim dwa filmy z Docs+Science, czyli sekcji naukowej Krakowskiego Festiwalu Filmowego. Seanse dokumentów „Einstein na fali” (sobota, godz. 16) oraz „Życie i inne problemy” (niedziela, godz. 15) będą punktem wyjścia do debat o naukowych frustracjach i zachwytach oraz istocie życia i gatunku ludzkim. Przygotowaliśmy także nietypowy punkt w naszym planie – wszak rozszerzenie miało być twórcze. Szczegółów jednak nie zdradzimy. Wszystko się okaże w niedzielę o godz. 13.

Jest jeszcze jedna – niezwykle dla nas miła – okoliczność, z powodu której ta edycja ŚFN będzie szczególna: w sobotę o godz. 17.05 pulsar odbierze Nagrodę Specjalną POP Science 2025 – Wybitny Popularyzator Nauki.

Wstęp na festiwal jest bezpłatny (wejściówki można pobrać ze strony: **www.slaskifestiwalnauki.pl**).

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE”

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY
tel. 22 451-61-36, e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek *(dyr.),*

ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWCZY
Piotr Zmelonek (dyrektor) *22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka (dyrektor) *67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk (dyrektor)

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
Infolinia: *tel. 67 210 86 30,*
e-mail: infolinia@polityka.pl
tel. 22 451-61-00

PRENUMERATA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: *tel. 22 336-79-16,*
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

SERWIS INTERNETOWY
www.polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska

PORTAL POPULARNONAUKOWY
projektpulsar.pl
REDAKTOR NACZELNY
Karol Jałochowski

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BNP Paribas Bank Polska S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska,
tel. 22 451-61-50,
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Print Leipa

eprasa.pl f001f96e29

Zdarzyło się

Zaglądamy do archiwum POLITYKI

25 lat temu, a konkretnie w numerze 48. z 2000 r., publikowaliśmy obszerny raport o bezrobociu w Polsce. Mirosław Pęczak, Wojciech Markiewicz i Romuald Czyżewski pokazywali, w jakim stanie rynku pracy Polacy wchodzili w nowe tysiąclecie.



„Polska mapa bezrobocia przypomina mozaikę depresji i nizin. Na samym dnie – obszary bezrobocia beznadziejnego: żadnych szans na jakiekolwiek zajęcie. To niektóre miasteczka zbudowane wokół upadłego dziś zakładu albo popegeerowskie wsie. Nieco wyżej – pierścienie małych miast, gdzie resztką sił ciągną nieliczni przedsiębiorcy, którzy w gruncie rzeczy są potencjalnymi ofiarami bezrobocia. Potem – duże miasta ze starym przemysłem już po albo tuż przed wielkimi zwolnieniami grupowymi. Wreszcie samotne wyspy – miasta wielkie, pozornie niezagrożone, ale i tam bytują rzesze półbezrobotnych, chwytających się jakichkolwiek zajęć. Oficjalnie mamy dziś 14-procentowe bezrobocie, ale 25 proc. to nie jest wcale najczarniejszy scenariusz, którym straszą dziś ekonomiści i politycy.
(...)
W czarnych lejach rodzi się zjawisko w Polsce nowe: bezrobocie chroniczne, wielopokoleniowe. Krzysztof Z. (49 l.) przepracował jako tapicer w Zakładach Samochodowych Jelcz 24 lata. – *W 1992 r. wysłali mnie na zieloną trawkę* – mówi. Od tamtej pory nie udało mu się znaleźć pracy, od kilku lat nie przysługuje mu już zasiłek. Synowie – Marcin i Rafał – skończyli przyzakładową szkołę zawodową, ale pracy nie dostali. Po roku byli na zasiłkach, teraz zasilają nową w Polsce grupę – bezrobotnych w drugim pokoleniu. Czteroosobowa rodzina żyje więc z pensji (1100 zł na rękę) Władysławy Z. (48 l.), która szczęśliwie znalazła swoją pierwszą w życiu pracę w 1993 r. w restauracyjnej kuchni. – *Całe szczęście* – mówi Władysława Z. – *że chłopcy nie myślą jeszcze o żeniaczce, bo nie wiem, co by wtedy było.*
(...)
W Polsce mamy przede wszystkim do czynienia z młodym bezrobociem: około 60 proc. wszystkich bezrobotnych to ludzie do 35. roku życia. Większość z ponad 4-tysięcznej załogi Daewoo Motor Poland w Lublinie wierzy, że zwolnienia ich akurat nie obejmą. Zwłaszcza młodzi. Niespecjalnie mają pomysł na przyszłe życie. – *Jakby coś, to ja załapuję się do armii* – powiada Andrzej Z., 18-letni spawacz. (...) Rusycyści – produkowani seryjnie na zamówienie kuratoriów – nie sądzili, że język rosyjski przestanie być kiedyś obowiązkowy w szkołach. Jan W. (31 l.), magister rusycysta, jest jednym z nich. Roznosi w Warszawie ulotki reklamowe. Każdą musi włożyć w szparę drzwi i za każdą dostaje 2 grosze. Obejście bloku, w którym jest sto mieszkań, daje mu 2 zł zarobku. Tysiąc mieszkań – 20 zł. Mógłby oszukiwać, np. połowę ulotek wyrzucać do śmietnika, ale nie potrafi.
(...)
Zastanawiające, że właśnie teraz, kiedy szybko podnosi się stopa bezrobocia, politycy zdają się w tej kwestii milczeć. Podczas ostatniej kampanii prezydenckiej kandydaci woleli mówić o swoich osobistych zasługach dla Polski albo własnym życiu rodzinnym. Najwyraźniej temat okazuje się »gorącym kartoflem«, problemem zbyt trudnym do rozwiązania i dlatego niewygodnym".

Laur dla polskiej przedsiębiorczyni



Miło nam odnotować, że **dr Irena Eris**, utalentowana polska przedsiębiorczyni, a także członkini Kapituły Obywatelskiej Nagród Naukowych POLITYKI i jedna z fundatorek naszej Nagrody, została uhonorowana tytułem Doctor Honoris Causa Szkoły Głównej Handlowej. Jedna z najbardziej prestiżowych uczelni ekonomicznych w Polsce wyróżniła twórczynię znanych i uznanych marek kosmetycznych należących do Grupy Dr Irena Eris, za jej czterdziestoletnią działalność i zbudowanie unikalnej firmy opartej na innowacji, jakości i odpowiedzialności. Równolegle podkreślono jej „kluczową rolę w umacnianiu międzynarodowej pozycji polskiego sektora kosmetycznego, konsekwentne inwestowanie w badania naukowe oraz zaangażowanie w działalność społeczną, w tym aktywne wspieranie kobiet".

Jak podkreślał rektor SGH prof. Piotr Wachowiak, jest to pierwszy w historii tytuł Doctor Honoris Causa przyznany przez uczelnię za zasługi na rzecz rozwoju przedsiębiorczości i biznesu, co czyni tę decyzję przełomową również w kontekście akademickim.

Odbierając wyróżnienie, dr Irena Eris podkreślała: „Tytuł Doctor Honoris Causa to dla mnie symboliczne domknięcie pewnego kręgu – od uczennicy pełnej wątpliwości, przez kobietę pełną determinacji, aż po przedsiębiorczynię, która pragnie pozostawić coś trwałego. To także zobowiązanie, by nie ustawać w rozwoju, by dzielić się doświadczeniem i wspierać nowe pokolenia".

REDAKCJA

© ARCHIWUM POLITYKI, MP

eprasa.pl f001f96e29

Święta z okienka





W świecie niekończącego się karnawału rynek znajduje kolejne sposoby na świętowanie.

TREND

Wynalazek kalendarza adwentowego, jaki dziś znamy – w formie pudełka z okienkami, w których kryją się czekoladki – przypisuje się niemieckiemu drukarzowi Gerhardowi Langowi. W dzieciństwie miał bardzo niecierpliwie czekać na święta, więc matka przygotowała dlań kalendarz z ciasteczkami. Wcześniej dni pozostałe do Bożego Narodzenia odliczało się świeczkami, kredą lub kalendarzami z codzienną modlitwą. Przynajmniej w tradycji niemieckiej. Z dzieciństwa spędzonego w polskim Kościele katolickim zapamiętałem adwent jako mniejszą wersję Wielkiego Postu, w czasie którego nakłaniano dzieci do wyrzeczeń. Niemieckie kalendarze pojawiły się w Polsce na przełomie lat 80. i 90. XX w. i zaczęły trafiać pod choinkę zwykle jako rzecz delikatesowa.

Dziś w mnogości kalendarzy adwentowych można przebierać. Pudełek nie zdobi już wyłącznie świąteczna scena z szopką, choinką lub Mikołajem, ale też popularne postaci z animacji oraz popkulturowe ikony, jak psiecko Bluey czy Hello Kitty. Same słodycze pojawiają się w wersjach dyskontowych i deluxe; swoje kalendarze oferuje niemal każdy producent słodkości. Kto nie gustuje w czekoladzie, może nabyć kalendarz np. z małymi paczuszkami żelków Haribo. To słodkie szaleństwo pokazuje sukces polskiej transformacji: wreszcie możemy najeść się czekoladą do syta. Straciła więc na powabie, a rynek zareagował adekwatnie.

Od kilku lat serię kalendarzy z figurkami i małymi budowlami wypuszcza firma Lego (w tym takie absurdy jak wersja „Gwiezdnych Wojen" z Yodą w świątecznym sweterku). Do kalendarzy trafiły też inne popularne zabawki: Pokemony, LOL Surprise, Barbie czy resoraki. Dla dorosłych przeznaczono zaś kalendarze z kosmetykami (w wielu wariantach, do cery czy włosów), z alkoholem (np. próbkami piwa rzemieślniczego), serami, ostrymi sosami albo skarpetami. Kto lubi zabłysnąć, znajdzie kalendarz z biżuterią. Ikea wprawdzie nie może wrzucić do pudełka mebli, ale oferuje kalendarz z czekoladkami i kartą podarunkową. Pojawiają się też kalendarze wirtualne, z niespodziankami cyfrowymi, takimi jak kupony umożliwiające pobranie gry wideo.

Rynek nie zapomina rzecz jasna też o maluchach (kalendarz z deserkami i chrupkami) ani o futrzastych domownikach – może piesek czy kotek nie ma duszy nieśmiertelnej, ale pewnie nie może doczekać się Wigilii, kiedy zgodnie z tradycją przemówi ludzkim głosem i podziękuje za wydzielane codziennie smakołyki.

Co roku na fanów wielkiego odliczania czekają kolejne pomysły marketingowców. Uwagę przykuwa choćby kalendarz adwentowy firmy Bosch, który w istocie jest zestawem narzędzi. A na naprawdę dorosłych czekają 24 gadżety erotyczne.



Michał R. Wiśniewski
– pisarz, publicysta, specjalizuje się w kulturze popularnej i cyfrowej oraz współczesnych obyczajach. Autor książek „Jetlag", „Wszyscy jesteśmy cyborgami", „Zabójcze aplikacje" i „Zakaz gry w piłkę. Jak Polacy nienawidzą dzieci".

Komercjalizacja świąt to temat opisywany od lat, zaczynamy jednak coraz bardziej popadać w absurd. Ozdoby, słodycze i świąteczna atmosfera pojawiają się w sklepach już w listopadzie, gdy tylko znikną palety ze zniczami. Dawna wyjątkowość sutej kolacji, niewidzianych na co dzień słodkości i zabawek, odeszła w niepamięć. Nic dziwnego, że są próby powrotu do tradycji, np. poprzez samodzielne tworzenie kalendarza dla dziecka lub wspólnie z nim (do zabawy zachęcają też szkolne konkursy, propagujące wykorzystywanie surowców wtórnych), popularne zwłaszcza wśród osób praktykujących tzw. zdrowe odżywianie – tu zamiast słodyczy wykorzystuje się suszone owoce lub orzechy.

Kto ma za dużo, może się podzielić. Wpłacając 75 zł (lub więcej) na UNICEF, można otrzymać kalendarz adwentowy z misiem Paddingtonem lub Muminkami. Zamiast czekoladek czy zabawek w każdym okienku znajduje się zdjęcie i opis „Prezentu bez Pudła" – pomocy humanitarnej dla dzieci, którym brakuje leków, artykułów higienicznych, żywności terapeutycznej czy wyprawek szkolnych. Jak widać, prawdziwy sens świąt do końca jeszcze nie zginął. ■

© SHUTTERSTOCK (3), ARCHIWUM PRYWATNE, CANVA

eprasa.pl f001f96e29

TECHNO

Fotoszopowanie za darmo



Photoshop firmy Adobe zadebiutował w 1988 r. i był jedną z zabójczych aplikacji (***killer apps***), które odmieniły oblicze świata. Narzędzie do obróbki zdjęć stało się podwaliną kultury internetu przełomu mileniów (memy i fotomontaże). A inne programy z pakietu – takie jak wektorowy Illustrator (umożliwiający tworzenie plakatów i logotypów) czy InDesign (do składu magazynów i książek) – na dobre zadomowiły się w przemyśle reklamowym, artystycznym i wydawniczym. Słowo „fotoszopować" trafiło zaś do potocznego języka.

Ta pozycja faktycznego monopolisty nieco rozzuchwaliła firmę: nie dość, że oprogramowanie było drogie, to jeszcze od 2013 r. miejsce wieczystych licencji zajęła roczna opłata za pakiet Creative Cloud. Coś, co było do przełknięcia dla dużych graczy, stało się problemem dla mniejszych twórców. Fakt ten już rok później wykorzystała firma Serif, oferując pakiet Affinity, różniący się stylem pracy, ale umiejący odczytywać pliki Adobe (jak PSD czy AI). Dziś w jego skład wchodzą odpowiedniki Illustratora (Affinity Designer), Photoshopa (Affinity Photo) i InDesigna (Affinity Publisher). Czy raczej – wchodziły.

Rok temu Serif została wykupiona przez Canvę, firmę oferującą platformę do projektowania w modelu freemium (płaci się za dodatkowe opcje, takie jak sztuczna inteligencja). W nowej wersji wszystkie trzy programy zostały połączone w jeden, który – co najważniejsze – został udostępniony za darmo. Canva zapewnia, że na zawsze, „bez haczyków, subskrypcji ani sprzedaży danych". Główna platforma zarabia na siebie, a udostępnienie darmowych narzędzi twórcom to długofalowa strategia, która ma wzmocnić ekosystem Canvy.

Przejście na nowy system, zwłaszcza dla mniejszych czy początkujących twórców, oznacza brak bariery finansowej i zmianę zasad gry. Odbiera też argumenty fanom generowania obrazków za pomocą AI: dobry i darmowy program może zachęcić do spróbowania swoich własnych sił w grafice komputerowej.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

SŁOWO

OK i pa



Zgłoszenia z plebiscytu na Młodzieżowe Słowo Roku komentowane są chętnie i żywo, zwykle jednak na dwa sposoby. Pierwszy to: „Stare, żadne tam nowe słowo". Drugi: „Co to takiego? Nikt tak nie mówi". W stosunku do hasła „okpa" (lub „OKPA") dominuje ten drugi wariant. Pozostali po prostu ze zdziwieniem pytają, co to jest. I nawet algorytm firmy Google po wpisaniu tego wyrazu w okienko wyszukiwarki dopytuje z troską: „Czy chodziło ci o okap?".

Może i rzeczywiście mało kto tak mówi. Są zresztą problemy z wymową: czytać to „okpa" czy może „okej, pa" albo wręcz „okipa"? O ile jednak w ogóle czytać, bo akurat to nowe słowo – kombinacja angielskiego „OK", XIX-wiecznego, więc starszego niż język młodzieży, oraz prostego pożegnalnego „pa" – występuje raczej na piśmie niż w mowie. I nie jest tylko pożegnaniem. Swoją skrótowością i zbitką dwóch znanych słów mówi znacznie więcej, choć między wierszami.

Po pierwsze, wyraża pewien pośpiech. Sami internauci opisują tę formę pożegnania jako szybką. „Gdy chcesz zakończyć szybko rozmowę z daną osobą" – mówi jedna z definicji. Po drugie, intencje piszącego nam coś takiego na pożegnanie mogą być skrajnie różne. OKPA może mianowicie sugerować zniecierpliwienie samą rozmową: ok, przyznaję ci rację, w porządku, ale zamykamy sprawę. Może też sugerować niechęć do dalszej konwersacji z tym konkretnym rozmówcą: ok, daj już spokój, nie interesuje mnie to, co mówisz, kończmy już. Wśród definicji mamy tu nawet: „Okej, obrażam się, pa". Czyli prawie jak „żegnam oziębłe".

Różne rejestry i rejony języka mają swoje zamykające lub ucinające wywód frazy. Łacina dorobiła się sentencji *Roma locuta, causa finita*, matematyka – dobrze znanego przez uczniów „cbdu." lub „cnd." (ew. QED, też z łaciny). Jeśli ktoś wam mówi, że słowo, które uważacie za nowe, jest stare, albo narzeka „nikt tak nie mówi", podsuwam sposób, w jaki można mu odpowiedzieć: okpa.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY
Pliki dawaj, pliki dawaj, pliki na plikach,
Poruszamy się jak króle i to chyba widać
Young Igi, Bestia, 2025 r. pliki = pieniądze

eprasa.pl f001f96e29



wyspy i nieskończoną otchłań morza. Drugi koniec zasłaniają gęste lasy.

Na cyplu wieje niemiłosiernie. Wita nas tutaj uśmiechnięta Silvi Pelberg, która obecnie dba o budynek latarni i prowadzi mały sklepik z pamiątkami. Oczywiście ma na sobie tradycyjną spódnicę. Ten gruby, wełniany i soczyście kolorowy element garderoby kobiety z Kihnu tkają same. Mare wyjaśnia, że kompletny tradycyjny strój kobiecy składa się z pasiastej spódnicy, kwiecistej koszuli, fartucha oraz chustki. Wszystko w żywych kolorach, zawsze dominuje czerwień. Jeśli kobieta jest w żałobie, zakłada czarną spódnicę. Z biegiem czasu pojawiają się na niej czerwone i fioletowe paski, aż znów pozostaje czerwień. – *Taki pełny zestaw zakładamy najczęściej od święta. Na co dzień na wyspie można spotkać głównie „normalnie" ubrane kobiety, zwłaszcza te z młodego pokolenia* – objaśnia Mare.

Estońska Kihnu jest nazywana „wyspą kobiet". I chociaż mylnie uchodzi za ostatni bastion matriarchatu w Europie, to właśnie kobiety są strażniczkami tutejszej kultury.

Wyspa spódnic

PODRÓŻE



Podróż z Tallina zajmuje cztery godziny. Żeby dostać się na tę niewielką wyspę w południowej Estonii, w Zatoce Ryskiej, komunikacją lokalną, trzeba pokonać prawie 170 km najpierw autobusem do miasta Parnawa, potem promem z portu wyspy Manilaid. Z daleka Kihnu wygląda jak wąska zielona linia. W niewielkim porcie wita mnie **Mare Mätas**, miejscowa aktywistka i przewodniczka. Prowadzi organizację pozarządową Kihnu Living Heritage, zajmującą się ochroną lokalnej tradycji wpisanej na listę niematerialnego dziedzictwa UNESCO. Kolorowa spódnica, którą Mare ma na sobie, to jedyny element, który zgadza się z wyobrażeniami o wyspie. – *Bo matriarchatu u nas nie ma* – zaznacza od razu.

Bałtycka Kihnu ma zaledwie 7 km długości i 3 km szerokości. To świat sam w sobie, osłonięty przed wpływami nowoczesności, chociaż nikt jej tutaj nie unika. Motocykle dzielą drogę z rowerami, a kobiety w jaskrawych pasiastych spódnicach wciąż śpiewają starożytne pieśni morskie. Kihnu to nie muzeum, tylko tętniąca życiem kultura z dumą pielęgnowana przez ok. 700 mieszkańców.

Udajemy się na szybki objazd. Pierwszy przystanek to **latarnia morska,** miejsce najdalej wysunięte na południe i najwyższy punkt na wyspie. Na Kihnu została przywieziona z Anglii w 1864 r., zdemontowana i ponownie złożona. Po pokonaniu ponad 120 schodów dociera się na szczyt, skąd widać południowy kraniec



Magdalena Gorlas
– dziennikarka w podróży. Publikowała m.in. w „Chicago Tribune", POLITYCE, „Vogue'u", „Dużym Formacie" czy „Piśmie. Magazynie Opinii".

Kihnu, chociaż maleńka, uznawana jest za największą wyspę w Zatoce Ryskiej. Najwygodniej zwiedzać ją rowerem. Jadąc głównie polnymi drogami, mijam niewielu ludzi. Kihnu to mozaika łąk porośniętych dzikimi kwiatami i gajami sosnowymi, otoczonych skalistym wybrzeżem i usianych drewnianymi domami pomalowanymi na żółcie i czerwienie. Na wyspie znajdują się cztery wioski: Lemsi na wschodzie, Linaküla na zachodzie, Rootsiküla na południu i Sääre na północy. Głównym ośrodkiem jest Muzeum Kihnu pośrodku. Stała ekspozycja pokazuje dwa światy: kobiety z domem, dziećmi i zwierzętami oraz mężczyzn ze wszystkim, co związane z morzem. I taki podział obowiązuje tutaj od stuleci. Bo Kihnu uważana jest też od dawna za wyspę marynarzy i rybaków.

Na 16 km kw. zarejestrowanych jest, jak już wspomnieliśmy, ok. 700 mieszkańców, jednak przez cały rok żyje tutaj blisko 300 osób, a zdecydowaną większość z nich stanowią kobiety. To one odgrywają kluczową rolę na wyspie. Kiedy mężczyźni pracują z dala od domu, kobiety na Kihnu zajmują się wszystkim na lądzie. – *Dbamy o nasze dziedzictwo i chwalimy się nim* – mówi Mare. – *Wszystko dzieje się tutaj na naszych warunkach, dzięki temu w tym pędzącym świecie my wciąż zachowujemy swoją tożsamość.* ■

eprasa.pl f001f96e29

Stare, starsze, najstarsze

Niusem miesiąca w winosferze jest bezprecedensowe odkrycie: w izraelskim Megiddo archeolodzy odkopali kamienną rynnę do tłoczenia gron sprzed 5 tys. lat oraz niewiele młodszy rytualny zestaw do konsumpcji wina, z dzbanem w kształcie baraniej głowy.

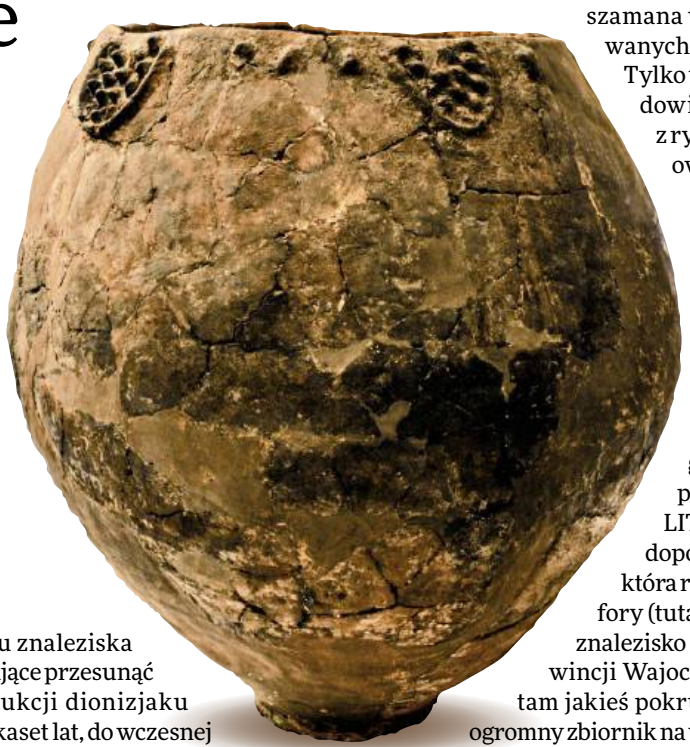

WINO

To najstarsze tego typu znaleziska w Palestynie, pozwalające przesunąć datę pierwszej produkcji dionizjaku na tych terenach o kilkaset lat, do wczesnej epoki brązu. Odkrycie jest „bezprecedensowe" w kontekście lokalnym. Jeśli chodzi bowiem o winną archeologię, różne regiony mają własne osie czasowe. Swego czasu sensacją było odkopanie w sardyńskiej osadzie Sa Osa pestek winogron i resztek wina na dnie glinianych amfor. Metodą radiowęglową udało się datować je na XVII wiek p.n.e., co w porównaniu z Izraelem nie jest żadną rewelacją, ale dowiodło, że wino robiono na Sardynii jeszcze przed kolonizacją fenicką. A to zaprzeczyło bezspornej dotąd teorii, że sztuka fermentowania soku z winogron dotarła do Europy z Azji Mniejszej i Kaukazu.

No właśnie, z Kaukazu. Za najstarszy kraj winiarski na świecie uchodzi Gruzja, która sama siebie reklamuje chwytliwym hasłem „8000 roczników". Konkretnie zaś skorupy po dzbanach z osadem kwasu winowego datowane w przybliżeniu na 5980 r. p.n.e. odnaleziono w jednym ze stanowisk archeologicznych niedaleko Tbilisi. **Znalezisko to uważane jest dziś za najstarszy ślad udomowienia winorośli na świecie**.

Złośliwym nie umknął fakt, że wykopalisko w Tbilisi pojawiło się wkrótce po tym, jak niemal równie stare ślady winiarstwa znaleziono w... Iranie oraz Chinach. W Hajji Firuz Tepe na pograniczu irańsko-azerskim dzbany datowano na 5400 r. p.n.e., w Rizhao w chińskim Szantungu zaś zespół pod kierownictwem światowego autorytetu prof. Patricka McGoverna z USA odnalazł resztki wina z V tysiąclecia p.n.e. Tego Gruzja, tradycyjnie uważana za kolebkę winiarstwa, nie mogła zaakceptować.

Wkrótce jednak po odkryciach w Tbilisi Chińczycy mocno podbili stawkę. W osadzie Jiahu w prowincji Henan analiza ceramiki w grobowcu miejscowego szamana wykazała obecność fermentowanych napojów nawet 7000 lat p.n.e.! Tylko wnikliwi czytelnicy przypisów dowiedzieli się, że chodzi o „wino" z ryżu, prosa i niesprecyzowanych owoców, ale z nie winogron.

Na razie w wyścigu prowadzi więc nadal Gruzja, która nad Chinami ma jeszcze jedną przewagę – nieprzerwaną tradycję winiarstwa, do której należą również jedne z najstarszych uprawianych odmian winorośli oraz zapożyczane dziś zazdrośnie przez cały świat gliniane amfory kwewri, o czym pisałem kilka miesięcy temu (POLITYKA 26). Teraz jednak o swoje dopomina się... sąsiednia Armenia, która również ma swoje tradycyjne amfory (tutaj zwane karasami) oraz własne znalezisko archeologiczne – Areni-1 w prowincji Wajoc Dzor. Tu z kolei odkopano nie tam jakieś pokruszone resztki ceramiki, tylko ogromny zbiornik na wino, całe amfory, a nawet resztki prasy winiarskiej – a to wszystko z ok. 4000 r. p.n.e. To najstarsza dobrze zachowana „winiarnia" na świecie. Wina armeńskie i winny marketing są na razie w tyle za gruzińskimi, ale szybko nadrabiają dystans.



Wojciech Bońkowski – od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine. Chief Wine Officer w Studi Media, wydawcy pisma o winie „Ferment".

A co z nami? – pytają Turcy. Część historycznej Armenii leży dziś w granicach tego kraju, ale i dalej na południe i zachód, w Anatolii, nie brakuje tysiącletnich artefaktów winiarskiej tradycji. Turcja, która szerokiej publiczności kompletnie się z winem nie kojarzy, produkuje je zaś na naprawdę wysokim poziomie – co pokazała niedawna prezentacja pięciu winiarni w Warszawie. Tu również nie brakuje unikatowych lokalnych odmian, jak karalahna czy sıdalan, oraz historii, jak ta, którą opowiedział mi właściciel winiarni Midin. Na granicy z Syrią na wysokości 1400 m. uprawia on wymarłe odmiany rąsegurnik, gavdoni i karkuş, a na butelkach zamieszcza napisy w języku aramejskim – tym samym, w którym spisano Stary Testament! Czy to przypadek, że pomarańczowy karkuş pozostawiał po sobie nieskończony posmak? ■

Azerbejdżan – Savalan Madrasa 2023, ok. 69 zł (sklep Azersmak w Warszawie)
Gruzja – Papari Valley 3 Qvevri Saperavi 2023, 109,65 zł (dobrewino.pl)
Armenia – Zorah Karasi 2021, 179 zł (domwina.pl)
Izrael – Recanati Marawi 2022, 209 zł (wina-mp.pl)
Turcja – Paşaeli Çalkarası Merman 2023, ok. 25 euro (internety zagraniczne)

© MAGDALENA GORLAS, ARCHIWUM PRYWATNE, JEAN-LUCLUYSSEN/GAMMA-RAPHO/GETTY IMAGES, GRUZIŃSKIE MUZEUM NARODOWE, RAFAŁ MASŁOW

eprasa.pl f001f96e29

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Wojna już trwa



Jak działają rosyjskie służby, na ile szkodzimy sami sobie i jak daleko posunie się Putin – wyjaśnia dr Agnieszka Bryc, politolożka z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, ekspertka ds. bezpieczeństwa, którą gościmy w podkaście „Polskie demo" POLITYKI i Fundacji im. Batorego. W rozmowie nawiązujemy do ostatnich aktów dywersji na polskiej kolei. Mamy złą wiadomość: już toczymy wojnę z Rosją, ale nie zbrojną, tylko kognitywną.

Na tropie toksyka



W podkaście psychologicznym POLITYKI modne słowo: toksyk. I znana rozmówczyni: Katarzyna Miller, psychoterapeutka, psycholożka i filozofka. W rozmowie z Joanną Cieśla ekspertka wyjaśnia, jak rozpoznać toksyka, również w sobie, i co robić, jeśli toksyczny jest nasz partner, przyjaciel albo szef. Tu mamy dobrą wiadomość: nie jesteśmy bezradni. Na początek powinniśmy wsłuchać się w siebie. I nie zaszkodzi wsłuchać się w nasz podkast.

Trump ma rywalkę



Kongresmenka Marjorie Taylor Greene zawsze była wierna Trumpowi i mówiła głośno to, co nawet on przemilczał, żeby nie narażać się opinii publicznej. Te czasy się skończyły. To Taylor Greene domaga się teraz głośno ujawnienia akt Jeffreya Epsteina, które mogą Trumpowi zaszkodzić. Czy w przyszłości zawalczy o najwyższy urząd w Ameryce? Kontrowersyjna kongreswoman jest bohaterką najnowszego odcinka „Portretu polityka" Łukasza Wójcika.

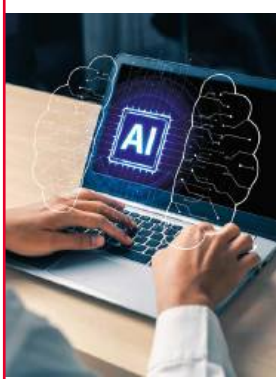

Dlaczego AI kłamie?

„Rozwiązanie problemu tzw. halucynacji jest w zasięgu ręki. Kłopot w tym, że może stać w sprzeczności z modelem biznesowym największych graczy z branży AI", pisze na polityka.pl Marcin Rotkiewicz i wyjaśnia, dlaczego AI woli zmyślać, niż przyznać, że czegoś nie wie. Dobrze się tu sprawdza analogia ze studentami: na testach też wolą zgadywać, niż nie udzielić żadnej odpowiedzi. AI uczy się szybciej, ale jeszcze długo będzie fantazjować.

Black Friday w POLITYCE



Tylko raz w roku tak mocno obniżamy ceny prenumeraty cyfrowej POLITYKI – z okazji Black Friday jest nawet 40 proc. taniej. Płacicie raz i zostajecie z nami na długo. Zapraszamy do naszego Uniwersum – tak nazywa się największy pakiet, którym można się podzielić z bliskimi – czyli świata rzetelnego dziennikarstwa i ciekawych opowieści. Kiedy krążą fake newsy, my ustalamy fakty. Wierzymy w demokrację, nie dezinformację. Dosłownie opłaca się dołączyć.

© LESZEK ZYCH (2), SHUTTERSTOCK (2), MP

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

eprasa.pl f001f96e29

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ



Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
- Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
- Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
- Pełny zakres badań

Diagnostyka
- RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl f001f96e29

LUDZIE CIENIA



KUP TERAZ

W sprzedaży



124 strony

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Wydanie audio – **sklep.polityka.pl** i **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl f001f96e29